

Carlos Ruiz Zafón

Światła września

Tytuł oryginału: *Las luces de septiembre*

Projekt okładki: *Karolina Michałowska-Filipowicz*

Redaktor: *Redaktornia.com*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Konwersja do formatu EPUB: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Redaktornia.com*

© Carlos Ruiz Zafón 1995. All rights reserved

© Projekt okładki i ilustracja na okładce: Opalworks

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2011

© for the Polish translation by Katarzyna Okrasko
and Carlos Marrodán Casas

ISBN 978-83-7758-014-1

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2011

Wydanie I

Drogi Czytelniku,

Światła września były moją trzecią powieścią; ukazały się po raz pierwszy w Hiszpanii w 1996 roku. Czytelnicy, którzy znają mnie przede wszystkim jako autora *Cienia Wiatru* i *Gry Anioła*, mogą nie wiedzieć, że moje pierwsze cztery powieści wydano w kategorii literatury młodzieżowej. Choć powstały z myślą o młodzieży, miałem nadzieję, że przypadną do gustu wszystkim czytelnikom, bez względu na wiek. Przyświecała mi chęć napisania książek, które pragnąłbym przeczytać nie tylko w dzieciństwie, ale również jako nastolatek, młody, dwudziestotrzyletni mężczyzna, czterdziestolatek czy osiemdziesięcioletni starszy pan.

Nadszedł wreszcie czas, gdy po latach trudnych batalii o prawa autorskie książki mogły zostać udostępnione czytelnikom na całym świecie. Mimo że od pierwszego wydania minęło wiele lat, powieści wciąż cieszą się popularnością zarówno wśród młodych, jak i starszych odbiorców, co mnie ogromnie cieszy. Sądzę, że istnieją historie o uniwersalnym wydźwięku, dlatego mam nadzieję, iż dorośli czytelnicy moich późniejszych książek zechcą sięgnąć również po te, które opowiadają o magii, mrocznych tajemnicach i przygodach.

Wszystkim zaś nowym czytelnikom chciałbym życzyć wielu wspaniałych przygód w świecie literatury.

Z życzeniami bezpiecznej podróży

Carlos Ruiz Zafón

luty 2010

* * *

Kochana Irène!

Światła września nauczyły mnie wspominać ślady Twoich kroków rozmywane przez wody przyływu. Już wtedy wiedziałem, że nadchodząca zima zatrze całkowicie miraż owego lata, które spędziliśmy razem w Błękitnej Zatoce. Zdziwiłabyś się, widząc, jak niewiele się tutaj od tamtego czasu zmieniło. Wieża latarni morskiej wciąż wznosi się niczym wartownik pośród mgieł, a szosa biegnąca wzdłuż Plaży Anglika jest coraz mniej uczęszczana i powoli zaczyna przypominać wiejską drogę wijącą się donikąd pośród piasków.

Ruiny Cravenmoore, nieme i osnute całunem mroku, nadal zarysowują się nad gęstwiną lasu. Gdy wypływam na wody zatoki (choć szczerze mówiąc, czynię to coraz rzadziej), widzę potłuczone szyby w oknach skrzydła zachodniego błyskające we mgle niczym fantasmagoryczne sygnały. Czasami, sprowadzony na manowce przez wspomnienie owych dni, podczas których przecinaliśmy wody zatoki, wracając o zmierzchu do przystani, mam wrażenie, iż znowu widzę migające w ciemności światła. Chociaż wiem, że nikogo tam nie ma. Nikogo.

Pewnie jesteś ciekawa, co stało się z Domem na Cyplu. No więc stoi na swoim miejscu, odosobniony, i spogląda z krawędzi klifu na bezkresny ocean. Zeszłej zimy sztorm zniszczył resztki pomostu przy plaży. Majętny jubiler przybyły z miasta, którego nazwy już nie

pamiętam, skusił się niemal, by go kupić za śmieszłą kwotę, ale zachodnie wiatry i huk fal roztrzaskujących się o skały odwiodły go ostatecznie od tego zamysłu. Sól morska dokonuje spustoszeń w białym drewnie domu. Sekretna ścieżka prowadząca ku zatoce zarosła gęstwiną nie do przebycia.

Od czasu do czasu, kiedy pozwala mi na to moja praca na nabrzeżu, wsiadam na rower i jadę na cypel, by oglądać zachód słońca z ganku wiszącego nad przepaścią klifu, i nikogo tu nie ma poza mną i stadem mew, które osiedliły się tutaj niczym dzicy lokatorzy, nikogo nie prosząc o pozwolenie. Patrę stamtąd na księżyc, który unosząc się nad widnokreślami, kreśli srebrną girlandę prowadzącą do Groty Nietoperzy.

Pamiętam, że opowiedziałem Ci fantastyczną historię okrutnego korsarza, którego statek pewnej nocy w 1746 roku został wessany przez grootę. Kłamałem. Nie było nigdy przemytnika ani porywczego bukaniera, który by się odważył zapuścić w mroki owej jaskini. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że było to jedyne kłamstwo, jakie ode mnie usłyszałaś. Zresztą pewnie wiedziałaś o tym od samego początku.

Dziś rano, kiedy wyciągałem sieci zarzucone tuż przy skałach, znowu mi się to przydarzyło. Przez sekundę wydawało mi się, iż widzę Ciebie, jak wychodzisz na ganek Domu na Cyplu, by w milczeniu patrzeć na horyzont. Kiedy mewy wzbiły się do lotu, zrozumiałem, że nikogo tam nie ma. A w dali, wyłaniając się spośród mgieł, majaczyło

Wzgórze Świętego Michała, niczym ulotna wyspa zakotwiczona przez przyływ.

Czasami mam wrażenie, że wszyscy uciekli gdzieś daleko od Błękitnej Zatoki i tylko ja zostałem schwytyany w pułapkę czasu, nadaremnie oczekując, że purpurowy przyływ września przywróci mi coś więcej niż tylko wspomnienia. Nie zważaj zanadto na to, co mówię. Morze takie już jest, po jakimś czasie oddaje wszystko, szczególnie zaś wspomnienia.

Wydaje mi się, że to już setny list, który wysyłam na Twój ostatni paryski adres, jaki udało mi się zdobyć. Czasami zastanawiam się, czy którykolwiek z tych listów do Ciebie dotarł, czy mnie jeszcze pamiętasz i czy pamiętasz ten świt na Plaży Anglika. Mam nadzieję, że tak rzeczywiście jest, mam nadzieję, że życie pozwoliło Ci uciec daleko stąd i daleko od tego wszystkiego, co przyniosła wojna.

Życie było wówczas znacznie prostsze, pamiętasz? Pewnie się łudzę, na pewno tego nie pamiętasz. Coraz częściej zaczynam dopuszczać myśl, że tylko ja, naiwny głupek, żyję wspomnieniem wszystkich dni 1937 roku i każdego z nich z osobna, dni, kiedy byłeś jeszcze tutaj, przy mnie...

1. Niebo nad Paryżem

Paryż, 1936

Ci, co pamiętają ową noc, kiedy zmarł Armand Sauvelle, zarzekają się, że purpurowy błysk przeciął sklepienie nieba, pozostawiając po sobie ślad żarzących się popiołów; błysk, którego Irène, córka zmarłego, nigdy nie widziała, ale który pojawiał się w jej snach przez wiele lat.

Był mroźny zimowy świt i szyby sali numer czternaście szpitala Saint George pokryła delikatna warstewka lodu, przez którą widać było rozmywające się w złocistym półbrzasku akwarele miasta.

Życie Armanda Sauvelle'a zgasło cichutko, bez westchnienia skargi. Jego żona Simone i córka Irène uniosły wzrok, gdy pierwsze błyski dnia zaczęły pruć fastrygi nocy, rozsypując po sali szpitalnej niteczki światła. Jego syn Dorian drzemał na krześle. Salą zawładnęło przejmujące milczenie. Nie trzeba było słów, żeby zrozumieć, co się stało. Po sześciu miesiącach bezlitosny upiór choroby, której nazwa nigdy nie przeszła Armandowi Sauvelle'owi przez gardło, pokonał go. Najzwyczajniej w świecie.

Tak zaczął się rok, który w pamięci rodziny Sauvelle'ów miał się zapisać jako najgorszy w jej historii.

* * *

Armand Sauvelle zabrał do grobu swój urok i zaraźliwy śmiech, ale w tę ostatnią drogę nie wyruszyły z nim bynajmniej jego rozliczne długi. Rychło kohorty wierzycieli i wszelkiego rodzaju dyplomowanych sędów w surdutach zaczęły nękać niezapowiedzianymi wizytami siedzibę Sauvelle'ów przy bulwarze Haussmanna. Po początkowych, pełnych chłodu i typowej dla kauzyperdów kurtuazji wizytach nastąpiły zawoalowane groźby. A po nich przyszedł czas na egzekucje komornicze.

Renomowane szkoły i nienagannie skrojone stroje musiały zostać zastąpione pracami zleconymi i skromniejszym przyodziewkiem dla Irène i jej młodszego brata. To był początek zawrotnego zejścia Sauvelle'ów na ziemię. Najdotkliwiej odczuła to Simone. Choć znów zaczęła pracować jako nauczycielka, jej zarobki były o wiele za niskie, by sprostać płynącym zewsząd roszczeniom. Co chwila pojawiała się kolejna umowa wierzytelności, kolejny weksel podpisany przez Armanda, kolejna czarna dziura długów...

W owym to czasie mały Dorian nabrał podejrzeń, że połowę mieszkańców Paryża stanowią adwokaci i lichwiarze, specyficzny gatunek szcurów, zamieszkujących nie w kanalizacji, ale na powierzchni. Wówczas również Irène, w tajemnicy przed matką, podjęła pracę fordanserki. Najczęściej tańczyła z młodymi, przerażonymi żołnierzami, za parę groszy (które o świcie wrzucała do blaszanego

pudełka trzymanego przez Simone pod zlewozmywakiem w kuchni).

Rodzina Sauvelle'ów odkryła również, iż liczne dotąd zastępy przyjaciół i osób, na których można było polegać, zaczęły nagle topnieć niczym szron w pierwszych promieniach słońca. Niemniej gdy nadeszło lato, Henri Leconte, stary przyjaciel Armanda Sauvelle'a, zaproponował rodzinie przeprowadzkę do małego mieszkania znajdującego się nad sklepem z artykułami malarskimi, który prowadził na Montparnassie. Zgodził się, by zapłacili mu czynsz, kiedy finanse im na to pozwolą, na razie w zamian poprosił tylko, by Dorian pomagał mu jako chłopak na posyłki, bo jemu nogi odmawiały już niestety posłuszeństwa. Żadne słowa nie były zdolne oddać wdzięczności, jaką odczuwała Simone wobec starego sklepikarza, choć Leconte i tak jej nigdy nie oczekiwał. W świecie pełnym szcurków spotkali anioła.

Kiedy na ulicach pojawiły się pierwsze oznaki nadchodzącej zimy, Irène skończyła czternaście lat, choć czuła się, jakby miała dwadzieścia cztery. Ten jeden raz, za pieniądze zarobione na dancingu, kupiła tort, by uczcić urodziny z matką i z bratem. Tego dnia odczuli szczególnie boleśnie brak ojca. Cała trójka zdmuchnęła razem świeczki na torcie w maleńkim saloniku mieszkania na Montparnassie, życząc sobie, by razem z płomykami świeczek zgasło również widmo niedoli prześladujące ich od wielu miesięcy. Tym razem ich życzenie miało się spełnić. Jeszcze o tym nie wiedzieli, ale ów ponury rok dobiegał właśnie końca.

* * *

Kilka tygodni później światło nadziei nieoczekiwanie zabłysło dla rodziny Sauvelle'ów. Dzięki rozległym znajomościom monsieur Leconte'a pojawiła się oferta godziwej pracy dla ich matki w małym miasteczku Błękitna Zatoka leżącym na północnym wybrzeżu, daleko od szarości Paryża, daleko od smutnych wspomnień ostatnich dni Armanda Sauvelle'a. Zamożny wynalazca i fabrykant zabawek Lazarus Jann poszukiwał ochmistrzyni, która zajęłaby się zarządzaniem jego rezydencją w lesie Cravenmoore.

Wynalazca mieszkał w przestronnym pałacu, do którego przylegała stara, nieczynna już fabryka zabawek. Żył tam tylko z żoną Alexandrą, cierpiącą na nieuleczalną chorobę i od dwudziestu lat przykutą do łóżka. Wynagrodzenie było hojne, a poza tym Lazarus Jann oferował możliwość zamieszkania w niewielkim Domu na Cyplu wzniesionym na klifie, po drugiej stronie lasu Cravenmoore.

W połowie czerwca 1937 roku monsieur Leconte pożegnał rodzinę Sauvelle'ów na szóstym peronie dworca Austerlitz. Simone i jej dwoje dzieci zajęli miejsca w pociągu, który miał ich zawieźć na wybrzeże Normandii.

Stary Leconte, obserwując znikające w oddali światła ostatniego wagonu, uśmiechnął się w duchu, przeczuwając, że historia Sauvelle'ów, ich prawdziwa historia, dopiero się rozpoczęła.

2. Geografia i anatomia

Normandia, lato 1937

Pierwszy dzień pobytu w Domu na Cyplu Irène i jej matka spędziły na porządkowaniu miejsca, które miało stać się ich siedzibą. Dorian w tym czasie odkrywał swoją nową pasję: geografię, a dokładniej rysowanie map. Syn Simone Sauvelle, uzbrojony w kredki i zeszyt подарowane mu przez Henriego Leconte'a w przeddzień wyjazdu, zaszył się pośród skał, na samym ich szczycie, skąd mógł podziwiać niezwykle widok.

Miasteczko z maleńkim portem rybackim wznosiło się w samym środku wybrzeża okalającego dużą zatokę. W kierunku wschodnim ciągnęła się bezkresna piaszczysta plaża, perłowa pustynia przeglądająca się w morzu, znana jako Plaża Anglika. Nieco dalej ostroga cypla wbijała się w wodę niczym ostre szpony. Dom Sauvelle'ów wznosił się na samym krańcu cypla, oddzielającym Błękitną Zatokę od następnego akwenu zwanego przez miejscowych Czarną Zatoką – ze względu na jej ciemne i głębokie wody. W oddali, jakieś pół mili od wybrzeża, Dorian dostrzegł wysepkę z latarnią morską wylaniającą się ze zwiewnej mgiełki. Spoglądając znów w stronę lądu, chłopiec widział swoją matkę i siostrę Irène siedzące na ganku Domu na Cyplu.

Ich nowy dom, dwupiętrowy budynek z pomalowanego na biało drewna, stał na zboczu klifu niczym zawieszona nad przepaścią skalna

półka. Za nim rozciągał się gęsty las, a znad wierzchołków drzew wyzierała majestatyczna sylwetka rezydencji Lazarusa Janna, Cravenmoore.

Cravenmoore przypominało właściwie pałac, a może małą katedrę. Ta plątanina łuków, łęków przyporowych, te wieże i kopuły wyrastające chaotycznie ze szpiczastego dachu musiały być wytworem tyleż ekstrawaganckiego, co udręczonego umysłu. Konstrukcję wzniesiono na planie krzyża, choć obrósł on w przeróżne boczne skrzydła. Dorian przyjrzał się uważnie złowrogiej bryle rezydencji Lazarusa Janna. Legion gargulców i wyrzeźbionych w kamieniu aniołów strzegł fasady, podobny zgrai duchów zastygłych w oczekiwaniu na ciemności nocy. Zamykając zeszyt, by zejść z powrotem do Domu na Cyplu, chłopiec zaczął się zastanawiać, kto mógł obrać sobie podobne miejsce za siedzibę. Miał się tego dowiedzieć jeszcze tego samego wieczoru, cała rodzina została bowiem zaproszona na kolację w Cravenmoore – kurtuazyjny gest powitalny ich nowego dobroczyńcy, Lazarusa Janna.

* * *

Pokój Irène wychodził na północny zachód. Z okna widać było wysepkę z latarnią i plamy światła rzucane przez słońce na fale oceanu, roziskrzone laguny srebra. Po miesiącach spędzonych w maleńkim paryskim mieszkanku dysponowanie pokojem tylko dla siebie wydawało się jej nadmiernym, niezasłużonym luksusem. A już czymś wręcz

oszałamiającym była możliwość zamknięcia drzwi, by nacieszyć się chwilami samotności.

Przyglądając się, jak zachodzące słońce barwi morze na kolor miedzi, Irène zastanawiała się nerwowo, co ma założyć na pierwszą kolację z Lazarusem Jannem. Po dawnej, przebogatej garderobie zostało właściwie już tylko wspomnienie. Czowała się zaszczycona zaproszeniem do rezydencji Cravenmoore, ale jednocześnie uświadomiła sobie, że nie ma odpowiedniego stroju na tak odświętną okazję: wszystkie sukienki wydawały się jej najzwyklejszymi łachmanami. Przymierzywszy dwa jedyne stroje, które jako tako nadawały się na tak uroczysty wieczór, Irène zdała sobie sprawę z nowego, nieprzewidzianego problemu.

Od kiedy skończyła czternaście lat, jej ciało jakby postanowiło zaokrąglić się w pewnych miejscach, w innych zaś wręcz przeciwnie. Teraz, licząc sobie niespełna lat piętnaście i spoglądając w lustro, widziała, że nie sposób uciec przed prawami natury. Jej zarysowująca się kobieca sylwetka nie pasowała do prostego kroju skromnych, znoszonych ubrań.

Tuż przed zmierzchem niebo nad Błękitną Zatoką migotało szkarłatnymi odblaskami, kiedy Simone Sauvelle zapukała delikatnie do sypialni Irène.

– Proszę.

Simone zamknęła za sobą drzwi. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, żeby się domyślić, w czym tkwi problem. Wszystkie ubrania Irène leżały

na łóżku. Jej córka, w samej bieliźnie, przyglądała się przez okno dalekim światłom statków. Simone spojrzała na swoją dorastającą córkę i uśmiechnęła się w duchu.

– Czas mija, a my tego nie zauważamy, co?

– Wszystkie są na mnie za małe. Tak mi przykro – odparła Irène. – Naprawdę próbowałam.

Simone podeszła do okna i przytuliła córkę. Światła miasteczka odbijały się niczym barwne lampiony w wodach zatoki. Przez chwilę obie kontemplowały poruszające widowisko zmierzchu zapadającego nad Błękitną Zatoką. Simone pogładziła córkę po twarzy i uśmiechnęła się.

– Mam przeczucie, że to miejsce przypadnie nam do gustu. A ty, co myślisz? – spytała.

– A my? Czy my mu przypadniemy do gustu?

– Lazarusowi?

Irène przytaknęła.

– Przecież jesteśmy przeuroczą rodziną. Będzie za nami przepadał – odpowiedziała Simone.

– Jesteś tego pewna?

– Nie mamy innego wyjścia, córeczko.

Irène wskazała na swoją garderobę.

– Przymierz jedną z moich sukienek – powiedziała z uśmiechem Simone. – Coś mi się wydaje, że będą na tobie leżeć lepiej niż na mnie.

Irène lekko poczerwieniała.

– Przesadzasz – próbowała nie zgodzić się z matką.

– Poczekamy, zobaczymy.

* * *

Wyrazem twarzy, który Dorian przybrał na widok siostry, gdy ta pojawiła się na schodach wystrojona w suknię matki, wygrałby niejeden konkurs na głupie miny. Irène natychmiast wbiła swe zielone oczy w brata i grożąc mu palcem wskazującym, ostrzegła go stanowczo:

– Ani słowa.

Oniemiały Dorian przytaknął, nie mogąc oderwać oczu od tej nieznannej mu kobiety, która nie dość, że miała rysy twarzy jego siostry, to jeszcze odezwała się jej głosem. Simone, na widok jego nieopisanego zdziwienia, z trudem powstrzymała uśmiech. Z uroczystą powagą poprawiła mu muszkę, a potem położyła dłoń na ramieniu.

– Żyjesz otoczony kobietami, synu. Przyzwyczajaj się.

Dorian, tyleż zdziwiony, co zrezygnowany, raz jeszcze przytaknął. Kiedy wiszący na ścianie zegar wydzwonił godzinę ósmą, wszyscy Sauvelle'owie, odświętnie ubrani, gotowi już byli na czekające ich uroczyste spotkanie. A poza tym umierali ze strachu.

* * *

W kierunku morza ciągnęła delikatna bryza, poruszając liśćmi leśnej gęstwiny otaczającej Cravenmoore. Ich szelest towarzyszył odgłosom kroków całej trójki podążającej ścieżką, która przecinała las niczym tunel wycięty w nieprzebytej puszczy. Błada poświata księżyca z trudem przebijała się przez mroczną powłokę nad ich głowami. Głosy niewidzialnych nocnych ptaków dochodzące z koron stuletnich olbrzymów rozbrzmiewały niepokojącą litanią.

– Strasznie tu, aż mnie ciarki przechodzą – szepnęła Irène.

– Nie wygłupiaj się – natychmiast ucięła jej matka. – To zwykły las. Idziemy.

Zamykający grupkę Dorian w milczeniu wpatrywał się w leśne cienie. Wyrastające z ciemności kształty w jego wyobraźni przeradzały się natychmiast w czyhające wokół diaboliczne stworzenia.

– W świetle dnia to tylko zarośla i drzewa – dodała na cały głos Simone Sauvelle. Ulotny czar, którym Dorian zaczynał się już delectować, prysł jak bańka mydlana.

Po paru minutach nocnego spaceru, które Irène dłużyły się w nieskończoność, wyrosła przed nimi majestatyczna i strzelista sylwetka Cravenmoore podobnego wyłaniającemu się z mgły baśniowemu zamkowi. Z ogromnych okien rezydencji Lazarusa Janna padały snopy złotawego światła. Na jaśniejszym tle nieba odcinały się sfory gargulców. Dostrzegli również fabrykę zabawek przylegającą do

budynku.

Stanąwszy na skraju lasu, cała trójka Sauvelle'ów próbowała objąć wzrokiem ogrom rezydencji fabrykanta zabawek. W tym samym momencie podobny do kruka ptak poderwał się z zarośli, dziwnie trzepocząc skrzydłami, i zaczął krążyć nad ogrodem okalającym Cravenmoore. Zatoczywszy kilka kółek nad kamienną fontanną, wylądował w końcu u stóp Doriana. Złożył skrzydła, kołysał się przez chwilę na boki, po czym położył się i znieruchomiał. Chłopiec klęknął i powoli wyciągnął ku niemu prawą rękę.

– Lepiej uważaj – ostrzegła go Irène.

Dorian, nie zważając na słowa siostry, pogłaskał kruka po skrzydle. Ptak ani drgnął. Chłopiec wziął go w ręce i rozłożył mu skrzydła. Na jego twarzy pojawił się wyraz całkowitego zaskoczenia. Odwrócił się ku Irène i Simone.

– On jest z drewna – wyszeptał. – To zabawka mechaniczna.

Wszyscy troje spojrzeli na siebie w milczeniu. Simone westchnęła i niemal rozkazująco rzekła:

– Zachowujemy spokój. I uśmiechamy się. Musimy zrobić dobre wrażenie, zgoda?

Dzieci przytaknęły. Dorian z powrotem położył ptaka na ziemi. Simone Sauvelle uśmiechnęła się lekko i na jej znak cała trójka zaczęła wspinać się po schodach z białego marmuru wiodących ku ogromnym drzwiom z brązu, za którymi krył się sekretny świat Lazarusa Janna.

Drzwi Cravenmoore rozwarły się przed nimi same. Nie musieli nawet użyć odlanej z brązu kołatki w kształcie głowy anioła. Z wnętrza domu emanowała złocista poświata. Na tle tej jasności widać było nieruchomą sylwetkę. Postać nagle ożyła i poruszyła głowę. Jednocześnie dało się słyszeć delikatny terkot. Twarz wyłoniła się z cienia. Na przybyszy spoglądały martwe oczy, zwykle szklane kule wciśnięte w maskę pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Jedyne usta wykrzywił przerażający uśmiech.

Dorian przełknął ślinę, a kobiety cofnęły się z wrażenia. Postać wyciągnęła ku nim rękę, po czym znieruchomiała.

– Mam nadzieję, że Christian państwa nie przestraszył. To stara i niedopracowana konstrukcja.

Sauvelle'owie odwrócili się i spojrzeli w dół schodów, skąd dobiegał głos. Miła i sympatycznie starzejąca się twarz uśmiechała się do nich nieco łobuzersko. Elegancko ubrany mężczyzna miał niebieskie oczy, które błyszczały pod przyprószonymi siwizną i starannie uczesany włosami. Podpierając się nieznacznie hebanową laską z wielobarwną gałką, podszedł do nich i ukłonił się z szacunkiem.

– Nazywam się Lazarus Jann i odnoszę wrażenie, że jestem państwu winien przeprosiny – powiedział.

Głos miał ciepły, życzliwy, jeden z tych głosów obdarzonych uspokajającą mocą i rzadko spotykaną łagodnością. Duże oczy Lazarusa Janna, przyjrawszy się dokładnie Irène i Dorianowi, spoczęły wreszcie

na twarzy Simone.

– Wracam właśnie ze swojej codziennej wieczornej przechadzki po lesie i niestety spóźniłem się. Madame Sauvelle, o ile się nie mylę...

– Bardzo mi miło.

– Mam na imię Lazarus.

Simone skinęła głową.

– Pozwoli pan, że przedstawię. Moja córka Irène. A to mój syn Dorian, nasz beniaminek.

Lazarus Jann z rewerencją uściśnął dłonie obojgu. Miał zdecydowany i miły uścisk, a uśmiech zaraźliwy.

– No dobrze. Co do Christiana, nie ma najmniejszych powodów, żeby się go bać. Trzymam go na pamiętkę mojego pionierskiego okresu. Wiem, wiem, jest toporny, a i wygląd ma mało przyjazny.

– Czy to jest maszyna? – pospieszył z pytaniem zafascynowany Dorian.

Karcące spojrzenie Simone nadeszło zbyt późno. Lazarus uśmiechnął się do chłopca.

– Tak, moglibyśmy tak to ująć. Z technicznego punktu widzenia Christian jest automatem.

– Sam pan go skonstruował?

– Dorian. – Simone upomniała syna.

Lazarus znów się uśmiechnął. Widać było, że żadną miarą nie miał za złe chłopcu jego dociekliwości.

– Tak. Skonstruowałem Christiana i wiele innych automatów. To jest, a właściwie była, moja praca. No dobrze, ale wydaje mi się, że kolacja na nas czeka. Może porozmawiamy o tym wszystkim przy suto zastawionym stole i w ten sposób poznamy się lepiej?

Poculi smakowity zapach pieczeni. Nie trzeba było wróżki z kryształową kulą, żeby odgadnąć, o czym wszyscy w tym momencie pomyśleli.

* * *

Zaskakujące powitanie Christiana czy groźny wygląd gmachu Cravenmoore były niczym w porównaniu z wrażeniem, jakie wywarło na Sauvelle'ach wewnątrz posiadłości Lazarusa Janna. Cała trójka, ledwo przekroczywszy próg domu, poczuła się przeniesiona w fantastyczny świat, którego istnienia nie potrafiliby nawet sobie wyobrazić.

Olbrzymie kręcone schody zdawały się wspinać bez końca. Sauvelle'owie, uniósłszy wzrok, ujrzeli, iż prowadzą one na szczyt głównej wieży Cravenmoore, a ich zwieńczeniem jest latarnia, z której sączy się mgławce, anemiczne światło. W tej widmowej poświacie rozchodzącej się po pomieszczeniu oczy całej trójki odkryły iście muzealne zbiory mechanicznych stworzeń. Tarcza wielkiego ściennego zegara, obdarzonego oczami i wykrzywionego w groteskowym grymasie, uśmiechała się do odwiedzających. Tancerka w zwiewnej sukni wirowała w samym środku owalnego pomieszczenia, gdzie każdy

przedmiot, każdy najdrobniejszy szczegół stanowił część świata powołanego do życia przez Lazarusa Janna.

Klamki były uśmiechniętymi twarzami, które puszczały oko, kiedy się je nacisnęło. Ogromna, fantastycznie opierzona sowa wytrzeszczała szklane źrenice, powoli unosząc skrzydła. Dziesiątki, a może i setki miniatur i zabawek stały na półkach i w gablotach. Życia by nie starczyło, by zapoznać się z każdą z nich. Mały psotny szczeniaczek merdał ogonkiem i szczekał na widok przebiegającej przed nim metalowej myszki. Zwieszona z niewidocznego sufitu karuzela wrózek, smoków i gwiazd kręciła się w pustce wokół zamku unoszącego się pośród bawełnianych obłoczków w rytm pobrząkiwania dalekiej pozytywki...

Gdziekolwiek kierowali swoje spojrzenia, odkrywali nowe wspaniałości, nowe niewyobrażalne artefakty, coraz przemyślniejsze i bardziej zdumiewające. Przez wiele minut stali tak niemal sparaliżowani i całkowicie zauroczeni, nieświadomi rozbawionego wzroku, jakim patrzył na nich Lazarus.

– To nieprawdopodobne... – wykrztusiła w końcu Irène, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

– To dopiero westybul. Ale rad jestem, że się wam podoba – powiedział Lazarus, prowadząc ich do przestronnej jadalni Cravenmoore.

Dorian zapomniał języka w gębie i przyglądał się wszystkiemu

oczami jak spodki. Irène i Simone, równie poruszone, usilnie starały się nie ulec hipnotycznemu transowi, w jaki wprowadzał je dom.

Jadalnia, w której podano kolację, była, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze wspanialsza niż westybul. Czuło się, że wszystko, od kieliszków począwszy, poprzez sztukę aż po galowy serwis i puszyste kobierce, przynależy do królestwa Lazarusa Janna. Żaden z przedmiotów nie zdawał się pochodzić z szarej, obrzydliwie normalnej rzeczywistości, którą zostawili za sobą, przekraczając próg rezydencji. Mimo całego przepychu uwagę Irène przykuł od pierwszej chwili ogromny portret wiszący nad kominkiem, w którym płomienie buchały ze smoczych paszcz. Obraz przedstawiał damę olśniewającej urody ubraną w białą suknię. W oczach pięknej kobiety czuć było siłę przekraczającą granicę między malarskim kunsztem a rzeczywistością. Przez chwilę Irène czuła, że zaraz całkowicie ulegnie magnetycznemu czarowi tego spojrzenia.

– To moja małżonka, Alexandra... Kiedy jeszcze cieszyła się dobrym zdrowiem. Cudowne dni... – rozległ się za jej plecami głos Lazarusa, melancholijny i jakby pogodzony z losem.

* * *

Kolacja przy świecach przebiegała w miłej atmosferze. Lazarus Jann okazał się znakomitym gospodarzem, który szybko zaskarbił sobie sympatię Irène i Dorianą zabawnymi anegdotami i opowieściami. Powiedział im, że wszystkie podane wspaniałości to dzieło Hannah,

dziewczyny w wieku Irène, pełniącej jednocześnie obowiązki kucharki i pokojówki. Pierwsze lody zostały przełamane już po kilku minutach. Wszyscy brali udział w ożywionej konwersacji, którą fabrykant zabawek potrafił kierować z nader subtelną maestrią.

Kiedy przystąpili do drugiego dania, pieczonego indyka, specjalności Hannah, Sauvelle'owie mieli wrażenie, że przebywają w towarzystwie starego znajomego. Simone z ulgą skonstatowała, iż sympatia jej dzieci do Lazarusa jest odwzajemniona, a i ona sama nie może się oprzeć urokowi nowego pryncypała.

Nie przestając sypać anegdotami, Lazarus udzielił im wyczerpujących informacji związanych z domem i z charakterem obowiązków Simone. W piątek wieczór Hannah miała wolne i nocowała u swojej rodziny w miasteczku. Mieli ją poznać nazajutrz, kiedy stawi się w rezydencji do pracy. Nie licząc Lazarusa i jego żony, Hannah była jedynym mieszkańcem Cravenmoore. Ona pomoże im się tutaj zaaklimatyzować i gotowa jest wesprzeć ich we wszystkich problemach, jakie mogą się pojawić w pierwszych dniach ich pobytu.

Przy deserze, zjawiskowej tarcie z malinami, Lazarus przeszedł do wyjaśnienia, czego od każdego z nich oczekuje. Aczkolwiek fabryka jest już zamknięta, on nadal, od czasu do czasu, pracuje w swoim warsztacie zabawek. Podkreślił z całą stanowczością, że pod żadnym pozorem nie wolno im przekraczać progu fabryki. Zakaz dotyczył również wyższych pięter, a już szczególnie pomieszczeń zachodniego skrzydła, w których

mieściły się pokoje jego małżonki.

Od ponad dwudziestu lat Alexandra Jann cierpiała na dziwną i nieuleczalną chorobę, która przykuła ją do łóżka. Żona Lazarusa nie ruszała się ze swojej sypialni znajdującej się na trzecim piętrze zachodniego skrzydła. Jedyne jej męż, dogładający jej w chorobie, miał tam prawo wstępu. Fabrykant zabawek opowiedział im, że żona, jeszcze jako pełna życia młoda kobieta, nabawiła się tajemniczej przypadłości podczas jednej z podróży, którą odbywali przez kraje Europy Środkowej.

Nieuleczalna jak na razie choroba powoli, acz systematycznie odbierała jej siły, do tego stopnia, iż po jakimś czasie nie mogła sama chodzić ani utrzymać niczego w rękach. Po upływie sześciu miesięcy jej stan drastycznie się pogorszył. Była już tylko cieniem tej pięknej kobiety, z którą ożenił się zaledwie kilka lat wcześniej. Po roku od zarażenia zaczęła zanikać pamięć chorej. Po kilku tygodniach z trudnością rozpoznawała nawet własnego małżonka. W tym okresie nie mogła już mówić, a jej oczy, poza straszliwą pustką, przestały cokolwiek wyrażać. Alexandra Jann miała wówczas dwadzieścia sześć lat. Od tamtego czasu nigdy już nie opuściła Cravenmoore.

Goście wysłuchali poruszającej opowieści Lazarusa w milczącym skupieniu. Fabrykant nie zdołał ukryć emocji wywołanych nawiedzającymi go wspomnieniami, wieloletnią samotnością i cierpieniem. Nie chcąc jednak przytłaczać gości swoim smutkiem, szybko począł rozplływać się w pochwałach nad deserem. Gorycz jego

spojrzenia nie uszła jednak uwadze Irène.

Dziewczyna bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego wybrał się w tę swoją szczególną podróż donikąd. Pozbawiony tego, co najbardziej kochał, Lazarus schronił się w świecie fantazji, tworząc setki istot i przedmiotów, by wypełnić jakoś dręczącą go samotność.

Słuchając opowieści fabrykanta zabawek, Irène nagle zrozumiała, że ów świat rozbuchanej wyobraźni zaludniającej Cravenmoore to znacznie więcej niż tylko zabawny kaprys geniusza. Ona, która na własnej skórze odczuła, co to znaczy stracić kogoś bliskiego, patrzyła teraz na Cravenmoore jak na mroczne odzwierciedlenie labiryntu samotności, w którym Lazarus żył przez ostatnie dwadzieścia lat. Każdy z mieszkańców owego cudownego świata, każdy obecny w nim twór, był po prostu łzą przelaną w milczeniu.

Gdy kolacja miała się ku końcowi, Simone Sauvelle dokładnie już wiedziała, jaki jest zakres jej obowiązków w rezydencji. Charakter jej pracy nie odbiegał od funkcji ochmistrzyni i niewiele miał wspólnego z jej właściwym zawodem nauczycielki. Niemniej gotowa była wypełniać nowe obowiązki najlepiej, jak potrafiła, by zagwarantować godziwą przyszłość swoim dzieciom. Simone miała: nadzorować pracę Hannah i ludzi zatrudnianych dorywczo, administrować rezydencją, zajmować się zaopatrzeniem, utrzymując kontakty z dostawcami i kupcami z miasteczka, prowadzić stosowną korespondencję i dbać o to, by nikt ze świata zewnętrznego nie zakłócał fabrykantowi jego dobrowolnego

odosobnienia. Oprócz tego do jej zadań należał również regularny zakup książek do biblioteki Lazarusa. Pryncypał podkreślił, że to jeden z najważniejszych obowiązków Simone. Przy okazji wyraźnie dał do zrozumienia, że to właśnie jej wykształcenie i zawód zadecydowały o tym, iż ostatecznie wybrał ją spośród wielu innych kandydatek z większym doświadczeniem na tym stanowisku.

Ze swej strony Lazarus oferował im mieszkanie w Domu na Cyplu oraz pensję bardziej niż godziwą. Jednocześnie zobowiązał się pokrywać koszty nauki Irène i Doriana od nowego roku szkolnego. Gwarantował również sfinansowanie studiów obojga, jeśli wykażą ku temu zdolności i wolę. Irène i Dorian mogli pomagać matce, pod jednym wszakże warunkiem: muszą przestrzegać żelaznej zasady nieprzekraczania granic wyznaczonych przez Lazarusa.

Simone Sauvelle, dotkliwie doświadczonej ostatnimi miesiącami nędzy i nękania przez wierzycieli, oferta Lazarusa zdała się błogosławieństwem niebios. Nie było lepszego miejsca na ziemi niż Błękitna Zatoka, by rozpocząć ze swoimi dziećmi nowe życie. O lepszej pracy też nie mogła marzyć i wszystko wskazywało na to, że Lazarus będzie pracodawcą hojnym i łaskawym. Szczęście musiało prędzej czy później się do nich uśmiechnąć. Los chciał, żeby stało się to w tym ustroniu i po raz pierwszy od dłuższego czasu Simone była gotowa zgodzić się na jego wyroki. O ile instynkt jej nie zawodził, a nie zwykł tego czynić, domyślała się, że fabrykant obdarza ją i jej dzieci szczerą

życzliwością. Mogła założyć, że ich obecność w Cravenmoore i ich towarzystwo z czasem złagodzą dotkliwe osamotnienie, w jakim zdawał się żyć fabrykant zabawek.

Przy kawie Lazarus obiecał, że pewnego dnia wprowadzi absolutnie zauroczonego Doriana w arkana konstrukcji automatycznych zabawek. Oczy Dorian natychmiast rozbłysły entuzjazmem. W tej samej chwili spojrzenia Lazarus i Simone spotkały się na chwilę w migocącym świetle świec. Simone dostrzegła w nich tak dobrze jej znane piętno samotności. Dwa dryfujące na pełnym morzu statki. Fabrykant zabawek odwrócił wzrok i wstał w milczeniu, tym samym dając do zrozumienia, że kolacja dobiegła końca.

Potem odprowadził ich do drzwi, po drodze zatrzymując się co jakiś czas, by objaśnić mijane cudeńka. Irène i Dorian słuchali wszystkiego z niekłamanym zadziwieniem. Pod dachem Cravenmoore nagromadziło się tyle wspaniałości, iż nie starczyłoby stu lat, by nacieszyć nimi oko. Opuszczając już westybul, Lazarus zatrzymał się przed czymś, co wyglądało na skomplikowany mechanizm skonstruowany ze zwierciadeł i soczewek, i spojrzał tajemniczo na Dorian. Bez słowa wyjaśnienia wsunął rękę w szpaler luster. Zwierciadlane odbicie ręki po chwili całkowicie się rozmyło. Lazarus uśmiechnął się.

– Nie we wszystko, co widzisz, powinieneś wierzyć. Obraz rzeczywistości, jaki podsuwają nam nasze oczy, jest tylko iluzją, efektem

optycznym – powiedział. – Światło jest wielkim oszustem. Daj mi rękę.

Dorian posłusznie wyciągnął dłoń ku fabrykantowi zabawek i pozwolił mu wsunąć ją w szpaler zwierciadeł. Ze zdumieniem patrzył, jak odbicie jego ręki znika. Spojrzał na Lazarusa pełnym wątpliwości wzrokiem.

– Znasz zasady optyki, prawa rządzące światłem? – spytał gospodarz.

Dorian pokręcił głową. W tym momencie nie wiedział nawet, gdzie znajduje się jego prawa ręka.

– Tak naprawdę magia jest tylko gałęzią fizyki. Jak u ciebie z matematyką?

– Jako tako, poza trygonometrią.

Lazarus uśmiechnął się.

– Od tego zaczniemy. Fantazja to liczby, Dorianie. W tym tkwi cała sztuczka.

Chłopak przytaknął, nie bardzo wiedząc, o czym Lazarus mówi. Gospodarz, doszedłszy do progu, przepuścił swoich gości. W tym właśnie momencie Dorianowi zdało się, że widzi rzecz zupełnie niemożliwą. Gdy cała grupka znalazła się w kręgu światła jednej z migocących latarni, na ścianę padły cienie ich sylwetek. Trzech sylwetek, bowiem wśród nich brakowało cienia Lazarusa, jakby jego obecność była tylko fatamorganą.

Kiedy Dorian się odwrócił, napotkał badawcze spojrzenie

Lazarusa. Chłopiec przełknął ślinę. Fabrykant zabawek, uśmiechając się kpiarsko, uszczypnął go lekko w policzek.

– Nie we wszystko, co widzą twoje oczy, powinieneś wierzyć...

Dorian wyszedł na zewnątrz za matką i siostrą.

– Dziękujemy za wszystko. Życzymy dobrej nocy – pożegnała się Simone.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I mówię to szczerze – odparł serdecznie Lazarus i uśmiechając się, uniósł rękę w geście pożegnania.

* * *

Zbliżała się północ, kiedy Sauvelle'owie zagłębili się w las w drodze do swojego nowego domu.

Dorian szedł w milczeniu, nie mogąc wciąż otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiła na nim rezydencja Lazarusa Janna. Irène szła zatopiona we własnych myślach, nie zwracając uwagi na świat zewnętrzny. Simone zaś odetchnęła z ulgą, dziękując Bogu za szczęście, które ich spotkało.

W pewnej chwili odwróciła się, by raz jeszcze spojrzeć na niknącą w oddali sylwetkę Cravenmoore. W całym budynku było oświetlone tylko jedno okno: na trzecim piętrze zachodniego skrzydła. Za firankami widać było nieruchomą postać. W tym samym momencie światło w oknie zgasło i cały budynek pogrążył się w ciemnościach.

* * *

Irène, znalazłszy się w swojej sypialni, zdjęła sukienkę matki i starannie powiesiła ją na oparciu krzesła. Z sąsiedniego pokoju dochodziły głosy Simone i Doriany. Dziewczyna zgasiła światło i położyła się na łóżku. Niebieskie cienie krążyły w tańcu po suficie jak korowód podrygujących widm. Szum fal rozbijających się o skały przechodził w szept przetykany ciszą. Irène zamknęła oczy i usiłowała zasnąć. Nadaremnie.

Trudno jej było uwierzyć, że nie będzie musiała już wracać do skromnego paryskiego mieszkania ani do tego obrzydliwego dancingu, by zarobić kilka nędznych monet, jakie mogli jej zapłacić równie biedni jak ona żołnierze. Wiedziała, że cienie wielkiego miasta nie zdołają jej tu dosięgnąć, ale odległość nie jest przeszkodą dla pamięci. Wstała i podeszła do okna. W oddali majaczyła wieża latarni morskiej.

Irène skupiła wzrok na wysepce osnutej połyskującą mgiełką. Ciemności przeciął błysk światła, przypominający puszczonego z oddali zajaczka. Parę sekund później błysk znowu przeciął noc, by natychmiast zgasnąć. Irène ze zdziwieniem dostrzegła stojącą na ganku matkę. Simone, narzuciwszy na ramiona gruby sweter, patrzyła w morze. Irène nie musiała widzieć jej twarzy, by domyślić się, że matka płacze i że obie długo nie będą mogły zasnąć. Tej pierwszej nocy w Domu na Cyplu, na początku drogi, która zdawała się prowadzić ku szczęściu, boleśnie jak nigdy dotąd odczuwały brak Armanda Sauvelle'a.

3. Błękitna Zatoka

Ze wszystkich poranków jej życia, w oczach i w pamięci Irène żaden nie był tak słoneczny jak ów poranek dwudziestego drugiego czerwca 1937 roku. Morze rozbłykiwało jakby usiane diamentami. A niebo... Dotąd, żyjąc w mieście, nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, że niebo może być aż tak przejrzyste. Irène mogła teraz ze swojego okna ujrzeć wysepkę z latarnią w całej okazałości, podobnie jak niewielkie skały wylaniające się z wód zatoki niczym grzebień podwodnego smoka. Rozciągające się za Plażą Anglika miasteczko, ze swoimi domkami równo ustawionymi wzdłuż głównej ulicy, wyglądało jak obrazek pokryty mgiełką unoszącą się znad rybackiego portu. Przymknąwszy nieco oczy, mogła zobaczyć raj wymalowany przez Claude'a Moneta, ulubionego malarza jej ojca.

Irène otworzyła okno na oścież, wpuszczając do pokoju powiew morskiej bryzy przesyconej zapachem soli. Mewy mające gniazda na skałach odwróciły łebki, by przyjrzeć się jej z ciekawością, z jaką patrzy się na nowych, dopiero co przybyłych sąsiadów. Irène spostrzegła, że Dorian już zajął swoje ulubione miejsce pomiędzy skałami, fantazjując, myśląc o niebieskich migdałach, zaprzątnięty Bóg jeden wie czym...

Dziewczyna, zastanawiając się już, w co ma się ubrać, by jak najradośniej rozpocząć ten bajkowy dzień, usłyszała dochodzący z parteru nieznany sobie, trajkoczący i radosny głos. Wsłuchując się w

nawałnicę słów, zdołała również usłyszeć spokojny i łagodny tembr głosu matki rozmawiającej, a właściwie usiłującej wtrącić jedno, najwyżej dwa słowa w chwilach, gdy jej rozmówczyni nabierała oddechu.

Ubierając się, Irène próbowała odgadnąć, jak wygląda właścicielka niemilkącego głosu. Od małego do jej ulubionych zabaw należało wyobrażanie sobie danej osoby wyłącznie na podstawie głosu. Zamknąć oczy, wsłuchać się uważnie i odgadnąć, jakiego jest wzrostu, ile waży, jaką ma twarz, charakter...

Tym razem intuicja podpowiadała jej, że to młoda, niewysoka dziewczyna, nerwowa i ruchliwa, brunetka o najprawdopodobniej ciemnych oczach. Irène, mając w głowie ten obraz, postanowiła zejść na dół. Chciała zaspokoić swój poranny głód, jedząc porządne śniadanie. Przede wszystkim jednak chciała zaspokoić swoją ciekawość dotyczącą właścicielki owego głosu.

Wszedłszy do saloniku na parterze, przekonała się, nie bez satysfakcji, że pomyliła się tylko co do jednego: włosy dziewczyny miały kolor słomkowy. Poza tym strzał w dziesiątkę. W ten oto sposób Irène poznała Hannah, jeszcze zanim ją zobaczyła.

* * *

Simone Sauvelle dołożyła wszelkich starań, by zrewanżować się Hannah równie pysznym śniadaniem za wyśmienitą kolację, którą ta

przygotowała dla nich ubiegłego wieczoru. Dziewczyna pochłaniała je z prędkością jeszcze większą niż ta, z jaką wyrzucała z siebie słowa. Simone i Irène, zalane wartkim strumieniem anegdot, plotek i wszelkiego rodzaju historyjek na temat miasteczka i jego mieszkańców, już po kilku minutach miały wrażenie, że znają Hannah od zawsze.

Chrupiąc grzanekę za grzanką, Hannah przedstawiła im w telegraficznym skrócie swoją biografię. W listopadzie miała skończyć szesnaście lat; jej rodzice – ojciec rybak, matka piekarka – mieli w miasteczku domek; mieszkał z nimi jeszcze jej kuzyn, Ismael, który kilka lat temu stracił rodziców i pomagał stryjkowi, to znaczy ojcu Hannah, w pracy. Już nie chodziła do szkoły, bo ta jędza Jeanne Brau, czyli dyrektorka szkoły, zaszufładowała ją jaką tępą i ograniczoną. Mimo wszystko Ismael uczył ją czytać, a jej znajomość tabliczki mnożenia poprawiała się z miesiąca na miesiąc. Jej ulubionym kolorem był żółty. Kolekcjonowała muszle, które zbierała zazwyczaj na Plaży Anglika. Najbardziej na świecie lubiła słuchać radiowych powieści w odcinkach. Uwielbiała też te letnie wieczory, kiedy do miasta zjeżdżała orkiestra objazdowa i można było pójść potańczyć na rynku. Nie używała perfum, lubiła za to szminki...

Słuchanie Hannah było tyleż zabawne, co męczące. Zmiótłszy całe swoje śniadanie i dojadłszy resztki śniadania Irène, Hannah na chwilę zawiesiła głos. W domu zapadła cudowna wprost cisza. Nietrudno zgadnąć, że nie trwała długo.

– Może wybierzemy się razem na spacer? Pokażę ci miasteczko – zaproponowała Hannah najwyraźniej podekscytowana perspektywą oprowadzenia nowej koleżanki po Błękitnej Zatoce.

Irène spojrzała pytająco na matkę.

– Świetny pomysł – powiedziała po chwili.

– Proszę się nie martwić, proszę pani, przyprowadzę córkę z powrotem całą i zdrową.

Irène pożegnała się z matką i obie dziewczyny pobiegły do drzwi, wypadły na zewnątrz i ruszyły ku Plaży Anglika. Do Domu na Cyplu powoli powracał spokój. Simone wzięła filiżankę kawy i wyszła na ganek, by nacieszyć się tym tak miło zapowiadającym się porankiem. Dorian pomachał jej ze swojego zakątka na skałach.

Simone skinęła mu ręką. Dziwny chłopak. Zawsze sam. Jakby nie interesowało go zupełnie towarzystwo przyjaciół, a może po prostu nie wiedział, jak zaskarbić sobie sympatię rówieśników. Żyje we własnym świecie, coś tam rysuje w tych swoich zeszytach, nigdy nie wiadomo, o czym właściwie rozmyśla. Dopijając kawę, Simone jeszcze raz spojrzała na Hannah i swoją córkę, idące w kierunku miasta. Sądząc po gestykulacji, Hannah trajkotała nieustannie. Bóg dzieli nierówno. Jednym daje wszystko, drugim figę z makiem...

* * *

Niemal cały miesiąc zabrało rodzinie Sauvelle'ów zapoznanie się z sekretami i wszelakimi niuansami życia codziennego w maleńkim portowym miasteczku. Pierwsza faza – szok kulturowy i dezorientacja – trwała ponad tydzień, w czasie którego członkowie rodziny odkryli, że poza dziesiętnym systemem metrycznym wszystko inne, jak na przykład obyczaje czy reguły współżycia społecznego, było całkowicie odmienne od norm paryskich. Przede wszystkim poczucie czasu.

W Paryżu śmiało można by zaryzykować twierdzenie, że na tysiąc mieszkańców przypadało tysiąc zegarków, tyranów programujących wszystkim życie z iście wojskowym rygorem. W Błękitnej Zatoce jedynym zegarem było słońce. Tak jak jedynymi samochodami były auta doktora Giraud, Lazarusa i pojazd żandarmerii. I nie było... Różnice dało się wyliczać bez końca, choć w istocie nie kryły się one w liczbach, lecz w obyczajach.

Paryż był miastem anonimowych ludzi, miejscem, w którym można było przez lata żyć obok siebie, drzwi w drzwi, i nie wiedzieć, jak się nazywa twój sąsiad. W Błękitnej Zatoce wprost przeciwnie, każde kichnięcie czy podrapanie się w nos było natychmiast powszechnie komentowane, jak miasteczko długie i szerokie, i to przez kilka dni. Tu każde przeziębienie było wiadomością, a wiadomości były bardziej zaraźliwe niż przeziębienia. Nie wychodziła tu żadna lokalna gazeta, bo i po co.

To Hannah podjęła się misji wprowadzenia ich w życie, historię i cuda miasteczkowej społeczności. Niewiarygodna prędkość, z jaką dziewczyna wystrzeliwała z siebie słowa, pozwoliła jej w ciągu kilku zaledwie spotkań przekazać, w skompromowanej formie, tyle informacji i plotek, iż w zupełności wystarczyłyby na okazałych rozmiarów i całkiem wyczerpujący przewodnik encyklopedyczny. Sauvelle'owie dowiedzieli się więc, że proboszcz miejscowej parafii, ksiądz Laurent Savant, organizował zawody w nurkowaniu i biegi maratońskie i że oprócz nieustannego narzekania z ambony na lenistwo parafian i unikanie przez nich porannej gimnastyki przejechał na rowerze więcej kilometrów, niż pokonał Marco Polo podczas wyprawy.

Dowiedzieli się również, że lokalne władze w każdy wtorek i czwartek o godzinie trzynastej odbywają swe robocze zebrania, podczas których Ernest Dijon, przypuszczalnie dożywotni burmistrz, cieszący się matuzalemowym wiekiem, zajęty jest łobuzerskim podszcypywaniem poduszki swego fotela pod stołem, przekonany, że to masywne udo Antoinette Fabré, księgowej ratusza i starej panny zaprzysięgłej jak mało która.

Hannah zasypywała ich w ciągu minuty kilkoma opowieściami tego rodzaju, co w dużej mierze miało związek z tym, że jej matka, Élisabeth, prowadziła miejscową piekarnię, która jednocześnie pełniła funkcję agencji informacyjnej, służby wywiadowczej i kącika złamanych serc w Błękitnej Zatoce.

Sauvellerowie szybko zrozumieli, że miasteczkowa ekonomia jest specyficzną mutacją gospodarki rynkowej, znacznie odbiegającą od modelu kapitalizmu paryskiego. Wbrew pozorom to, co wydawało się zajęciem głównym, w rzeczywistości stanowiło zajęcie poboczne: w piekarni sprzedawano pieczywo, co oczywiste, ale była ona również swego rodzaju załączkiem środków masowego przekazu, a monsieur Safont, szewc, był też rymarzem – ale magnesem, który najbardziej przyciągał klientów, było jego półsekretnie zajęcie astrologa i wróżbity...

Przykłady tego wykonywania kilku zawodów naraz można by mnożyć. Życie wydawało się proste i spokojne, choć w rzeczywistości kryło więcej niespodzianek niż sklep z akcesoriami magicznymi. Najważniejsze było zacząć żyć w zgodzie ze specyficznym rytmem miasteczka, wsłuchiwać się w to, co mówią jego mieszkańcy, i poddać się wszystkim rytuałom inicjacyjnym, przez które musiał przejść każdy nowo przybyły, by stać się pełnoprawnym obywatelem Błękitnej Zatoki.

Dlatego też Simone, za każdym razem, gdy zachodziła do miasteczka, by odebrać listy i przesyłki, zaglądała do piekarni, by poszerzyć swoją wiedzę o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Panie z Błękitnej Zatoki przyjęły ją serdecznie i rychło zaczęły bombardować pytaniami dotyczącymi jej tajemniczego pryncypała. Lazarus trzymał się na uboczu, stronił od ludzi i rzadko bywał w miasteczku. Jakby tego było mało, otaczającą go aurę tajemniczości potęgowały jeszcze otrzymywane przezeń regularnie, co tydzień, stosy

książek.

– No niech sama pani pomyśli, pani Simone – powiedziała jej przy jakiejś okazji Pascale Lelouch, aptekarzowa – samotny mężczyzna, no dobrze, praktycznie samotny... w takim domu... z taką ilością książek...

Wobec tak przenikliwie odkrywczych uwag Simone nauczyła się potakiwać z uśmiechem, bez słowa komentarza. Jak zwykł mawiać jej zmarły mąż, szkoda czasu na jakiegokolwiek próby zmieniania świata, wystarczy uważać, by świat nie zmienił ciebie.

Nauczyła się również spełniać wszelkie ekstrawaganckie wymagania Lazarusa dotyczące korespondencji. Poczta osobista miała być otwierana następnego dnia po jej otrzymaniu i należało odpowiadać na nią bez zwłoki. Poczta o charakterze handlowym i oficjalne pisma winny być otwierane zaraz po otrzymaniu, ale pod żadnym pozorem nie należało odpowiadać na nie przed upływem tygodnia. I rzecz najważniejsza, każdą przesyłkę z Berlina, której nadawcą byłby niejaki Daniel Hoffmann, należało wręczyć Lazarusowi osobiście. Nikt, pod żadnym pozorem, nie powinien jej otwierać. Simone uznała, że nie jej sprawą było dociekanie przyczyn tych, tak szczegółowych, rozporządzeń. Dość szybko przekonała się, że po pierwsze, lubi to miejsce, a po drugie, że mieszkanie z dala od Paryża może wyjść jej dzieciom jedynie na zdrowie. Bez słowa sprzeciwu dostosowała się więc do rygorystycznego regulaminu otwierania korespondencji i udzielania na nią odpowiedzi.

Dorian z kolei stwierdził, że nawet jego nowo odkryta pasja kartograficzna pozostawia mu jeszcze sporo wolnego czasu, który mógł spędzać w towarzystwie chłopaków z miasteczka. Nikt z nich nie zważał na to, czy jest tu nowy, czy nie, albo czy jest dobrym pływakiem, czy nie (a nie był nim, ale jego nowi przyjaciele szybko zajęli się jego odpowiednią edukacją). Nauczył się, że petanka to zajęcie dla obywateli bliższych emeryturze, uganianie się za dziewczynami zaś to zajęcie dla piętnastolatków zadzierających nosa, ofiar burz hormonalnych atakujących cerę i zdrowy rozsądek. W jego wieku natomiast trzeba było cieszyć się rowerem, fantazjować i uważnie przyglądać się światu, w nadziei, że świat wreszcie zauważy ciebie. I czekać z niecierpliwością na niedzielne wieczory. Na kino. W ten oto sposób Dorian odkrył swoją nową skrytą miłość, przy której kartografia odchodziła w zapomnienie niczym nauki Ptolemeusza. W życiu Doriana pojawiła się Greta Garbo. Boska istota. Na samo jej wspomnienie w porze obiadowej Dorianowi odbierało apetyt, choć tak naprawdę była to trzydziestoletnia... staruszka.

Podczas gdy Simone zajęta była swoimi obowiązkami, a Dorian bił się z myślami, czy jego fascynacja tak starą kobietą nie ociera się przypadkiem o perwersję, Irène przyjęła na siebie całą nawałnicę słów niezmordowanej Hannah. Młoda kucharka codziennie recytowała jej listę chłopaków nie tylko do wzięcia, ale i cechujących się jako takim obyciem. Hannah sądziła, że jeśli w ciągu dwóch pierwszych tygodni

pobytu w miasteczku Irène nie zacznie niewinnie flirtować z którymś z nich, chłopcy zaczną uważać ją za dziwoląga. Sama Hannah musiała jednak przyznać, że o ile w kategorii „piękny tors” było w czym wybierać, o tyle w kategorii „piękny umysł” właściwie nie miał kto startować. W każdym razie Irène nie mogła się opędzić od zalotników, czego przyjaciółka szczerze jej zazdrościła.

– Dziewczyno, gdybym miała takie powodzenie jak ty, to już byłabym Matą Hari – mawiała Hannah.

Irène, spoglądając na kręcącą się w pobliżu, niby przypadkiem, chmarę chłopaków, uśmiechała się z zakłopotaniem.

– Nie bardzo wiem, czy w ogóle mnie to interesuje... Wyglądają, jakby byli jacyś głupkowaci...

– Głupkowaci? – wybuchła Hannah, nie pojmując, jak można tak marnować okazje. – Jak chcesz usłyszeć coś ciekawego, to pójdz sobie do kina albo książkę poczytaj.

– Zastanowię się – śmiała się Irène.

Hannah kręciła głową z niedowierzaniem.

– Marny twój los, spotka cię to samo, co spotkało mojego kuzyna Ismaela – oświadczała wówczas.

Z mało składowych opowieści swej przyjaciółki Irène zdołała zrozumieć, że Ismael ma szesnaście lat i że po śmierci rodziców został przygarnięty przez rodzinę Hannah. Pracował na kutrze razem ze stryjem, ale jego prawdziwą pasją było żeglowanie w samotności. Sam

zbudował sobie łódź żaglową i nadał jej nazwę, której Hannah nigdy nie potrafiła zapamiętać.

– Coś greckiego, wydaje mi się.

– A gdzie teraz jest twój kuzyn? – spytała Irène.

– Na morzu. Latem rybacy wypływają na pełne morze. Ismael i tata są na „Estelle”. Wrócą dopiero w sierpniu – wyjaśniła Hannah.

– Ciężko chyba tak żyć. Tyle czasu na morzu, z dala od rodziny...

Hannah wzruszyła ramionami.

– Gdzieś pracować trzeba...

– Ale praca w Cravenmoore to chyba nie jest szczyt twoich marzeń, co? – zapytała Irène.

Hannah spojrzała na nią z niejakim zaskoczeniem.

– No wiesz, nie moja sprawa... rzecz jasna – zaczęła tłumaczyć się Irène.

– No przestań, możesz pytać, o co tylko chcesz – powiedziała Hannah z uśmiechem. – Masz rację, ta praca nie bardzo mi się podoba.

– Ze względu na Lazarusa?

– Nie. Lazarus jest bardzo miły i obszedł się z nami bardzo łaskawie. Kiedy tata miał wypadek ze śrubą okrętową, już dawno temu, to on zapłacił za operację. Gdyby nie Lazarus...

– No to co ci przeszkadza?

– A bo ja wiem? To miejsce. Te maszyny... Pełno tam maszyn, które ni stąd, ni zowąd zaczynają patrzeć na ciebie.

- Przecież to tylko zabawki.
- Spróbuj tam spędzić chociaż jedną noc. Ledwo zamykasz oczy, a tu: tik-tak, tik-tak... – Obie spojrzały na siebie uważnie.
- Tik-tak, tik-tak? – zawtórowała Irène.
- Hannah uśmiechnęła się sarkastycznie.
- Ze mnie jest tchórz, tego się nie da ukryć, ale ty jesteś na prostej drodze do staropanieństwa.
- Uwielbiam stare panny – odparła Irène.

* * *

I tak, niedostrzegalnie prawie, mijał dzień za dniem i ani się obejrżeli, jak nadszedł sierpień. A z nim nadeszły również letnie ulewy i burze, raczej przelotne, trwające co najwyżej dwie godziny. Simone była całkowicie pochłonięta swoimi obowiązkami, Irène przyzwyczajała się do Hannah. A Dorian uczył się oczywiście nurkowania, nie przestając kreślić w wyobraźni map sekretnej geografii Greta Garbo.

Pewnego sierpniowego dnia, z tych poprzedzonych nocną ulewą, która zostawiała po sobie chmury w kształcie zamków płynących po oślepiająco lazurowym niebie, Irène i Hannah postanowiły udać się na spacer po Plaży Anglika. Minęło już półtora miesiąca od przybycia Sauvelle'ów do Błękitnej Zatoki. Wszystko zdawało się wskazywać, że nie czekają tu ich już żadne niespodzianki. Wkrótce mieli się jednak przekonać, że jest zupełnie inaczej.

* * *

Ślady stóp biegnące wzdłuż linii brzegu przypominały w południowym słońcu ciemne żłobienia na oślepiającej białą powierzchnią, a maszty w porcie kołysały się w oddali niczym rozedrgane miraż.

Siedząc na zbutwiałych szczątkach łodzi, która osiadła na zawsze na tej bezkresnej mieliźnie drobnusieńkiego piasku, Irène i Hannah odpoczywały otoczone przez stadko małych niebieskich ptaków, mających gniazda gdzieś na plaży, pewnie pośród białych wydmy.

– Czemu ta plaża nazywa się Plażą Anglika? – zapytała Irène zapatrzona w pagórki piasku rozpościerające się pomiędzy miasteczkiem a cyplem.

– Przez całe lata mieszkał tu w swojej chatce stary Anglik, który był malarzem. Biedak miał więcej długów niż pędzli. Dawał mieszkańcom miasteczka swoje obrazy w zamian za jedzenie i ubrania. Zmarł trzy lata temu. Pochowano go tu, na plaży, gdzie spędził prawie całe swoje życie – wyjaśniła Hannah.

– Gdybym mogła wybierać, też chciałabym zostać pochowana w takim miejscu jak to.

– Przyjemne myśli chodzą ci po głowie, nie ma co – powiedziała Hannah nie bez wyrzutu.

– Bynajmniej mi się nie spieszy – zaznaczyła Irène, zauważając niewielką żaglówkę, która pojawiła się na wodach zatoki, jakieś sto metrów od brzegu.

– No tak – mruknęła Hannah. – Znów się zjawił, nasz samotny żeglarz. Nawet jednego dnia nie mógł wytrzymać bez tej swojej łajby.

– O kim mówisz?

– Ojciec i kuzyn wrócili wczoraj z połowu – wyjaśniła Hannah. – Ojciec jeszcze śpi, ale ten... Nie ma dla niego ratunku.

Irène znów poszukała wzrokiem żaglówki.

– To mój kuzyn, Ismael. Pół życia spędza na tej łodzi, przynajmniej kiedy nie pracuje z ojcem w porcie. Ale to dobry chłopak. Popatrz na ten medalion.

Irène uważnie przyjrzała się medalionowi na złotym łańcuszku wiszącemu na szyi koleżanki. Przedstawiał słońce, które zachodziło do morza.

– To prezent od Ismaela.

– Prześliczny – powiedziała Irène z niekłamanym podziwem.

Hannah wstała i wydała z siebie okrzyk, który sprawił, że stadko ptaków, niczym wystrzelone z procy, pofrunęło na drugi kraniec plaży. Niewyraźna sylwetka sternika pomachała im, a łódź skierowała się w stronę brzegu.

– Przede wszystkim nie pytaj go o jacht – ostrzegła Hannah. – A jeśli sam zacznie o nim mówić, pod żadnym pozorem nie pytaj, jak go zrobił. Może o tym gadać całymi godzinami...

– To pewnie rodzinne...

Hannah posłała jej wściekle spojrzenie.

– Chyba zostawię cię tu samą na plaży, na pożarcie krabom.

– Przepraszam.

– Wybaczam. Ale jeśli myślisz, że jestem gadułą, poczekaj tylko, aż poznasz moją matkę chrzestną. Przy niej cała reszta rodziny to po prostu niemowy.

– Na pewno ją polubię.

– Na pewno... – odparła Hannah, niezdolna powstrzymać zgryźliwego uśmiešku.

* * *

Jacht Ismaela stanął w linii wiatru, żagiel zaczął łopotać. Ismael szybkim ruchem go opuścił i skierował dziób łodzi w stronę plaży. Widać było, że jest wytrawnym żeglarzem. Po chwili spokojnie dobił do brzegu. Wskoczywszy na ląd, obrzucił Irène spojrzeniem od stóp do głów. I choć starał się to zrobić od niechcienia i jakby przelotnie, nie potrafił od niej oderwać wzroku. Hannah, przedrzeźniając jego głupawą minę, natychmiast ich sobie przedstawiła, w charakterystycznym dla siebie stylu.

– Ismaelu, to moja przyjaciółka Irène – zaczęła nadzwyczaj uprzejmie. – Ale nie musisz gapić się na nią jak ciele na malowane wrota.

Chłopak dał sójkę w bok swojej kuzynce i wyciągnął rękę do Irène.

– Cześć.

Lapidarnemu pozdrowieniu towarzyszył nieśmiały i szczery uśmiech. Irène uścisnęła rękę chłopca.

– Spokojnie, dziewczyno, on naprawdę umie mówić, tylko teraz go zatkało. W ten sposób chce ci oznajmić, że jest tobą oczarowany i tak dalej, i tym podobne.

– Moja kuzynka tak dużo gada, że czasami boję się, że w słowniku zabraknie dla niej słów – odezwał się Ismael. – Śmiem sądzić, że już zdążyła cię uprzedzić, byś nie pytała mnie o jacht.

– Szczerze mówiąc, nie zdążyła – skłamała na wszelki wypadek Irène.

– Akurat. Hannah myśli, że to jedyny temat, na jaki potrafię i chcę rozmawiać.

– O sieciach i takielunkach też potrafisz niezłe nawijać, ale przy żaglówce wysiadają.

Irène przysłuchiwała się rozbawiona wymianie uszczypliwości między Hannah a Ismaelem. Widać było, że lubią się sprzeczać. Nie robili tego, żeby sprawić sobie przykrość, ale żeby ubarwić nieco szarą codzienność.

– Słyszałem, że wprowadziliście się do Domu na Cyplu – powiedział Ismael.

Irène przyjrzała się chłopcu i spróbowała na własny użytek opisać go sobie. Szesnastolatek, i na tyle wyglądał; po skórze i włosach widać było, że dużo czasu spędza na morzu. Dzięki ciężkiej pracy w porcie był

krzepki i postawny. Ramiona i dłonie pełne były drobnych blizn, rzecz rzadka w Paryżu. Na prawej nodze, od kolana ku kostce, ciągnęła się blizna dłuższa i wyraźniejsza. Irène zastanawiała się, gdzie też mógł zdobyć takie trofeum. Na koniec spojrzała mu w oczy, które już od pierwszej chwili wydały jej się niezwykle. Duże i jasne. Ich smutnawe, przenikliwe spojrzenie sprawiało wrażenie, jakby kryło jakąś tajemnicę. Oczy Ismaela przypominały Irène spojrzenia tych bezimiennych żołnierzy, z którymi tańczyła po trzy minuty w rytm rzępolenia podrzędnej orkiestry – spojrzenia, za którymi czaiły się strach, smutek i gorycz.

– Kochanie, uszczypnąć cię? – Hannah wyrwała ją z zamyślenia.

– Późno się zrobiło. Mama pewnie się martwi.

– Mama pewnie jest wniebowzięta, że ma chwilę spokoju, ale skoro się spieszysz – odpowiedziała Hannah.

– Mogę cię podrzucić – zaoferował się Ismael. – Przy Domu na Cyplu jest maleńka przystań, w której mogę zacumować.

Irène spojrzała pytająco na Hannah.

– Jeśli odmówisz, złamiesz mu serce. Mój kuzyn nie zaprosiłby na swoją łódkę nawet Grety Garbo.

– A ty nie popłyniesz? – zapytała Irène, nieco zaniepokojona.

– Nawet za ciężkie pieniądze nie wsiadłabym na ten wrak. A poza tym mam dziś wolne, a na placu są tańce. Na twoim miejscu zastanowiłabym się dwa razy. Na stałym lądzie łatwiej o dobrą partię. I

mówi ci to córka rybaka. Ale nie słuchaj mnie. Idź z nim. A ty, panie marynarzu, uważaj na moją przyjaciółkę. Ma dotrzeć na miejsce cała i zdrowa, zrozumiano?

* * *

Łódź odbiła od brzegu i skierowała się ku cypłowi. Dziób łodzi, na której burcie widniał napis „Kyaneos”, zaczął pruć przybrzeżne fale.

Ismael, wciąż uśmiechając się nieśmiało do dziewczyny, na stojąco wykonywał poszczególne manewry. Usiadł, dopiero gdy wypłynęli na wody zatoki. Irène, zajmwszy miejsce na ławeczce, nie broniła się przed pryskającymi jej na twarz kroplami wody. Łódź oddalała się od brzegu tak szybko, że Hannah wkrótce przeistoczyła się w niewielką postać machającą do nich z daleka. Prędkość, z jaką jacht sunął po zatoce, i odgłos rozcinanej przez dziób wody, wprowadziły Irène w dziwny stan: nagle bez żadnego powodu zachciało jej się śmiać.

– Pierwszy raz? – zapytał Ismael. – To znaczy chcę zapytać, czy pierwszy raz na jachcie?

Irène przytaknęła.

– Nie ma się z czym równać, co?

Dziewczyna znów przytaknęła i wciąż się uśmiechając, nie odrywała oczu od dużej blizny na nodze Ismaela.

– Konger – powiedział chłopak. – To długa historia.

Irène uniosła wzrok i przyjrzała się wyłaniającej się co chwila zza

drzew lasu sylwetce Cravenmoore.

– Co oznacza nazwa twojej łodzi?

– To po grecku. „Kyaneos”: od niego pochodzą nasze cyjan i cyjanit... – odpowiedział Ismael enigmatycznie.

Irène zmarszczyła jeszcze bardziej brwi, nic nie rozumiejąc.

– Grecy używali tego słowa, żeby opisać ciemnoniebieski kolor, kolor morza. Kiedy Homer mówi o morzu, porównuje jego barwę z ciemnym winem. Używał tego właśnie słowa: kyaneos.

– A jednak potrafisz rozmawiać o czymś więcej niż tylko o łódce i sieciach.

– Staram się.

– A kto cię tego nauczył?

– Żeglowania? Sam się nauczyłem.

– Nie, nie, tego o Homerze.

– Mój ojciec pasjonował się historią. Wciąż mam jego książki...

Irène się nie odzywała.

– Hannah na pewno powiedziała ci, że moi rodzice nie żyją.

Irène przytaknęła tylko głową, wpatrując się zauroczona w znajdującą się kilkaset metrów dalej latarnię na wysepce.

– Nie działa już od wielu lat. Zastąpiła ją latarnia portowa w Błękitnej Zatoce – wyjaśnił jej.

– Nikt już nie przyplywa na wyspę? – zapytała Irène.

Ismael pokręcił głową.

– Czemu?

– A lubisz opowieści o duchach? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– To zależy...

– W miasteczku są tacy, co wierzą, że wysepka z latarnią jest zaczarowana czy coś w tym stylu. Wieść niesie, że wiele lat temu utonęła tam jakaś kobieta. Niektórzy zarzekają się, że widzieli tam światła. No cóż, tu, na wybrzeżu każde miasteczko ma swoje klechdy, więc i nasze nie mogło być gorsze.

– Światła?

– Światła września – odpowiedział Ismael, kiedy zaczęli opływać cypel. – Legenda, powiedzmy, że to legenda, głosi, iż wiele lat temu, pod koniec lata, kiedy odbywała się doroczna, kończąca sezon maskarada, ludzie ujrzeli kobietę w przebraniu, która wsiadła w porcie na jacht i odbiła od brzegu. Niektórzy utrzymują, że miała na wysepce potajemną randkę z kochankiem, inni twierdzą, że uciekała, popełniwszy jakąś straszliwą zbrodnię. Sama widzisz, że wersji jest dużo i każda w gruncie rzeczy możliwa, ale najważniejsze, że nikt wie, kim naprawdę była ta kobieta. Jej twarz zakryta była maską. Podczas gdy płynęła przez zatokę, rozpętała się gwałtowna burza, która zniosła łódź w stronę skał. Łódź się roztrzaskała, a tajemnicza kobieta bez twarzy utonęła. Jej ciała nigdy nie odnaleziono. Parę dni później morze wyrzuciło na brzeg zniszczoną maskę. Od tamtej pory ludzie gadają, że w ostatnie dni lata, o zmierzchu,

na wyspie pojawiają się światła...

- Duch tej kobiety...
- Właśnie, usiłującej dokończyć podróż. Tak mówią...
- A to prawda?
- To historia o duchach. Albo się w nią wierzy, albo nie.
- A ty w nią wierzysz? – nie ustępowała Irène.
- Ja wierzę tylko w to, co widzę.
- Żeglarz niedowiarek.
- Coś w tym stylu.

Irène znów obrzuciła wysepkę wzrokiem. Fale rozbryzgiwały się o skały. Światło, przechodząc przez zbite szyby latarni, rozszczepiało się w tęczę zanikającą w wodnej zasłonie tworzonej przez krople rozbijających się fal.

- Byłeś tam kiedykolwiek? – zapytała.
- Na wysepce?

Ismael zmienił kierunek, żeby okrążyć cypel; popłynął kawałek z wiatrem, zrobił zwrot i skierował dziób pod wiatr, w stronę przystani.

- Może chciałabyś się tam wybrać? – zaproponował.
- A można?
- Wszystko można. To tylko kwestia odwagi – odparł Ismael, uśmiechając się prowokacyjnie.

Irène wytrzymała jego spojrzenie.

- Kiedy?

- W sobotę. Na mojej łodzi.
- Sami?
- Sami. Chyba że się boisz...
- Nie boję się – ucięła natychmiast Irène.
- No to w sobotę. Przyłynę po ciebie przed południem.

Irène odwróciła głowę, by spojrzeć w stronę brzegu, na wznoszący się nad klifem Dom na Cyplu. Dorian gapił się na nich z ganku, nawet nie próbując kryć swej ciekawości.

- To mój brat, Dorian. Może wejdziesz, poznasz moją mamę.
- Kiepsko wypadam na rodzinnych prezentacjach.
- Co się odwlecze, to nie uciecze.

Łódź wpłynęła do maleńkiej zatoczki wśród skał u podnóża Domu na Cyplu. Ismael z niezwykłą wprawą opuścił żagiel, by łódź siłą inercji pokonała odległość dzielącą ją od przystani. Chwycił cumę i wyskoczył na pomost, przytrzymując dziób. Przycumowawszy łódź, wyciągnął dłoń ku Irène.

– A tak w ogóle to Homer był ślepy, wiesz? Skąd mógł wiedzieć, jakiego koloru jest morze? – spytała Irène.

Ismael wziął ją za rękę i mocno trzymając, pomógł jej zeskoczyć na pomost.

– Jeszcze jeden argument, żeby wierzyć tylko w to, co się widzi – odpowiedział chłopak, wciąż nie wypuszczając jej dłoni.

Irène przypomniały się słowa Lazarusza wypowiedziane pierwszego

wieczoru w Cravenmoore.

– Czasem wzrok nas zwodzi – stwierdziła.

– Ale nie mnie.

– Dziękuję za wycieczkę.

Ismael uśmiechnął się, puszcżając wreszcie jej dłoń.

– Do zobaczenia w sobotę.

– Do zobaczenia.

Ismael, trzymając cumę w ręku, odrzucił dziób na wodę, wskoczył na łódkę i szybko podniósł żagiel. Złapawszy wiatr w żagle, wypłynął z zatoczki. Po chwili „Kyaneos” skierował się z powrotem ku portowi Błękitnej Zatoki.

Irène jeszcze przez chwilę stała na pomoście, obserwując, jak biały żagiel maleje w oddali. Dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że wciąż się uśmiecha, a w dłoniach czuje dziwne mrowienie. Ogarnęło ją przekonanie, że czekający ją tydzień będzie bardzo, ale to bardzo długi.

4. Tajemnice i cienie

W Błękitnej Zatoce istniały jakby tylko dwie pory roku: lato i cała reszta. Latem mieszkańcy miasteczka pracowali trzy razy więcej niż zwykle, na potrzeby okolicznych kurortów zapelniających się turystami, którzy przybywali tu z wielkich miast, by nacieszyć się plażą, słońcem i nudą, za którą słono zapłacili. Od trzech długich wakacyjnych miesięcy zależał los piekarzy, sklepikarzy, restauratorów i wszelkich innych zawodów na wybrzeżu Normandii. Podczas tych trzynastu czy czternastu tygodni mieszkańcy Błękitnej Zatoki zamieniali się w pracowite mrówki, by przez resztę roku spokojnie próżnować jak koniki polne. Szczególnie zaś pracowite były pierwsze dni sierpnia, kiedy ruch turystyczny sięgał szczytu i ciężko było sprostać gwałtownemu wzrostowi zapotrzebowania na wszystko.

Jednym z niewielu, którzy nie podlegali temu rytmowi, był Christian Hupert. Jak pozostali szyprowie, musiał być mrówką przez dwanaście miesięcy w roku. I zawsze z początkiem lata stary rybak dochodził do tych samych gorzkich wniosków, widząc, jak próżnujący dotąd sąsiedzi rzucają się w wir pracy. Stwierdzał, że popełnił kardynalny błąd i że lepiej byłoby zerwać z wielowiekową rodzinną tradycją i założyć hotelik, sklepik czy cokolwiek innego. Być może wówczas jego córka Hannah nie musiałaby przez cały tydzień usługiwać w Cravenmoore, a on sam może w końcu zacząłby widywać swoją żonę

dłużej niż trzydzieści minut dziennie, piętnaście o świcie, piętnaście o zmierzchu.

Ismael przyglądał się stryjowi. Pracowali razem przy naprawie pompy ssącej na łodzi. Zasepiona twarz rybaka zdradzała, o czym myśli.

– Mógłbyś otworzyć warsztat skutniczy – zasugerował Ismael.

Stryj w odpowiedzi mruknął coś pod nosem.

– Albo sprzedać kuter i zainwestować w sklep pana Didier. Od sześciu lat próbuję cię do tego nakłonić – ciągnął chłopiec.

Stary rybak przerwał pracę, by bacznie przyrzeć się chłopcu. Trzydzieści lat ojcowania mu nie udało zatrzeć tego, co najbardziej go w chłopcu drażniło, choć jednocześnie w nim to lubił: uderzającego i jakby rosnącego z roku na rok podobieństwa do ojca, łącznie z pewnymi cechami charakteru, jak na przykład udzielanie rad, o które nikt go nie prosił.

– Może ty powinieneś się nad tym zastanowić – odparł Christian. – Ja zbliżam się już do pięćdziesiątki. W moim wieku nie zmienia się zawodu.

– No to dlaczego narzekasz?

– A znasz takiego, co nie narzeka?

Ismael wzruszył ramionami. Obaj znowu nachylili się nad pompą.

– Dobra, nie powiem już słowa na ten temat – wymamrotał Ismael.

– Akurat. Dokręć ten naprężnik.

– Ten naprężnik nadaje się na złom. Powinniśmy wymienić pompę.

Któregoś dnia może nam sprawić niemiłą niespodziankę.

Hupert uśmiechnął się swoim najprzyjemniejszym uśmiechem, zarezerwowanym dla nabywców na targu rybnym, władz portowych i wszelkiej maści naiwniaków.

– Ta pompa należała do mojego ojca. A przedtem do mojego dziadka. A przedtem...

– Właśnie o tym mówię – nie pozwolił mu dokończyć Ismael. – Większy byłby z niej pożytek w muzeum rybołówstwa.

– Gadaj zdrów.

– Dobrze wiesz, że mam rację.

Wyprowadzanie stryja z równowagi było jedną z jego ulubionych rozrywek. Ustępowało jedynie żeglowaniu na własnej łodzi.

– Nie mam zamiaru kontynuować dyskusji na ten temat. Dostyc. Koniec. Kropka.

Dla podkreślenia swojej stanowczości przy trzech ostatnich słowach dokręcił śrubę, używając całej swojej siły.

Nagle z wnętrza pompy dobiegł podejrzany trzask. Hupert uśmiechnął się do chłopca. Chwilę później część naprężnika, który przed chwilą dokręcał, wystrzeliła jak z katapulty i przeleciała nad ich głowami, ciągnąc za sobą tłok, komplet nakrętek i niezidentyfikowane żelastwo. Stryj i bratanek śledzili trajektorię złomu, dopóki ten nie wylądował z hukiem na pokładzie sąsiedniego kutra należącego do Gérarda Picaud. Picaud, były bokser o postawie byka i ptasim mózdzku,

rzucił okiem na części, które spadły mu na pokład, a następnie uniósł wzrok ku niebu. Hupert z Ismaelem wymienili znaczące spojrzenia.

– Wydaje mi się, że na jedno wyszło – wyraził swoje zdanie Ismael.

– Jak będę chciał usłyszeć twoją opinię...

– To o nią poprosisz. Wiem. A przy okazji, zastanawiałem się właśnie, czy sprawiłoby ci kłopot, gdybym w najbliższą sobotę wziął wolne. Mam do zrobienia parę drobnych napraw na swoim jachcie...

– A czy te drobne naprawy nie są przypadkiem blondynką metr siedemdziesiąt o zielonych oczach? – rzucił od niechcienia Hupert, uśmiechając się chytrze do swojego bratanka.

– Plotki szybko się rozchodzą – powiedział Ismael.

– Lotem błyskawicy, drogi chłopcze, zwłaszcza jeśli twoja kuzynka weźmie sprawy w swoje ręce. A jak ma na imię młoda dama?

– Irène.

– No tak.

– Co tak?

– Poczekamy, zobaczymy.

– Jest miła i tyle.

– „Jest miła i tyle” – powtórzył Hupert, przedrzeźniając ton chłodnej obojętności bratanka.

– Wiesz co, daj spokój. To nie jest dobry pomysł. Nie chcę już wolnego w sobotę – rozmyślił się Ismael.

– Świetnie się składa, bo trzeba wyczyścić zenę. Nie zaglądałeś tam od ostatniego połowu. Zaczyna śmierdzieć jak diabli.

– Zrobi się.

Hupert roześmiał się.

– Jesteś równie uparty jak twój ojciec. Podoba ci się ta dziewczyna czy nie?

– Hmm.

– Ty, Romeo, może byś łaskawie wydawał artykułowane dźwięki. Jestem jednak od ciebie znacznie starszy. Podoba ci się czy nie?

Chłopak wzruszył ramionami. Zrobił się na twarzy czerwony jak pomidor. Wreszcie wykrztusił z siebie coś zupełnie niezrozumiałego.

– Jaśniej, proszę – nie odpuszczał stryj.

– Powiedziałem, że tak. Chyba tak. Prawie jej nie znam.

– To więcej, niż ja mogłem powiedzieć o twojej stryjence po tym, jak pierwszy raz ją zobaczyłem. A Bóg mi świadkiem, że to święta kobieta.

– Jak wyglądała za młodu?

– Nie zaczynaj, albo całą sobotę przesiedzisz w zenie – pogroził Hupert.

Ismael pokiwał głową i zaczął zbierać narzędzia. Stryj czyścił sobie dłonie ze smaru, obserwując swojego pomocnika kątem oka. Ostatnia dziewczyna, która wzbudziła zainteresowanie chłopaka, miała na imię Laura i była córką komiwojażera z Bordeaux. Ale było to już

dwa lata temu. Do tej pory morze i samotność na morzu wydawały się jedyną miłością jego bratanka. Ta dziewczyna musiała mieć w sobie coś niezwykłego.

– Do piątku zenza będzie wyczyszczona – obiecał Ismael.

– Nie będę ci przeszkadzać.

Kiedy obaj zeskoczyli o zmierzchu na nabrzeże, by wrócić do domu, ich sąsiad Picaud wciąż przyglądał się tajemniczym częściom, zastanawiając się, czy tego lata z nieba padać będą śruby, czy też może Pan Bóg zsyła mu jakiś znak.

* * *

Kiedy nastał sierpień, Sauvelle'owie mieli wrażenie, że mieszkają w Błękitnej Zatoce co najmniej od roku. Ci, co nie zdołali ich jeszcze poznać osobiście, byli znakomicie poinformowani o ich życiu dzięki sztuce elokwencji Hannah i jej matki, Élisabeth Hupert. Dzięki dziwnemu zjawisku z pogranicza magii i poczty pantoflowej wiadomości docierały do piekarni, wyprzedzając samo zdarzenie, którego dotyczyły. Bagietki i najświeższe wiadomości, od świtu do zmierzchu. W ten oto sposób jedynymi mieszkańcami Błękitnej Zatoki, którzy do piątku nie zostali powiadomieni, że ponoć coś zaiskrzyło pomiędzy Ismaelem Hupertem a Irène Sauvelle, były ryby i sami zainteresowani. Nieważne, czy rzeczywiście coś się między nimi wydarzyło. Krótki rejs z Plaży Anglika do Domu na Cyplu już znalazł się w annałach owego lata 1937

roku.

Pierwsze dni sierpnia w Błękitnej Zatoce minęły rzeczywiście jak z bicza trzasł. Simone w końcu zdołała w pełni zapanować nad swoimi obowiązkami w Cravenmoore. Lista spraw niecierpiących zwłoki była bardzo długa. Już samo odnowienie kontaktów ze sklepikarzami i hurtownikami, uporządkowanie rachunkowości i prowadzenie korespondencji Lazarusa wystarczały, by wypełnić jej dzień, prawie nie zostawiając czasu na spanie i oddychanie. Dorian, wyposażony w rower, który Lazarus sprezentował mu w pierwszych dniach pobytu, przeistoczył się w posłańca. Po paru dniach znał każdy kamień i każdą wyrwę na drodze do miasteczka.

Codziennie rano Simone zaczynała swój dzień pracy od udzielania odpowiedzi na listy i dokładnego segregowania przysłanej korespondencji, ściśle stosując się do wskazówek Lazarusa. Ściągawka, złożona na pół kartka, służyła w każdej chwili za ratunek, na wypadek gdyby zdarzyło jej się zapomnieć któregoś z dziwnych poleceń pryncypała. Ciągle miała w pamięci swój trzeci dzień pracy, kiedy niewiele brakowało, by odruchowo otworzyła jeden z listów nadanych z Berlina przez Daniela Hoffmanna. W ostatniej chwili przypomniała sobie, że przecież nie wolno jej tego robić.

Przesyłki od Hoffmanna nadchodziły zazwyczaj co dziewięć dni, z punktualnością niemal idealną. Pergaminowe koperty zawsze były opatrzone lakową pieczęcią z herbem w kształcie „D”. Simone bardzo

szybko nauczyła się oddzielać je od pozostałych przesylek, nie przykładając już wagi do szczególności tematu. W pierwszych dniach sierpnia jednak stało się coś, co sprawiło, iż znów poczuła się zaintrygowana korespondencją swego pryncypała z tajemniczym panem Hoffmannem.

Simone weszła wczesnym rankiem do gabinetu Lazarusa, by zostawić na jego biurku najnowsze faktury i rachunki. Lubiła robić to z samego rana, zanim fabrykant zabawek uda się do swojego studia, żeby nie musieć odrywać go od zajęć. Armand miał w zwyczaju rozpoczynać swój dzień pracy od przeglądania faktur. Przynajmniej dopóki zdrowie mu na to pozwalało.

Owego ranka w gabinecie Lazarusa unosił się zapach tytoniu, który zdradzał, że fabrykant zabawek pracował do późna w nocy. Simone, odkładając dokumenty na biurko, zauważyła jakiś dziwny kształt, tłący się pośród popiołów. Zaciekawiona podeszła do kominka i poruszyła pogrzebaczem dogasające resztki, które okazały się stertą przewiązanych papierów niestrawionych do końca przez ogień. Poczula się głupio, myszkując w tych popiołach, i już miała wychodzić z pokoju, gdy dostrzegła na jednej z kartek lakową pieczęć z literą „D”. Więc były to listy. Lazarus wrzucił w ogień listy od Daniela Hoffmanna. Nie mój interes, pomyślała Simone, nic mnie nie obchodzi, dlaczego to zrobił. Odłożyła pogrzebacz i przyrzekła sobie nigdy więcej nie wtykać nosa w osobiste sprawy pryncypała.

* * *

Deszcz szemrzący o szyby zbudził Hannah ze snu. Była północ. Pokój tonął w błękitnym półmroku, a światła dalekiej burzy, która rozszalała się nad morzem, zmieniały pomieszczenie w chiński teatr cieni. Metaliczne tykanie jednego z mówiących zegarów Lazarusa – oczy na wiecznie uśmiechniętej twarzy, spoglądające to w jedną, to w drugą stronę bez chwili przerwy – dochodziło uporczywie ze ściany. Hannah westchnęła. Nienawidziła nocy w Cravenmoore.

W świetle dziennym dom Lazarusa Janna zdawał się przeogromnym muzeum cudów i osobliwości. Jednak wraz z nadejściem nocy setki mechanicznych istot, maskowate twarze zabawek i automatów zmieniały się w widmową faunę, która nigdy nie spała, zawsze czujna, uśmiechnięta, bacznie obserwująca wszystko niewidzącymi oczyma.

Lazarus sypiał w jednym z pokoiów zachodniego skrzydła, przyległym do sypialni żony. Poza gospodarzami i samą Hannah w domu zamieszkiwały setki tworów skonstruowanych przez fabrykanta, które zajmowały każdy wolny kąt. W ciszy nocy Hannah słyszała wyraźnie rozbrzmiewające w całym mieszkaniu echo sprężyn i trybików. Czasem, kiedy nie mogła zasnąć, godzinami wyobrażała sobie, jak w ciemnościach świecą szklane oczy nieruchomych automatów.

Ledwo zaczęła znowu zapadać w sen, usłyszała po raz pierwszy ów dźwięk – tłumiony przez deszcz regularny turkot. Wstała i cichutko

podeszła do okna, starając się nie przekroczyć obrębu plamy padającego z zewnątrz światła. Gmatwanina wież, łuków i strzelistych dachów Cravenmoore jakby kurczyła się pod nawałnicą wody. Z wilczych pysków gargulców wypływały czarne kaskady. Serdecznie nienawidziła tego miejsca...

Irytujący dźwięk znowu dotarł do jej uszu. Hannah, szukając źródła tego odgłosu, zatrzymała wzrok na rzędzie okien zachodniego skrzydła. Wyglądało na to, że na drugim piętrze wiatr otworzył jedno z nich. Firanki łopotały niczym żagle w deszczu, a skrzydła okna trzaskały raz za razem. Dziewczyna uznała, że ma pecha. Na samą myśl o tym, że musi wyjść na korytarz i przejść przez cały dom do jego zachodniej części, dostała gęsiej skórki.

Szybko, żeby strach jej całkiem nie sparaliżował, włożyła szlafrok i kapcie. Było ciemno, więc zapaliła świeczki w kandelabrze. Migotanie płomyków otoczyło ją miedzianą aureolą. Hannah dotknęła zimnej klamki drzwi sypialni i przełknęła ślinę. Skrzydła okna w ciemnym pokoju nadal uparcie uderzały o ścianę. Czekały na nią.

Wyszła, zamknęła za sobą drzwi do sypialni i spojrzała w głąb niekończącego się, ciemnego tunelu korytarza. Zagłębiła się w niego, unosząc kandelabr. Szła szpalerem wiszących w pustce i pogrążonych w letargu zabawek Lazarusa. Hannah przyspieszyła kroku, starając się nie rozglądać na boki. Na drugim piętrze Lazarus przechowywał swoje najstarsze automaty, poruszające się niezdarnie, o przejaskrawionych i

nierzadko przerażających rysach twarzy. Prawie wszystkie pozamykano w oszklonych gablotach. Zdarzało się, że ożywały w nich nagle, bez ostrzeżenia, posłuszne jakiemuś wewnętrznemu mechanizmowi, który budził je z ich snu ruchomych lalek.

Hannah minęła Madame Sarou, wróżkę, która tasowała w swych białych dłoniach karty do tarota, wybierała jedną z nich i pokazywała widzowi. Dziewczyna nie mogła oprzeć się pokusie i spojrzała na upiorną twarz wystruganą w drewnie. Oczy Cyganki otworzyły się, a jej dłonie wyciągnęły ku dziewczynie kartę. Hannah zamarła. Na karcie widniała spowita w płomienie postać czerwonego diabła.

Parę metrów dalej tors człowieka o wielu maskach kiwał się z boku na bok. Mężczyzna co jakiś czas odsłaniał swoje niewidzialne oblicze, odkrywając maskę za maską. Hannah szybko odwróciła wzrok i przyspieszyła kroku. Za dnia przechodziła tym korytarzem setki razy. To były tylko maszyny, nie żywe istoty; nie zasługiwały na jej uwagę, a tym bardziej na jej strach.

Powtarzając tę myśl dla dodania sobie otuchy, skręciła w korytarz prowadzący do zachodniego skrzydła. Miniaturowa orkiestra Maestra Firettiego siedziała przy ścianie pogrążona w bezruchu. Po wrzuceniu monety figurki orkiestry grały szczególną wersję _Marsza tureckiego _Mozarta.

Hannah dotarła do końca korytarza i zatrzymała się przed drzwiami z rzeźbionego drewna dębowego. Każde z drzwi Cravenmoore

ozdobione były innym reliefem ilustrującym którąś z baśni braci Grimm: od *Jasia i Małgosi* poprzez *Muzykantów z Bremy*, *Kopciuszka* po *Czerwonego Kapturka*. W oczach dziewczyny cała ta baśniowa ornamentyka była przerażająca. Nigdy nie przekroczyła progu tego pokoju, tak jak i nie zajrzała do wielu innych pomieszczeń ogromnej rezydencji. I do wielu nie zajrzy, chyba że zmuszą ją okoliczności.

Z wnętrza dobiegał łomot otwartego okna. Na skórze poczuła zimny powiew nocnego wiatru wydobywający się ze szpar w drzwiach. Hannah jeszcze raz rozejrzała się po korytarzu. Szklane oczy muzyków orkiestry wpatrywały się w ciemności. Usłyszała wyraźnie odgłos deszczu bijącego o dach Cravenmoore, jakby nad jej głową chrobotwały tysiące szczurzych pazurków. Dziewczyna westchnęła ciężko, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Gwałtowny podmuch lodowatego powietrza zawirował wokół niej, zgasił płomyki świec i z hukiem zatrzasnął drzwi za jej plecami. Przesiąknięte deszczem firanki ciężko powiewały. Hannah rzuciła się, by wpierw zamknąć skrzydła okna, a następnie dokładnie je docisnąć i mocno przekręcić klamkę. Nerwowo odszukała w kieszonce szlafroka pudełko zapalek, po czym drżącymi rękami zapaliła świeczki. W świetle kandelabru otaczające ją ciemności ożyły, ukazując oczom Hannah pokój, który wyglądał na sypialnię dziecka. Małe łóżeczko obok biurka. Półeczka z książkami, dziecięce ubranka złożone na krześle. Para bucików starannie ułożona pod łóżkiem. Łańcuszek z krzyżykiem

zawieszony na pręcie u wezglowia. Hannah przeszła się po pokoju. W jego atmosferze, w meblach i przedmiotach, było coś dziwnego, coś deprymującego, czego Hannah nie potrafiła do końca określić. Rozejrzała się raz jeszcze po tej dziecięcej sypialni. W Cravenmoore nie było dzieci. Nigdy ich nie było. Więc po co ten pokój?

Nagle doznała olśnienia. Zrozumiała, co ją od początku uderzyło. Wcale nie porządek ani czystość, ale coś tak oczywistego, tak prostego, że aż umykało uwadze. Był to rzeczywiście pokój dziecienny. Ale czegoś tu brakowało. Brakowało zabawek. W całym pomieszczeniu nie było ani jednej zabawki.

Hannah uniosła świecznik, by przypatrzeć się ścianom. Wisiały na nich wycinki z gazet. Dziewczyna odstawiła kandelabr na biurczko i podeszła do ściany pokrytej mozaiką starych wycinków i fotografii prasowych. Jedna z nich szczególnie zwracała uwagę. Przedstawiała kobietę o ostrych, wyrazistych rysach twarzy. W spojrzeniu jej czarnych oczu czaiła się groźba. Ta sama twarz pojawiała się na innych zdjęciach. Hannah zbliżyła twarz do fotografii tajemniczej damy trzymającej w ramionach dziecko.

Później przebiegła wzrokiem ścianę, czytając nagłówki starych artykułów, wiszących obok siebie bez ładu i składu. Notki o strasznym pożarze w jednej z paryskich fabryk, podczas którego zniknął mężczyzna o nazwisku Hoffmann. Nazwisko tej postaci obsesyjnie powtarzało się w większości wycinków wiszących niczym klepsydry na cmentarnym

murze. A w samym środku, otoczona dziesiątkami nieczytelnych skrawków gazet, wisiała pierwsza strona dziennika z 1890 roku. A na niej twarz dziecka. Jego oczy pełne były przerażenia. Oczy maltretowanego zwierzęcia.

Zdjęcie wywarło na niej ogromne wrażenie. Z wyrazu twarzy tego sześć-, może siedmioletniego chłopca można było wywnioskować, że był świadkiem niezrozumiałego dlań, potwornego zdarzenia. Hannah poczuła przeszywający chłód, zimno promieniujące z niej samej. Próbowała odczytać niewyraźny tekst towarzyszący fotografii. „Odnaleziono ośmioletnie dziecko, które spędziło samotnie siedem dni w ciemnej piwnicy”. Hannah przyjrzała się twarzy chłopca. W jego rysach było coś znajomego. W jego oczach może...

W tej samej chwili Hannah zdało się, że słyszy czyjś głos, szept za swoimi plecami. Odwróciła się, ale nikogo nie zobaczyła. Odetchnęła z ulgą. W purpurowej poświacie rzucanej przez kandelabr unosiły się tysiące drobinek kurzu. Podeszła do jednego z okien i palcami delikatnie odsunęła muślin firanki przysłaniającej szybę. Las tonął we mgle. W oknach pracowni Lazarusza, na krańcu zachodniego skrzydła, było jasno. Zarys jego postaci odcinał się na tle złocistego światła drżącego za firankami. Przez szparę między nimi przedarł się wąski snop, kreśląc na podłodze smugę jasności.

Znowu usłyszała głos, tym razem wyraźniejszy i bliższy. Szeptał jej imię. Hannah odwróciła się i po raz pierwszy zauważyła blask, jaki

bił z małego kryształowego flakonika. Czarna jak obsydian buteleczka, spowita wielobarwnym poblaskiem, stała w maleńkiej niszy.

Dziewczyna ostrożnie podeszła do niej i przyjrzała się flakonikowi. Na pierwszy rzut oka przypominał fiolkę perfum, ale Hannah nigdy nie widziała równie pięknego przedmiotu ani równie misternie rżniętego kryształu. Korek w kształcie pryzmatu mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Hannah poczuła, że nie oprze się pokusie, by sięgnąć po ten przedmiot i palcami pogłodzić kryształ wabiący niezwykle liniami.

Z wyjątkową ostrożnością wzięła flakonik w obie dłonie. Ważył więcej, niż się spodziewała. I był lodowaty, do tego stopnia, że dotknięcie go sprawiało ból. Uniosła go na wysokość oczu, by przyrzeć się jego zawartości, ale w pierwszej chwili dostrzegła tylko nieprzeniknioną czerń. Trzymając go pod światło, Hannah doznała jednak wrażenia, że w środku coś zafalowało. Gęsta, ciemna ciecz, może perfumy...

Drżącymi palcami dotknęła ozdobnego korka. We flakoniku coś jakby się poruszyło. Hannah zawahała się na chwilę. Doskonałość opakowania zdawała się obiecywać najbardziej oszałamiający zapach, jaki tylko mogła sobie wyobrazić. Spróbowała wyciągnąć korek. Czerń wewnątrz flakonika znów się wzburzyła, jednak Hannah nie zwracała już na to uwagi. W końcu korek ustąpił.

Nieokreślony dźwięk, syk ulatniającego się sprężonego gazu, wypełnił pokój. W jednej chwili kłęby wydostającej się z flakonu czerni

uniosły się w powietrzu, rozlewając się niczym plama atramentu. Hannah poczuła, jak całym jej ciałem wstrząsa dreszcz, a szept głosu osacza ją ze wszystkich stron. Flakonik w jej dłoniach był teraz przezroczysty i zrozumiała, że cokolwiek było jego zawartością, uwolniło się dzięki niej. Odstawiła flakonik na miejsce. Nurt zimnego powietrza zawładnął pokojem, gasząc po kolei wszystkie świece. Im bardziej pokój pogrążał się w mroku, tym bardziej odczuwalna stawała się w nim czyjaś obecność. Po ciemniejących ścianach rozlewał się zarys bezkształtnej postaci.

Cień.

Hannah powoli zaczęła cofać się ku wyjściu. Po omacku próbowała natrafić na klamkę, by w końcu poczuć jej chłód. Ostrożnie ją nacisnęła i delikatnie otworzyła drzwi, gotowa rzucić się natychmiast do ucieczki. Coś szło w jej stronę, czuła to wyraźnie.

Dziewczyna starała się szybko zatrzasnąć za sobą drzwi, ale łańcuszek, który miała na szyi, zaczepił się o jeden z wystających elementów płaskorzeźby. Jednocześnie za jej plecami rozległ się złowrogi i porażający syk. Syk dużego węża. Hannah poczuła, że łyzy przerażenia zaczynają spływać jej po policzkach. Łańcuszek pękł, a dziewczyna usłyszała, jak medalik spada na podłogę. Oswobodziwszy się, stanęła przed otwierającym się przed nią cienistym tunelem. Na jego końcu widać było otwarte drzwi wiodące ku schodom do następnego skrzydła. Znów rozległ się ponury gwizd. Całkiem blisko. Dziewczyna

pobiegła w stronę schodów. W chwilę później usłyszała znany już jej dźwięk ustępującej klamki. Tym razem nie potrafiła jednak powstrzymać przerażenia. Z głębi piersi wyrwał jej się żalony jęk. Z trwogą rzuciła się schodami w dół.

Mimo że dysząc i usiłując nie stracić równowagi, przeskakiwała po trzy stopnie, wydawało jej się, że nigdy nie pokona tych schodów i nie dobiegnie na parter. Kiedy dotarła wreszcie do drzwi prowadzących na tyły ogrodu Cravenmoore, miała poobijane kostki i kolana, ale bólu prawie nie czuła. Rozsadzająca jej żyły adrenalina podrywała ją do coraz szybszego biegu. Nigdy nieużywane drzwi były zamknięte. Hannah z całej siły rozbiła łokciem szybkę, wystawiła rękę i szarpnęła klamkę z zewnątrz. Dopiero gdy dobiegła do tonącego w mroku ogrodu, poczuła ranę na ramieniu.

Nie zatrzymując się, biegła ku ścianie lasu. Chłód nocy okręcał się wokół niej, przylepiając do jej ciała szlafrok mokry od potu. Na linii drzew, tuż przed ścieżką przecinającą las Cravenmoore, Hannah obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy jej prześladowca zdołał już dotrzeć do pierwszych cieni ogrodu. Nie dostrzegła najmniejszego śladu zjawy. Odetchnęła głęboko. Zimne powietrze paliło jej gardło i ostro kłuło w płuca. Już szykowała się do podjęcia biegu, gdy ujrzała sylwetkę przylepioną do fasady Cravenmoore. Z czerni budynku oderwało się jakieś ciało, by zejść pomiędzy gargulcami, pełznąc niczym gigantyczny pająk.

Hannah rzuciła się w ciemność labiryntu, który miał ją poprowadzić na drugą stronę lasu. Spomiędzy koron drzew wylaniał się księżyc, barwiąc mgiełkę na niebiesko. Wiatr wzniecał wokół niej szeleszczące głosy tysiąca liści. Drzewa stały szpalerem skamieniałych widm wyciągających ku niej swoje rozczapierzone szpony. Biegła rozpaczliwie w stronę światła prowadzącego ją ku wyjściu z tego fantasmagorycznego tunelu, bramy do jasności, która zdawała się oddalać od niej, im więcej wysiłku wkładała w to, by się do niej zbliżyć.

Z leśnych zarośli zaczął dobiegać narastający hałas. Cień przemierzał gęstwiny, niszcząc wszystko, co znalazło się na jego drodze, śmiercionośny świder przebijający ścieżkę do niej. Krzyk uwiązał Hannah w gardle. Gałęzie drzew i krzaków pocięły jej dłonie, ramiona i twarz dziesiątkami krwawych pręg. Gonila resztkami sił, zmęczenie, niczym drewniany młotek, waliło ją w skronie, otumaniając całkowicie i podszeptując, by mu się poddała, by położyła się na ziemi i poczekała... Ale nie mogła tego zrobić. Musiała uciekać. Jeszcze tylko parę metrów i wybiegnie na drogę prowadzącą do miasteczka. Na pewno nadjedzie jakiś samochód, na pewno ktoś się zatrzyma i jej pomoże. Jeszcze tylko kilka sekund, chwila, wystarczy wyjść z lasu, żeby znaleźć ratunek.

Dalekie światła samochodu jadącego wzdłuż Plaży Anglika omiotły mroki leśnej gęstwiny. Hannah krzyknęła rozpaczliwie, prosząc o pomoc. Przez gałęzie i zarośla zdawała się nadchodzić za jej plecami trąba powietrzna. Hannah uniosła wzrok ku kopule gałęzi osłaniających

twarz księżycy. Cień powoli się rozpełzł. Dziewczyna jedynie jęknęła po raz ostatni. Cień w wolno opadających kroplach niczym ciężkie smugi smoły okrył Hannah. Dziewczyna zamknęła oczy i przywołała twarz swojej gadatliwej i wiecznie uśmiechniętej matki.

Chwilę później poczuła zimny oddech cienia na swojej twarzy.

5. Zamek pośród mgieł

Płótno żagla łodzi Ismaela rozdarło, o umówionej godzinie, muślin mgielki ocierającej się nieledwie o lustro wody zatoki. Irène i jej matka, siedząc na ganku i pijąc kawę z mlekiem, wymieniły spojrzenia.

– Nie ma chyba potrzeby, bym uprzedziła cię... – zaczęła Simone.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła Irène.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy na temat mężczyzn? – spytała matka.

– Kiedy skończyłam siedem lat i Claude, tamten chłopak z podwórka, namówił mnie, żebym oddała mu swoją spódniczkę w zamian za jego spodnie.

– Niezłe ziółko.

– Przecież on miał tylko pięć lat, mamo.

– No to pomyśl, jacy potrafią być, gdy mają piętnaście.

– Szesnaście.

Simone westchnęła. Szesnaście lat. Mój Boże. Jej córka miała zamiar uciec ze starym wilkiem morskim.

– To znaczy, że mówimy o całkiem dorosłym człowieku.

– Przecież on jest tylko półtora roku starszy ode mnie. To żadna różnica.

– Ty jesteś jeszcze dzieckiem.

Irène uśmiechnęła się wyrozumiale. Zaprowadzanie wojskowej

dyscypliny nie było najsilniejszą stroną Simone Sauvelle.

– Spokojnie, mamó. Wiem, co robię.

– I tego właśnie się boję.

Łódź wpłynęła do zatoczki. Ismael pomachał ręką na powitanie. Simone przypatrywała się chłopcu z jedną brwią uniesioną na znak czujności.

– A nie byłby łaskaw wejść tu, żebyś mogła mi go przedstawić?

– Mamusiu...

Simone pokiwała głową. W każdym razie nie łudziła się, że jej fortel będzie skuteczny.

– Czy jest coś, o czym powinnam ci jeszcze powiedzieć? – zapytała Simone, ewidentnie podając tyły.

Irène pocałowała ją w policzek.

– Powinnaś życzyć mi miłego dnia.

Nie czekając na odpowiedź, Irène zbiegła ku przystani. Simone patrzyła, jak jej córka chwytła dłoń nieznanego jej chłopca (który, w jej podejrzliwych oczach, z chłopca już niewiele miał) i wskakuje na pokład. Kiedy Irène odwróciła głowę, by ją pozdrowić, matka uśmiechnęła się wymuszenie i w odpowiedzi również pomachała ręką. Patrzyła, jak odpływają w głąb zatoki w blasku promiennego i uspokajającego słońca. Siedząca na poręczy mewa, być może jeszcze jedna matka, która przeżywa trudne chwile, przyglądała jej się z rezygnacją.

– To niesprawiedliwe – powiedziała Simone do mewy. – Kiedy się rodzą, nikt cię nie uprzedza, że będą robić to samo co ty, kiedy byłeś w ich wieku.

Ptak, całkowicie obojętny na tego typu refleksje, poszedł w ślady Irène i odleciał. Simone skwitowała uśmiechem swoją naiwność i opuściła ganek, by udać się do Cravenmoore. Praca jest najlepszym lekarstwem, powiedziała sobie w duchu.

* * *

Odплыnęli na tyle daleko, iż w pewnym momencie brzeg zamienił się w białą kreskę zawieszoną między niebem a morzem. Wiatr wiał ze wschodu. Dziób „Kyaneosa” pruł tak krystalicznie czystą wodę, iż widać było dno mieniące się szmaragdowymi odblaskami. Irène, której jedynym doświadczeniem żeglarskim była wczorajsza przejażdżka, z otwartymi ustami przyglądała się hipnotyzującej urodzie zatoki widzianej od strony morza. Dom na Cyplu stał się małą białą plamką pośród skał, kolorowe budynki miasteczka migotały zaś w rozrzedzonym powietrzu unoszącym się nad wodą. W dali widać było zbierające się na widnokręgu chmury burzowe. Irène zamknęła oczy i wsłuchała się w szum otaczającego ją morza. Kiedy je ponownie otworzyła, nic się wokół niej nie zmieniło. To nie był sen.

Po objęciu kursu Ismaelowi nie pozostawało właściwie nic innego, jak tylko gapić się na Irène, która zachowywała się, jakby rzucono na nią

jakieś morskie czary. Metodycznie i skrupulatnie rozpoczął obserwację od bladych kostek dziewczyny, następnie wspiął się powoli wzrokiem, by zatrzymać się w połowie ud Irène, na granicy ustanowionej najbezczelniej przez spódnicę. Niezrażony przystąpił do spokojnej oceny nader wdzięcznego i miłego dla oka smukłego tułowia dziewczyny. Mogło to dla niego trwać wieczność i pewnie nawet trwało długo i trwałoby dłużej, gdyby nagle jego oczy nie zetknęły się z oczami Irène, co uzmysłowiło Ismaelowi, że jego bezczelne taksowanie nie przeszło niezauważone.

– O czym myślisz? – spytała dziewczyna.

– O wietrze – skłamał bez żenady Ismael. – Zaczyna się zmieniać, odkręca na południe. Przed burzą tak zazwyczaj bywa. Pomyślałem sobie, że pewnie chciałabyś najpierw opłynąć cypel. Tam są piękne widoki.

– Jakie widoki? – zapytała niewinnie Irène.

Teraz już nie ma wątpliwości, pomyślał Ismael; dziewczyna kpiła z niego w żywe oczy. Puszczając mimo uszu docinki swojej pasażerki, skierował łódź w stronę prądu opływającego klif, około mili od cypla. Gdy tylko wypłynęli za cypel, ich oczom ukazała się ogromna, całkowicie pusta, dzika plaża ciągnąca się aż ku mgiełkom spowijającym Wzgórze Świętego Michała.

– To Czarna Zatoka – wyjaśnił Ismael. – Nosi taką nazwę, bo jej wody są znacznie głębsze od Błękitnej Zatoki, która jest właściwie

morską płycizną, o kilkumetrowej zaledwie głębokości. Mielizna, rzecz by można. Ławica.

Irène cała ta terminologia morska niewiele mówiła, ale roztaczający się przed nią rzadkiej urody widok powodował, że dostawała gęsiej skórki. Jej wzrok zatrzymał się na miejscu, które wyglądało jak wyżłobiona w skale grota, otwarta ku morzu gardziel.

– To laguna – powiedział Ismael. – Jest jak owal osłonięty od prądu i połączony z morzem maleńkim przesmykiem. A po drugiej stronie znajduje się Grota Nietoperzy. W tym tunelu wgłębiającym się w skałę, widzisz? Ponoć w roku tysiąc siedemset czterdziestym szóstym sztorm wyrzucił na te skały piracki galeon. Szczątki okrętu i piratów wciąż tam są.

Irène spojrzała nań z niedowierzaniem. Ismael może i był dobrym sternikiem, ale w kłamaniu z trudem łapał się na majtkę.

– To szczerą prawdą – brnął dalej Ismael. – Czasem tam nurkuję. Jaskinia prowadzi głęboko w skałę i nie ma końca.

– Zabierzesz mnie tam? – zapytała Irène, udając, że święcie wierzy w idiotyczną historię o rzuconym na skały statku pirackim.

Ismael lekko się zaczerwienił. To brzmiało jak zaproszenie do dalszego ciągu. Jak zobowiązanie. Jednym słowem, kryło się w tym niebezpieczeństwo.

– Tam jest mnóstwo nietoperzy. Stąd nazwa zresztą... – ostrzegł chłopak, nie znajdując innego, bardziej odstręczającego argumentu.

– Uwielbiam nietoperze. Latające myszki – odgryzła się Irène, gotowa nadal pokpiwać z chłopaka.

– Kiedy tylko zechcesz – odparł Ismael, rezygnując z dalszego oporu.

Irène uśmiechnęła się ciepło. Ten uśmiech całkowicie zbił z pantałyku Ismaela. Przez dobrą chwilę nie mógł się zorientować, jaki jest kierunek wiatru i do czego właściwie służy rumpel. A najgorsze, że dziewczyna zdawała się domyślać, że coś jest z nim nie tak. Najwyższy czas zrobić zwrot. Odpadając od wiatru, tak szybko luzował grot, że po zwrocie, zanim skontrował, łódź się przechyliła. Fale nieomal musnęły twarz Irène. Chłodne języki. Dziewczyna pisnęła, nie przestając się śmiać. Ismael odpowiedział uśmiechem. Nie potrafił jeszcze wyczuć, co takiego specjalnego w niej jest, ale wiedział na pewno, że nie potrafi od niej oderwać wzroku.

– Płyniemy na latarnię – oznajmił.

Kilka sekund później „Kyaneos”, prowadzony niewidzialną dłonią wiatru, prześlizgnął się nad grzbietami fal. Ismael poczuł, jak Irène chwyta się jego dłoni. Zdawało się, że łódź zaraz wzbije się w powietrze, zostawiając za sobą warkocz białej piany. Irène spojrzała na Ismaela, spostrzegając, że chłopak na nią patrzy. Przez chwilę jego oczy zatopiły się w jej oczach, a Irène poczuła, jak chłopak delikatnie ściska jej dłoń. Świat nigdy nie był tak daleko.

* * *

W południe owego dnia Simone Sauvelle przekroczyła próg osobistej biblioteki Lazarusa Janna, znajdującej się w ogromnej owalnej sali w samym sercu Cravenmoore. Bezczesny kosmos książek wznosił się nieprawdopodobną spiralą ku świetlikowi z barwionego szkła. Tysiące nieznanych i tajemniczych światów współistniały w tej bezmiernej katedrze książek. Przez chwilę Simone z nieukrywanym zadziwieniem przyglądała się wizji rozciągającej się przed jej oczyma, nie mogąc oderwać wzroku od mgiełki unoszącej się ku sklepieniu. Dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, że nie jest tu sama.

Przy biurku, w kręgu padającego bezpośrednio ze świetlika światła, siedziała postać w eleganckim garniturze. Usłyszawszy kroki Simone, Lazarus odwrócił się i uśmiechnął do niej ciepło i serdecznie, zamykając rozłożoną przed sobą książkę, stary, oprawiony w czarną skórę egzemplarz.

– Ach, to pani, madame Sauvelle. Witam w moim maleńkim zaciszu – odezwał się, wstając.

– Nie chciałam przeszkadzać...

– Nie, skądże, bardzo jestem rad, że pani się tu zjawiała – odparł Lazarus. – Chciałem z panią omówić kwestię zamówienia, które chcę złożyć firmie Arthur Francher...

– Arthur Francher w Londynie?

Twarz Lazarusa pojaśniała.

– Zna pani tę firmę?

– Mój mąż zazwyczaj kupował tam książki podczas swych wyjazdów. Burlington Arcade.

– No i miałem rację, że do tego typu obowiązków lepszej osoby od pani nie znajdę – stwierdził Lazarus, przyprawiając Simone o rumieńce. I dodał: – Może omówimy to przy filiżance kawy?

Simone nieśmiało przytaknęła. Lazarus ponownie się uśmiechnął i odstawił gruby tom, który przed chwilą zamknął, na miejsce, pomiędzy setki innych podobnych tomów. Simone, przyglądając się Lazarusowi, nie mogła nie spojrzeć na grzbiet odkładanej książki i widniejący na nim ozdobnie wykaligrafowany tytuł składający się z jednego wyrazu, z jednego nic niemówiącego i nieznanego słowa:

Doppelgänger

* * *

Tuż przed południem Irène dostrzegła przed dziobem wysepkę z latarnią. Ismael postanowił opłynąć wysepkę, by przybić do brzegu w maleńkiej zatoczce wyżłobionej w skale przez morze. Irène zdążyła już w trakcie rejsu uzyskać od Ismaela szereg informacji o sztuce żeglowania i o właściwościach wiatru. Dzięki temu mogła wykonać kilka poleceń swego sternika, pomagając Ismaelowi w niezbędnych manewrach, które miały na celu przepłynięcie skalistego przesmyku i dotarcie do starej przystani niedaleko latarni.

Wysepka była gołą skałą wyłaniającą się z wód zatoki, zamieszkiwaną jedynie przez kolonię mew. Niektóre z nich z ciekawością przyglądały się intruzom. Reszta wołała zerwać się do lotu. Oczy Irène, podążając za ich niezdarnym odlotem, natknęły się na stare drewniane baraczki, zniszczone przez sztormy i zaniedbanie.

Przeszklona laterna wieńczyła smukłą wieżę latarni, u której stóp znajdował się maleńki parterowy budynek, dawny dom latarnika.

– Poza mną, mewami i czasem jakimś krabem nikt tu nie zagląda od wielu lat – powiedział Ismael.

– Nie licząc oczywiście pirackiego statku widma – zażartowała Irène.

Chłopak szybko przebiegł na dziób i chroniąc go, zeskoczył na pomost łodzi. Irène poszła w jego ślady. Zaczumowawszy „Kyaneosa”, Ismael wziął koszyk z wiktuałami przygotowany przez ciotkę święcie przekonaną, że piractwo piractwem, ale do abordażu panny nie można przystąpić z pustym żołądkiem, a instynkty należy zaspokajać według hierarchii potrzeb.

– Chodź. Jeśli lubisz opowieści o duchach, to ta na pewno cię zainteresuje...

Ismael pchnął drzwi i dał znak Irène, by śmiało szła za nim. Po przekroczeniu progu dziewczyna poczuła się, jakby nagle znalazła się w czasoprzestrzeni sprzed kilkudziesięciu lat. Wszystko spoczywało nietknięte pod warstwą mgiełki odkładanej przez wilgoć rok po roku.

Dziesiątki książek, przeróżne przedmioty i meble. Wszystko wyglądało tak, jakby latarnik został nagle porwany o świcie przez jakąś siłę nieczystą. Irène, zafascynowana widokiem, spojrzała na Ismaela.

– To jeszcze nic, poczekaj, aż wejdziemy na latarnię – powiedział chłopak.

Wziął ją za rękę i poprowadził ku spiralnym schodom prowadzącym na laternę. Irène z jednej strony czuła się jak intruz, który nieproszony wtargnął do cudzego mieszkania, z drugiej strony jednak jak poszukiwacz przygód podążający tropem tajemnicy, którą lada chwila odkryje.

– A co się stało z latarnikiem?

Ismael zastanawiał się chwilę, jakby próbował sobie przypomnieć. Wreszcie odpowiedział:

– Pewnej nocy wsiadł do swojej łódki i odpłynął. Tak jak stał. Niczego ze sobą nie zabrał.

– A dlaczego tak zrobił?

– Nigdy tego nie wyjawiał – odparł Ismael.

– A ty jak myślisz? Dlaczego uciekł?

– Ze strachu.

Irène przełknęła ślinę i zaczęła rozglądać się niespokojnie, jakby spodziewała się, że zaraz po schodach zacznie ją gonić, niczym świetlisty demon, widmo owej topielicy i rzuci się na nią z wyciągniętymi szponami, z twarzą białą jak porcelana, z dwiema

czarnymi obwódkami wokół płonących oczu.

– Tu nikogo poza nami nie ma, Irène. Jesteśmy całkiem sami – powiedział Ismael.

Dziewczyna przytaknęła bez większego przekonania.

– Tylko mewy i kraby, tak?

– Właśnie.

Schody prowadziły na górną platformę latarni, z której, niczym z wieży strażniczej, rozciągał się widok na całą Błękitną Zatokę. Irène i Ismael wyszli na zewnątrz. Rześki wiatr i światło słoneczne natychmiast rozgoniły najmniejszy choćby cień zjawy pokutującej we wnętrzu latarni. Irène głęboko odetchnęła i dała się porwać urzekającemu widokowi, jaki można było oglądać jedynie z tego miejsca.

– Fajnie, że mnie tu zabrałeś, dziękuję – szepnęła.

Ismael pokiwał głową, jakby od niechcienia, unikając zarazem jej wzroku.

– Może coś przekąsimy? Umieram z głodu – stwierdził.

I tak oto oboje usiedli na skraju platformy i z nogami zwisającymi w powietrzu zaczęli opróżniać koszyk piknikowy. Ani jedno, ani drugie nie było tak naprawdę zbyt głodne, ale jedzenie zajmowało ręce i głowy.

W oddali miasteczko spało w słońcu popołudnia najzupełniej obojętne wobec tego, co się działo na tej wysepce z dala od wszystkich i wszystkiego.

* * *

Przy trzeciej filiżance kawy Simone nadal gawędziła z Lazarusem nieświadoma, że zrobiło się już całkiem późno. Rozmowa, która rozpoczęła się od kurtuazyjnej wymiany uprzejmości, szybko zaczęła dotyczyć poważniejszych tematów, takich jak książki, podróże, drogie ich sercom wspomnienia. Minęło zaledwie kilka godzin, a Simone już miała wrażenie, że zna swojego pryncypała od lat. Stwierdziła ze zdumieniem, że po raz pierwszy od miesiący odważyła się odnaleźć w pamięci sceny i obrazy z ostatnich dni życia Armanda, a opowiadanie o nich przyniosło jej niespodziewaną zupełnie ulgę. Lazarus słuchał bardzo uważnie, nie przerywając jej zwierzeń żadnym zbędnym komentarzem. Wiedział, kiedy należy taktownie zmienić temat, a kiedy pozwolić, by strumień wspomnień płynął swobodnie.

Z trudem przychodziło jej myśleć o Lazarusie jako o pryncypale. Teraz fabrykant zabawek wydawał się jej raczej przyjacielem, dobrym przyjacielem. Tego popołudnia Simone zrozumiała – i poczuła wówczas wyrzuty sumienia i niemal dziecięcy wstyd – że w innych okolicznościach, gdyby życie potoczyło się inaczej, to niezwykle zupełnie porozumienie, jakie nawiązało się między nimi, mogłoby stać się załączkiem czegoś więcej. Ale nad nią wisiał cień wdowieństwa i przeszłości, która nie dawała o sobie zapomnieć, atmosferę Cravenmoore zaś przesycala niewidzialna obecność chorej małżonki Lazarusza. W innych okolicznościach... Gdyby życie potoczyło się inaczej...

Podczas tej kilkugodzinnej pogawędki Simone wyczytała w oczach Lazarusa, że podobne myśli chodziły po głowie i jemu. Wyczytała w nich jednak także, że mężczyzna zamierza dochować wierności swojej żonie i że przyszłość ma im do zaoferowania jedynie przyjaźń. Prawdziwą, głęboką przyjaźń podobną do niewidzialnego mostu pomiędzy dwoma samotnymi światami, które dzielił ocean bolesnych wspomnień.

Złociste światło, zapowiadające zmierzch, wpadało teraz do gabinetu Lazarusa, rozpościerając pomiędzy nimi siatkę słonecznych refleksów. Lazarus i Simone przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Czy mogę zadać panu osobiste pytanie?

– Oczywiście.

– Dlaczego zdecydował się pan zostać fabrykantem zabawek? Mój zmarły mąż też był inżynierem, dość utalentowanym. Ale pańskie prace są świadectwem naprawdę niepospolitego talentu. Wie pan lepiej ode mnie, że wcale nie przesadzam. Czemu właśnie zabawki?

Lazarus uśmiechnął się bez słowa.

– Nie musi pan odpowiadać – dodała Simone.

Fabrykant wstał i podszedł do okna. Bursztynowe światło zalało jego sylwetkę.

– To długa historia – zaczął. – Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, moja rodzina mieszkała w Paryżu, w starej dzielnicy Les Gobelins. Zna pani pewnie te okolice, uboga dzielnica starych, ponurych kamienic.

Szara, widmowa cytadela, wąskie, nędzne zaułki. W czasach mojego dzieciństwa miejsce to wyglądało chyba jeszcze gorzej niż dziś, o ile to w ogóle możliwe. Moja rodzina zajmowała małe mieszkanie w rozpadającym się budynku przy rue des Gobelins. Część elewacji groziła zawaleniem i wspierała się na stemplach, ale żadna z mieszkających tu rodzin nie mogła pozwolić sobie na przeprowadzkę w jakieś bardziej przyjazne miejsce. Do dziś pozostaje dla mnie zagadką, jak zdołaliśmy się tam wszyscy pomieścić, moi trzej bracia, ja, moi rodzice i wujek Luc... Ale zaczynam odbiegać od tematu.

Byłem samotnym chłopcem. Zawsze. Większość chłopaków z mojej ulicy interesowała się rzeczami, które mnie nie obchodziły wcale. Nie znałem też nikogo, z kim mógłbym porozmawiać o tym, co zajmowało mnie. Na szczęście nauczyłem się czytać. Ta umiejętność była dla mnie prawdziwym wybawieniem, od tej pory moimi przyjaciółmi stały się książki. Moja matka na pewno by się tym zmartwiła, ale w natłoku innych trosk nie zdołała chyba nawet tego zauważyć. Zawsze uważała, że zdrowe dzieciństwo polega na bieganiu po ulicach i że tam właśnie, od towarzyszy zabaw, możemy nauczyć się wszystkiego, co w życiu najważniejsze.

Mój ojciec natomiast czekał cierpliwie, aż osiągniemy odpowiedni wiek, by zacząć zarabiać pieniądze, tak w naszym domu potrzebne.

Inni mieli jeszcze mniej szczęścia. Na naszej klatce schodowej mieszkał pewien chłopiec, nazywał się Jean Neville. Jean i jego

owdowiała matka gnieździli się w ciasnym mieszkanku na parterze, tuż przy wejściu do budynku. Ojciec chłopca nie żył od lat. Zmarł, nabawiwszy się jakiejś choroby od przebywania wśród toksycznych wyziewów w fabryce glazury, w której pracował przez całe życie. Podobno często tak bywa. Dowiedziałem się tego wszystkiego, gdyż z czasem zostałem przyjacielem małego Jeana, jedynym, jakiego miał. Jego matka, Anne, nie pozwalała mu wychodzić z budynku dalej niż na podwórko. Jego dom był więzieniem.

Osiem lat wcześniej Anne Neville urodziła bliźnięta w starym szpitalu Saint Christian na Montparnassie. Jeana i Josepha. Joseph przyszedł na świat martwy. Przez osiem lat swego życia Jean borykał się nieustannie z poczuciem winy. Uważał, że jest odpowiedzialny za śmierć swojego brata. A sądził tak przez swoją matkę, która dzień w dzień przypominała mu, że to z jego winy Joseph przyszedł na świat martwy. Co więcej, uparcie powtarzała, iż zabił cudownego chłopca, który bardziej niż on zasługiwał na to, by żyć. Nic z tego, co robił czy mówił Jean, nie zdołało wzbudzić ciepłych uczuć jego matki.

Anne Neville przy świadkach okazywała swojemu dziecku typowe oznaki matczynej troski i przywiązania. Ale w samotności ich klitki rzeczywistość była zupełnie inna. Anne co dzień powtarzała tę samą litanię. Jean jest leniwy. Prawdziwy z niego obibok. Jego wyniki w nauce pozostawiają wiele do życzenia. Nic dziwnego, skoro nie ma za grosz zdolności. Do niczego. W dodatku straszny z niego niezdara. Jego

przyjście na świat było jedną wielką omyłką. Joseph to zupełnie inna historia, on byłby zupełnie inny. Byłby wspaniałym chłopcem, zdolnym, bystrym... Byłby tym wszystkim, czym Jean nie zdoła zostać. Nigdy.

Mały Jean od najwcześniejszego dzieciństwa rozumiał, że to on powinien był umrzeć w owej mrocznej szpitalnej sali. Że zajął cudze miejsce. Wszystkie zabawki, które Anne troskliwie przechowywała dla przyszłego dziecka, skończyły w płomieniach piecyka w tydzień po tym, jak wyszła ze szpitala. Jean nigdy nie miał ani jednej zabawki. Matka mu na to nie pozwalała. Przecież nie zasługiwał na nie.

Którejś nocy chłopiec zbudził się ze snu z krzykiem. Matka podeszła do jego łóżka i spytała, co się stało. Jean, przerażony, wyznał, że śniła mu się zjawa, zły duch, który gonił go przez niekończący się tunel. Anne nie wahała się ani przez chwilę, wyjaśniła mu, że ów sen był znakiem. Zjawa, która mu się przyśniła, to cień zmarłego brata, który poprzysiągł zemstę. Jean musi się bardziej starać, słuchać matki we wszystkim, nie sprzeciwiać się jej poleceniom, jednym słowem być lepszym synem, w przeciwnym bowiem wypadku duch brata przyjdzie po niego i zabierze ze sobą do piekieł. Mówiąc to, Anne zaciągnęła syna do piwnicy i zostawiła go tam samego przez dwanaście godzin, by dogłębnie przemyślał to, co mu przed chwilą powiedziała. Zrobiła to wówczas po raz pierwszy. Ale nie ostatni.

Rok później, kiedy mały Jean opowiedział mi o wszystkim pewnego popołudnia, włosy zjeżyły mi się na głowie. Zapragnąłem jakoś

pomóc temu chłopcu, pocieszyć go, złagodzić jego cierpienie. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to wyjąć z mojej skarbonki pracowicie uskładane oszczędności i pójść do sklepu z zabawkami pana Giradota. Nie uzbierało się tego zbyt wiele, starczyło tylko na używaną marionetkę, poruszanego sznurkami kartonowego anioła. Zapakowałem go w błyszczący papier i następnego dnia poczekałem, aż Anne Neville wyjdzie po zakupy. Zapukałem do drzwi kolegi, powiedziałem, że to ja, Lazarus. Jean po chwili otworzył. Wręczyłem mu paczkę. Powiedziałem, że to prezent, i odszedłem.

Nie widziałem go przez kolejne trzy tygodnie. Pomyślałem, że cieszy się pewnie swoim prezentem. Ja przez długi czas nie miałem się cieszyć swoimi oszczędnościami. Dowiedziałem się później, że żywot owego anioła był krótki: jeszcze tego samego dnia skończył w płomieniach. Anne go znalazła. Zapytała syna, skąd wziął marionetkę, a Jean, nie chcąc mnie w to mieszać, powiedział, że zrobił ją sam.

Kara, która tym razem spadła na Jeana, była jeszcze surowsza niż wszystkie poprzednie. Anne wpadła w szał, zawlokła syna do piwnicy i zamknęła go tam, grożąc, że złowieszczy cień na pewno po niego przyjdzie i zabierze go ze sobą.

Jean Neville spędził w piwnicy cały tydzień. Matka wdała się w jakąś sprzeczkę na targu w Les Halles i policja zamknęła ją, wraz z innymi, we wspólnej celi. Znalazłszy się na wolności, przez kilka dni włóczyła się po ulicach.

Kiedy wróciła wreszcie do domu, nikogo tam nie było. Drzwi piwnicy się zacięły i sąsiedzi pomogli Anne je wyważyć. Piwnica była pusta. Ani śladu Jeana...

Lazarus zawiesił głos. Simone czekała cierpliwie, aż fabrykant zabawek zakończy swoją opowieść.

– Nikt więcej nie zobaczył Jeana Neville’a w naszej dzielnicy. Ci, którzy dowiedzieli się o całej tej historii, uznali, iż chłopiec najpewniej wydostał się z piwnicy, być może kanałami, i postanowił uciec jak najdalej od matki. Ja również sędzę, że tak właśnie się stało, aczkolwiek jeśli zapytałaby pani jego matki, która przez całe tygodnie, miesiące nawet rzewnymi łzami płakała po stracie syna, powiedziałaaby, że cień zabrał go ze sobą... Wspomniałem wcześniej, że byłem bodaj jedynym przyjacielem Jeana Neville’a. Choć gwoli prawdy... Właściwie to on był moim jedynym przyjacielem. I, już po latach, przyrzekłem sobie, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby żadne dziecko więcej nie musiało żyć jak Jean, bez jednej chociażby zabawki. Żeby koszmar, który zmienił dzieciństwo mojego przyjaciela w piekło, nie przydarzył się już nikomu. Do dziś myślę o nim, zastanawiam się, gdzie też może się podziewać. Pewnie cała ta opowieść wydaje się pani dziwna...

– Bynajmniej – odparła Simone, ukrywając twarz w cieniu.

Potem wyszła z niego i uśmiechnęła się serdecznie do Lazarusa.

– Robi się późno – powiedział łagodnie fabrykant zabawek. – Muszę zajrzeć do żony.

Simone pokiwała głową.

– Jestem niezwykle wdzięczny za pani przemiłe towarzystwo, madame Sauvelle – powiedział Lazarus. Potem udał się do swoich pokoi.

Simone odprowadziła go wzrokiem. Samotność tworzy dziwne labirynty.

* * *

Słońce powoli zaczynało chylić się ku zachodowi, a soczewki latarni rzucały na zatokę złociste i szkarłatne refleksy. Wiejąca od morza bryza była teraz chłodniejsza. Po błękitnym niebie od czasu do czasu przepływały delikatne obłoczki niczym sterowce z białej bawełny. Irène leżała oparta lekko na ramieniu Ismaela. Nie odzywała się ani słowem.

Chłopak nieśmiało objął ją ramieniem. Irène spojrzała na niego. Jej usta były otwarte, drżały. Ismael poczuł łaskotanie w żołądku i dziwne dudnienie w uszach. To jego własne serce waliło mu jak młotem. Ich usta niepewnie zbliżyły się do siebie. Dziewczyna przymknęła oczy. Teraz albo nigdy, pomyślał Ismael. I wybrał teraz. Jego wargi dotknęły warg Irène. Następne dziesięć sekund zdało się całą wiecznością.

Później Irène i Ismael, leżąc w milczeniu, objęci na wieży latarni morskiej, poczuli, że nie ma już między nimi żadnych barier, że każde spojrzenie, każdy gest są słowami w im tylko znanym języku. Gdyby to zależało od nich, pozostałoby tam do dnia Sądu Ostatecznego.

* * *

– Gdzie chciałbyś być za dziesięć lat? – zapytała niespodziewanie Irène.

Ismael zamyślił się nad odpowiedzią. Pytanie nie należało do łatwych.

– Trudno powiedzieć. Właściwie sam nie wiem.

– Co chciałbyś robić? Chcesz pójść w ślady stryjka?

– To chyba nie byłby najlepszy pomysł.

– Więc nie chcesz być rybakiem. Ale masz jakieś inne plany? – drażyla dziewczyna.

– Nie wiem, to pewnie głupstwo...

– Ale co właściwie?

Ismael milczał długo. Irène spokojnie czekała na odpowiedź.

– Myślałem o serialach radiowych. Chciałbym je pisać – wydusił w końcu Ismael.

Więc odważył się wreszcie powiedzieć to głośno.

Irène uśmiechnęła się do niego swoim tajemniczym, nieodgadnionym uśmiechem.

– A jakie seriale?

Ismael spojrzał na nią uważnie. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiał i teraz też wcale nie czuł się pewnie. Przeszło mu przez myśl, że o wiele bezpieczniej byłoby zwinąć żagle i wrócić do swojego portu.

– Kryminalne, przygodowo-sensacyjne – odparł w końcu

niepewnie.

– Myślałam, że takie rzeczy nie robią na tobie wrażenia.

– Żeby o nich pisać, wcale nie muszą na mnie robić wrażenia – zaoponował Ismael. – Od jakiegoś czasu zbieram wycinki z gazet o takim człowieku, wiesz, nazywa się Orson Welles. Marzę o tym, żeby kiedyś z nim pracować...

– Orson Welles. Nie mam pojęcia, kto to, ale domyślam się, że nie będzie łatwo do niego dotrzeć. A masz już jakiś pomysł?

Ismael pokiwał głową.

– Musisz mi obiecać, że nikomu nic nie powiesz.

Dziewczyna z całą powagą uniosła dłoń. Zachowanie Ismaela zdawało się jej trochę dziecinne, ale cała ta historia bardzo ją zaintrygowała.

– Chodź ze mną.

Ismael poprowadził ją z powrotem od mieszkania latarnika. Już wewnątrz chłopiec z oczyma błyszczącymi z podniecenia podszedł do stojącego w kącie kufra i go otworzył.

– Kiedy dotarłem tu po raz pierwszy, odkryłem resztki jachtu tej kobiety, która ponoć utopiła się tu dwadzieścia lat temu – powiedział tajemniczym tonem. – Pamiętasz historię, którą ci opowiadałem?

– Światła września – wyrecytowała Irène. – Tajemnicza dama znikająca podczas burzy...

– Właśnie. A wiesz, co znalazłem we wraku jachtu?

– Co?

Ismael włożył rękę do kufra i wyjął z niego niewielki notatnik oprawny w skórę, ukryty wewnątrz metalowego pudełka przypominającego pudełko cygar.

– Woda rozmyła atrament w niektórych miejscach, ale są strony jeszcze całkiem czytelne.

– To zeszyt? – zapytała zaintrygowana Irène.

– I to nie byle jaki zeszyt – wyjaśnił Ismael. – To pamiętnik. Jej pamiętnik.

* * *

Tuż przed zmierzchem „Kyaneos” odbił od brzegu i skierował się ku Domowi na Cyplu. Purpurowe słońce, rozgrzana do czerwoności kula, chowało się powoli za horyzont. Irène patrzyła w milczeniu na sterującego Ismaela. Chłopiec uśmiechnął się do niej, po czym spojrzał znów na żagle, skupiony na wietrze, który zaczynał zmieniać kierunek na zachodni.

Do tej pory Irène całowała się z dwoma chłopakami. Pierwszy raz z bratem szkolnej koleżanki, był to właściwie eksperyment. Była ciekawa, co się wtedy czuje. Ale nie poczuła nic wielkiego. Drugi chłopak, Gérard, był jeszcze bardziej wystraszony niż ona, więc doświadczenie to nie zmieniło wcale jej przekonania, że cała sprawa jest mocno przereklamowana. Ale pocałunki Ismaela były zupełnie inne.

Kiedy dotknęła jego ust, poczuła coś jakby rozchodzący się po całym ciele prąd. Miał inny dotyk. Inny zapach. Wszystko w nim było inne.

– O czym myślisz? – zapytał Ismael na widok jej zadumanej miny. Irène uniosła brew, ale nie odpowiedziała.

Ismael wzruszył ramionami i prowadził łódź dalej w kierunku cypla. Stado ptaków odprowadziło jacht aż do skalnej przystani. Światła domu rzucały na zatoczkę tańczące refleksy. Migocące w oddali miasteczko odbijało się w wodzie feerią różnobarwnych plam.

– Zrobiło się zupełnie ciemno – powiedziała Irène zatroskanym tonem. – Nic ci się nie stanie, prawda?

Ismael uśmiechnął się.

– „Kyaneos” zna drogę na pamięć. Oczywiście, że nic mi się nie stanie.

Łódź dobiła delikatnie do przystani. Krzyk mew dochodzący ze skał klifu od czasu do czasu rozdzierał ciszę. Ciemnogrnatowa wstęga opasywała coraz ciaśniej jaśniejszą linię horyzontu, zza chmur wyzierała mdła poświata księżyca.

– Późno już – zaczęła Irène.

– Tak...

Dziewczyna wyskoczyła na brzeg.

– Wezmę ze sobą dziennik. Będę go strzec jak oka w głowie.

Ismael przytaknął w milczeniu. Irène roześmiała się nerwowo.

– Dobranoc.

Spojrzeni na siebie w półmroku.

– Dobranoc, Irène.

Ismael zwolnił cumę.

– Pomyślałem, że jutro wybiorę się do laguny. Chciałabyś popłynąć ze mną?

Przytaknęła. Łódź odbijała od brzegu.

– Przy płynę po ciebie.

Sylwetka „Kyaneosa” zniknęła w ciemnościach. Irène patrzyła za nim dopóty, dopóki nocny mrok całkiem go nie wchłonął. Potem, prawie unosząc się nad ziemią, pobiegła do Domu na Cyplu. Na ganku czekała na nią matka. Nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, by odgadnąć, że Simone nie tylko widziała, ale pewnie i słyszała cały epizod na nabrzeżu.

– Udała się wyprawa? – zapytała.

Zmieszana Irène przełknęła ślinę. Simone uśmiechnęła się chytrze.

– Możesz mi chyba opowiedzieć.

Irène usiadła obok matki, która objęła ją ramieniem.

– A ty? – zapytała dziewczyna. – Jak tobie minął dzień?

Simone, na wspomnienie popołudnia spędzonego w towarzystwie Lazarusa, westchnęła ciężko.

Przytuliła się mocniej do córki i uśmiechnęła się do swoich myśli.

– To był dziwny dzień, Irène. Chyba się starzeję.

– Głupstwa gadasz.

Dziewczyna spojrzała matce w oczy.

– Coś nie tak, mamó?

Simone uśmiechnęła się z trudem i bez słowa pokręciła głową.

– Po prostu tęsknię za twoim ojcem – powiedziała po chwili, a po jej policzku popłynęła łza.

– Tata odszedł – powiedziała Irène. – Musisz pozwolić mu odejść.

– Nie wiem, czy potrafię.

Irène objęła ją i usłyszała, że matka szlocha.

6. Pamiętnik Almy Maltisse

Następny poranek wstał cały zasnuty mgłą. Pierwsze światła brzasku zaskoczyły Irène, zatopioną w lekturze odkrytego przez Ismaela pamiętnika. Zwykle zaintrygowanie towarzyszące jej na początku lektury zmieniło się tej nocy, która minęła dla Irène niepostrzeżenie, w ciekawość niemal obsesyjną. Od pierwszych linijek rozmazana przez czas kaligrafia owej tajemniczej damy, ofiary morskiej toni, stała się dla dziewczyny hipnotyzującym zupełnie rebusem, zagadką zdającą się nie mieć rozwiązania, która sprawiła, że zmęczenie i senność pierzchły bez śladu.

...Dziś po raz pierwszy ujrzałam twarz cienia. Patrzyła na mnie z ciemności, wyczekująca i nieruchoma. Dobrze wiem, co czai się w tych oczach, owa siła, która utrzymuje go przy życiu – siła nienawiści. Czulałam wyraźnie jego obecność i zrozumiałam, że prędzej czy później nasze dni w tym miejscu zmienią się w koszmar. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo potrzebuje pomocy i że cokolwiek miałoby się stać, nie mogę zostawić go samego...

Tajemniczy głos tej kobiety zdawał się mówić do Irène szeptem, strona po stronie wyznawał jej bez żadnych zahamowań najskrytsze sekrety, które przez lata leżały zapomniane na dnie kufra. Nie minęło jeszcze sześć godzin, od kiedy Irène zanurzyła się w lekturze pamiętnika, a nieznana dama zdążyła się przeistoczyć w niewidzialną przyjaciółkę, w

głos dochodzący z przeszłości, który nie znajdując innej pociechy, wybrał właśnie ją, by zwierzyć jej się ze swych najintymniejszych trosk, wspomnień i zagadki owej wrześnieowej nocy, nocy jej śmierci w lodowatych wodach obmywających wysepkę z latarnią.

...I znowu to się stało. Tym razem z moimi ubraniami. Dziś rano, kiedy udałam się do mojej garderoby, zobaczyłam, że drzwi do szafy są otwarte, a wszystkie moje suknie, te suknie, którymi obdarowywał mnie przez te wszystkie lata, zastałam porozrzucane wszędzie, całe w strzępach, jakby pocięły je ostrza setek noży. Tydzień temu zniszczył mój pierścionek zaręczynowy. Znalazłam go na podłodze. Nie było co zbierać. Reszta mojej biżuterii zniknęła. Porysował lustro w mojej sypialni. Z każdym dniem jego obecność staje się bardziej namacalna, a furia bardziej wyczuwalna. Na razie niszczy po kolei wszystkie moje rzeczy. Później zakatuje mnie. To tylko kwestia czasu. To mnie przecież nienawidzi. To mojej śmierci pragnie. Nie ma tu miejsca dla nas obojga...

Świt pokrył miedzianym kobiercem morskie fale, kiedy Irène dotarła do ostatniego słowa pamiętnika. Pomyślała, że po raz pierwszy w życiu poznała kogoś tak dobrze. Nigdy nikt nie miał odwagi wyznać jej swych najskrytszych sekretów z taką szczerością, z jaką przeczytany właśnie pamiętnik ujawniał najbardziej osobiste myśli tej kobiety, której, paradoksalnie, nigdy nie widziała na oczy. Kobiety, która zginęła dawno temu, zanim Irène przyszła na świat.

...Nie mam z kim porozmawiać, nie mam komu się zwierzyć z trwogi, która ogarnia mnie dzień po dniu. Czasami marzę o tym, by cofnąć czas i przekreślić to wszystko, co dotąd przeżyłam. W takich chwilach właśnie rozumiem, że mój lęk i mój smutek są niczym w porównaniu z jego lękiem i smutkiem, że on mnie potrzebuje, że bez mojego światła jego światło zgaśnie na zawsze. Proszę tylko Boga, by dał nam siłę, by pozwolił nam przeżyć i uciec przed cieniem rozpościerającym się nad nami. Mam wrażenie, że każda linijka, którą piszę w tym pamiętniku, będzie moją ostatnią.

Irène poczuła, że zaraz się rozplacze, nie bardzo wiedziała dlaczego. W otaczającej ją ciszy zapłakała na wspomnienie tej niewidzialnej damy, która poruszyła jakąś nieznaną dotąd strunę w jej duszy. Dopiero teraz zauważyła, że na górze pierwszej strony widnieją imię i nazwisko, które być może zdradzały tożsamość autorki pamiętnika:

Alma Maltisse

Po chwili Irène ujrzała, jak żagiel „Kyaneosa” rozdziera mgiełkę, płynąc ku Domowi na Cyplu. Wzięła pamiętnik i nieomalże na paluszkach wyszła na kolejną randkę z Ismaelem.

* * *

Po kilku zaledwie minutach łódź opłynęła cypel i znalazła się na wodach Czarnej Zatoki. Światło poranka rzucało cienie na wysokie ściany normandzkich klifów stawiających czoło wodom oceanu. Padające na wodę promienie słońca odbijały się od spienionej powierzchni oślepiającymi odblaskami lejącego się srebra. Łódź płynęła ostrym kursem na wiatr, kil niczym sztylet rozcinał wodę. Dla Ismaela był to tylko kolejny rejs, dla Irène wciąż jeszcze cudowna przygoda.

W oczach początkującej żeglarki owo zapierające dech w piersiach widowisko było jak obietnica tysiąca fascynujących przygód i tajemnic, jakie czekały na odkrycie w wodach oceanu. Ismael, ze sterem w rękę, uśmiechnięty jak rzadko, trzymał kurs jachtu na lagunę. Irène, niekryjąca swego zauroczenia morzem, zaczęła relacjonować Ismaelowi wszystko, czego dowiedziała się z pierwszej lektury pamiętnika Almy Maltisse.

– To oczywiste, że pisała ten pamiętnik tylko dla siebie – zauważyła Irène. – Zastanawia mnie, dlaczego przez cały czas unika imion, nie podaje ani jednego. Jakby ludzie, wśród których żyje, byli całkowicie anonimowi.

– Nie da się go czytać – stwierdził Ismael, który już dawno temu uznał, że nie zdoła przebrnąć przez te zapiski.

– Nieprawda – zaoponowała Irène. – Problem w tym, że aby go zrozumieć, trzeba być kobietą.

Ismael miał już na końcu języka jakąś ciętą replikę wobec

insynuacji swego załoganta, ale z niewiadomych przyczyn wołał zamilczeć i się wycofać.

W pewnym momencie Ismael zmienił kurs i skierował się ku wąskiemu przesmykowi. Bardzo szybko tam dotarli, przepłynęli pomiędzy skałami i znaleźli się na spokojnych wodach laguny. Zatoczka, mająca zaledwie kilka metrów głębokości, była ogrodem przejrzystych szmaragdów, a piaszczyste dno migotało niczym biały welon. Irène z otwartymi ustami podziwiała kryjące się na dnie laguny cuda. Ławica ryb podobnych do migoczących srebrnych rzutek tańczyła pod kadłubem „Kyaneosa”.

– To niewiarygodne – wyjąkała Irène.

– To laguna – sprostował, pragmatyczny jak zwykle, Ismael.

Potem, zanim Irène zdążyła otrząsnąć się z hipnotycznego wrażenia, jakie wywierało na niej to miejsce, chłopak opuścił żagiel i zacumował łódź. „Kyaneos” kołysał się teraz łagodnie niczym liść na powierzchni kałuży.

– No dobra. To chcesz zobaczyć tę jaskinię?

Zamiast odpowiedzi Irène uśmiechnęła się do niego wyzywająco i bez słowa zdjęła sukienkę. Oczy Ismaela zrobiły się wielkie jak spodki. To, co ujrzał przed sobą, przerosło jego najśmielsze oczekiwania. Irène, w o wiele bardziej skąpym, niż się spodziewał, kostiumie kąpielowym, tak krótkim, że jej matka nigdy nie zgodziłaby się przyznać, iż zasługuje na tę nazwę, roześmiała się na widok głupiej miny Ismaela. Pozwoliła

mu nacieszyć oczy swoim widokiem, ale nie za długo, kilka zaledwie sekund, i wskoczywszy do wody, zniknęła pod połyskującą taflą. Ta dziewczyna była dla niego zdecydowanie za szybka. A może to on nie nadążał. Nie zastanawiając się dwa razy, skoczył za nią. Pilnie potrzebował ochłody.

Ismael i Irène podpłynęli do wejścia do Groty Nietoperzy przypominającego tunel prowadzący w głąb wykutej w skale katedry. Poczuli, jak opływa ich zimny prąd wydostający się z groty. Wnętrze podwodnej jaskini miało kształt kopuły, z której zwieszały się setki stalaktytów podobnych do skamieniałych lodowych łez. Odbijające się od wody światło odsłaniało tysiące zakamarków pośród skał, a piaszczyste dno delikatnie fosforyzowało, jakby rozciągał się na nim świetlisty kobierzec.

Irène zanurkowała i otworzyła pod wodą oczy. Świat migotliwych odbłyśków, zaludniony przez niesamowite, fascynujące stworzenia, falował przed nią w zwolnionym tempie. Małe ławice rybek migotały oślepiająco, jakby puszczały wielobarwne zajaczki. Ze skał zwisały tęczowe rośliny. Małe kraby biegały po piaszczystym dnie. Dziewczyna trzymała głowę pod wodą, wpatrując się w faunę zamieszkującą jaskinię, aż poczuła, że brakuje jej tchu.

– Uważaj, bo jak tak dalej pójdzie, wyrośnie ci rybi ogon i zmienisz się w syrenę – zażartował Ismael.

Ona uśmiechnęła się tylko i w mdłym świetle jaskini pocałowała

go.

– Już jestem syreną – szepnęła, kierując się w głąb Groty Nietoperzy.

Ismael mrugnął okiem do kraba, który obserwował całą scenę ze skalnej ściany ze stoickim spokojem i antropologiczną, rzec by można, ciekawością. Pełne życiowej mądrości spojrzenie skorupiaka było jednoznaczne. Irène znów sobie z niego kpiła.

* * *

Nie ma jej już cały dzień, pomyślała Simone. Hannah nie tylko nie stawiała się w pracy, ale i nie dawała żadnego znaku życia. Simone zaczęła się zastanawiać, czy chodzi tylko o zwykłe uchybienie natury dyscyplinarnej. Miała nadzieję, że tak właśnie jest. Odczekała całe niedzielne popołudnie, licząc na jakąś wiadomość od dziewczyny. Pewnie musiała udać się do domu. Jakaś mała niedyspozycja. Nieprzewidziana sprawa wymagająca pilnego załatwienia. Była skłonna zaakceptować każde wyjaśnienie. Po godzinach oczekiwania uznała wreszcie, że nie może dłużej odkładać tego problemu na później. Już miała zatelefonować do rodziców Hannah, kiedy rozległ się dzwonek. W słuchawce odezwał się nieznajomy głos, którego ton nie był bynajmniej uspokajający.

– Dzień dobry, pani Sauvelle. Nazywam się Henri Faure. Jestem szefem żandarmerii w Błękitnej Zatoce – oznajmił, a każde jego słowo

zdało się Simone ciężkie niczym głaz.

Po obu stronach linii zapadła pełna napięcia cisza.

– Jest pani tam? – zapytał żandarm.

– Tak, słucham.

– Muszę przekazać pani złą wiadomość...

* * *

Dorian uznał swój dzień pracy za zakończony. Wszystkie zadania, które powierzyła mu Simone, zostały skrzętnie wykonane, a perspektywa wolnego popołudnia przedstawiała się nader obiecująco. Kiedy dotarł do Domu na Cyplu, okazało się, że Simone nie wróciła jeszcze z Cravenmoore, a Irène włączyła się gdzieś pewnie z tym swoim nowym narzeczoną. Dorian, wypiwszy duszkiem dwie szklanki mleka, rozejrzał się po domu, który pod nieobecność obydwu kobiet wydał mu się nagle przeraźliwie cichy. Poczł się nieswojo. Dla kogoś przyzwyczajonego do towarzystwa znalezienie się w pustym domu bywa doświadczeniem niezbyt przyjemnym.

Pomyślał, że skoro do zmroku zostało jeszcze kilka godzin, mógłby zrobić sobie wycieczkę do lasu Cravenmoore. W dziennym świetle, tak jak mówiła Simone, tajemnicze cienie okazywały się tylko drzewami, listowiem i zaroślami. Dodając sobie odwagi tą myślą, chłopak zagłębił się w gęsty, poprzecinany labiryntem ścieżek las, rozciągający się pomiędzy Domem na Cyplu a rezydencją Lazarusa Janna.

Po dziesięciu minutach przechadzki zauważył nagle dziwne ślady prowadzące ze skalistego wybrzeża w głąb lasu i znikające niespodziewanie przy wejściu na polanę. Chłopiec uklęknął i dotknął śladów, a właściwie bezkształtnych wgłębień w leśnej ściółce. Cokolwiek je zostawiło, musiało sporo ważyć. Dorian raz jeszcze zbadał ostatni odcinek owego tajemniczego tropu aż do miejsca, w którym ślady się urywały. Jeśli miał wierzyć temu, co widział, idąca tędy osoba, a może zwierzę, zatrzymało się tu i... wyparowało.

Uniósł wzrok i spojrzał na drgającą w koronach drzew Cravenmoore siatkę cieni i prześwitów. Jeden z ptaków Lazarusza przeleciał z gałęzi na gałąź. Chłopakowi ciarki przeszły po plecach. Czy w tym lesie nie było ani jednego żywego zwierzęcia? Czy czaiły się tu tylko te mechaniczne istoty, które wyskakiwały nagle z cienia, by równie nagle zniknąć, nigdy nie zdradzając, skąd właściwie przychodzą ani dokąd zmierzają? Dorian spojrzał teraz na pnie pobliskich drzew. Na jednym z nich ujrzał bruzdę. Podszedł do pnia i dotknął wgłębienia. Coś wycięło w drewnie głęboką ranę. Później zobaczył kolejne szramy, którymi przeorany był pień aż do samej korony. Chłopak przełknął ślinę i postanowił zmykać stąd jak najprędzej.

* * *

Ismael poprowadził Irène do znajdującej się w samym sercu grotty niewielkiej skały, która wystawała nieco nad powierzchnię wody.

Położyli się na skale, by chwilę odpocząć. Światło padające od wyjścia z jaskini rzucało na jej ściany kołyszące się w dziwnym tańcu cienie. Woda w grocie była cieplejsza niż w lagunie i unosiła się nad nią kurtyna pary.

– Jest jakieś inne wejście do tej groty? – zapytała Irène.

– Tak, jest jeszcze jedno, ale niebezpieczne. Bezpiecznie można się tu dostać tylko od strony morza, z laguny.

Dziewczyna zapatrzyła się na spektakl mdłego światła odsłaniającego zakamarki jaskini. Miejsce niewątpliwie miało niepowtarzalny, magiczny wręcz urok. Przez chwilę Irène odniosła wrażenie, że znalazła się w ogromnej sali wykutego w skale pałacu, w sali rodem z baśni, do której trafić można tylko we śnie.

– To zupełnie wyjątkowe miejsce – powiedziała.

Ismael przytaknął.

– Czasami przyływam tu tylko po to, żeby usiąść na jednej z tych skał i popatrzeć, jak światło mieni się różnymi kolorami pod wodą. To moje prywatne sanktuarium.

– Z dala od świata, co?

– Tak daleko, jak tylko się da.

– Nie lubisz towarzystwa, prawda?

– Zależy jakiego – odparł, uśmiechając się.

– Czy mam to potraktować jak komplement?

– Może.

Ismael odwrócił wzrok i spojrzał w kierunku wejścia do grotty.

– Powinniśmy już iść. Niedługo będzie przyływ.

– A czemu musimy iść?

– Przyływ wpycha do jaskini masy wody. Grota wypełnia się aż do samego sklepienia. To śmiertelna pułapka. Jeśli nie wydostaniesz się stąd w porę, utopisz się jak jakiś szczur.

Nagle cała magia tego miejsca wydała się Irène złowieszcza. Oczyma wyobraźni ujrzała, jak jaskinia wypełnia się lodowatą wodą, odcinającą drogę ucieczki.

– Mamy dużo czasu – uspokoił ją Ismael.

Irène, niewiele myśląc, skierowała się ku wyjściu z jaskini; nie zatrzymała się, dopóki nie poczuła na skórze promieni słońca. Ismael patrzył na nią, kiedy płynęła tak co sił w rękach i nogach, i uśmiechnął się do siebie. I tak była odważna. Bez dwóch zdań.

Droga powrotna upłynęła w milczeniu. Słowa pamiętnika rozbrzmiewały raz po raz w uszach Irène niczym echo, które uparcie nie chce umilknąć. Słońce całkiem schowało się za grubą zasłoną chmur, które zasnuły niebo, nadając morzu posępny, stalowoszary kolor. Wiatr zrobił się przenikliwie zimny, Irène znów włożyła sukienkę. Tym razem Ismael nie spojrzał nawet, jak się ubiera, niechybny znak, że tonął we własnych rozmyślaniach, trudno powiedzieć o czym.

Kiedy „Kyaneos” opływał cypel, zapadał już zmierzch. W oddali majaczyła wysepka z latarnią, tonąca we mgle. Ismael skierował łódź ku

przystani i ze zwykłą dla siebie wprawą zacumował ją, chociaż myślami nadal był tysiące kilometrów stamtąd.

Żegnając się, Irène wzięła chłopca za rękę.

– Dziękuję za to, że zabrałeś mnie do groty – powiedziała i wyskoczyła na brzeg.

– Zawsze mi dziękujesz, nie musisz tego robić. To raczej ja ci dziękuję, że ze mną popłynęłaś.

Irène z trudem przyszło oprzeć się pokusie, żeby go zapytać, kiedy się znów zobaczą. Intuicja podpowiadała jej jednak, że lepiej tego nie robić. Ismael odwiązał cumę i „Kyaneos” odbił od brzegu.

Dziewczyna jeszcze przez chwilę stała na kamiennych schodkach klifu, patrząc za łodzią oddalającą się w kierunku świateł nabrzeża i eskortowaną przez stado mew. „Kyaneos” sunął do miasteczka po falach układających się w srebrzysty dywan.

* * *

Wszedłszy do domu, Irène od razu poczuła, że coś jest nie tak. Panował tu jakiś niezwykły porządek, niecodzienny spokój, podejrzana cisza. Światła w znajdującym się na parterze salonie nieśmiało próbowały rozproszyć mroki pochmurnego wieczora. Dorian, siedząc na jednym z foteli, wpatrywał się w milczeniu w buzujący w kominku ogień. Odwrócona plecami do drzwi Simone, z kubkiem wystygłej kawy w dłoniach, spoglądała w morze. Słysząc tylko wiatr kręcący

chorągiewką na dachu.

Irène i Dorian spojrzeli na siebie bez słowa. Irène podeszła do matki i położyła jej dłoń na ramieniu. Simone Sauvelle odwróciła się. W oczach miała łzy.

– Co się stało, mamó?

Simone objęła córkę. Irène dotknęła jej dłoni. Były zimne. Drżały.

– Hannah – wymamrotała Simone.

Długo nie mogła wydusić z siebie nic więcej. Wiatr stukał okiennicami Domu na Cyplu.

– Nie żyje – powiedziała w końcu.

Świat wokół Irène runął niczym domek z kart.

7. Droga cieni

Droga biegnąca wzdłuż Plaży Anglika rozbłyskiwała ostatnimi światłami zmierzchu, wijąc się szkarłatną serpentyną w kierunku miasteczka. Irène, pedałując na rowerze brata, odwróciła na chwilę głowę, by spojrzeć jeszcze w stronę Domu na Cyplu. Słowa Simone i przerażenie w jej oczach na widok wybiegającej z domu córki nie dawały Irène spokoju, ale obraz Ismaela zeglującego ku czekającej nań wiadomości o śmierci Hannah był silniejszy od wyrzutów sumienia.

Simone wyjaśniła jej, że kilka godzin temu dwóch turystów natrafiło na ciało Hannah tuż przy lesie. Wszyscy ci, którzy znali nieustannie trajkoczącą dziewczynę, przyjęli wiadomość o jej śmierci z niedowierzaniem, z nieukrywanym smutkiem i z bólem. Ale poza informacją, że matka Hannah, Élisabeth, na wieść o śmierci córki doznała szoku i znajduje się pod opieką doktora Giraud, który zaaplikował jej silne środki uspokajające, nikt nic więcej nie wiedział.

Teraz, po wielu latach, znowu zaczęły chodzić słuchy o pasmie zbrodni, które dawno temu wstrząsnęły całą okolicą. Byli i tacy, co w obecnym nieszczęściu chcieli dopatrzeć się kolejnej odsłony makabrycznego łańcucha niewyjaśnionych morderstw, do których w latach dwudziestych doszło w lesie Cravenmoore.

Inni woleli jednak wstrzymać się z wypowiedaniem jakiegokolwiek zdania do momentu ujawnienia większej liczby

szczegółów dotyczących okoliczności tragedii. Ale miast informacji mnożyły się plotki, narastały domysły, rozpowiadano pogłoski zaciemniające jedynie sprawę przyczyn śmierci dziewczyny. Obaj turyści, którzy podczas wycieczki natknęli się na zwłoki, od wielu godzin przebywali na posterunku żandarmerii, gdzie składali zeznania. W drodze zaś znajdowało się już – ponoć – dwóch śledczych z La Rochelle. I tyle o śmierci Hannah wiedziano na pewno. Wszystko inne było zagadką.

Pedałując ile sił w nogach, Irène dotarła do miasteczka, w chwili gdy kula słońca zanurzyła się całkowicie za widnokretem. Na ulicach było pusto, nie licząc kilku przechodniów podążających w milczeniu niczym cienie bez swych panów. Dziewczyna oparła rower o starą latarnię oświetlającą wylot zaułka, przy którym stał dom stryjostwa Ismaela. Był to skromny, bardzo zwyczajny budynek, domek rybacki nad zatoką. Gołym okiem widać było, że ściany od wielu lat nie widziały pędzla i farby lub przynajmniej wapna, a ciepłe światło latarni wydobywało wszystkie ślady, jakie zostawiły na murach morskie wiatry i sól.

Irène, czując, jak ściska ją w żołądku, podeszła do drzwi, lecz zawahała się, czy zapukać. Jakim prawem właściwie miała czelność w takim momencie wtrącać się do czyjegoś bólu? O co jej właściwie chodzi?

Stała nagle w miejscu, niezdolna ruszyć do przodu ani cofnąć

się, targana wątpliwościami z jednej strony, z drugiej zaś potrzebą ujrzenia Ismaela i towarzyszenia mu w takiej właśnie chwili jak ta. W tym momencie otworzyły się drzwi do domu. Zażywna i pełna powagi postać doktora Giraud ruszyła ku wylotowi zaułka. Świecące oczy lekarza dostrzegły zza szkieł okularów stojącą w półmroku Irène.

– Jesteś córką madame Sauvelle, o ile się nie mylę?

Dziewczyna przytaknęła.

– Ismaela nie ma w domu, bo pewnie chciałaś się z nim zobaczyć – poinformował ją doktor Giraud. – Jak tylko dowiedział się o swojej kuzynce, wszedł na łódź i odpłynął.

Lekarz zauważył, że twarz dziewczyny mocno pobiadła.

– To dobry żeglarz. Wróci.

* * *

Irène stanęła na końcu ostrogi mola. Samotny żagiel „Kyaneosa” odcinał się od nadwodnej mgiełki oświetlony przez księżyc. Dziewczyna usiadła na brzegu, obserwując, jak łódź Ismaela obiera kurs na wysepkę z latarnią. Z wybranej przezeń samotności nic już nie mogło go uratować i nikt nie mógł pospieszyć z pomocą. Irène poczuła, jak bardzo chce wskoczyć do jakiejś łódki wiosłowej i popłynąć za chłopcem aż na kres jego tajemnego świata, wiedziała jednak, że wszelki wysiłek jest już daremny.

Uświadamiając sobie, że rzeczywista waga tego, co się naprawdę

stało, zaczyna do niej docierać dopiero teraz, poczuła, jak jej oczy napęlniają się łzami. Kiedy „Kyaneos” zniknął w ciemnościach, wsiadła na rower i rozpoczęła drogę powrotną do domu.

Jadąc wzdłuż plaży, wyobraziła sobie Ismaela siedzącego w milczeniu na wieży latarni morskiej. Przerażliwie samotnego. Przypomniała sobie, jak często wybierała się w tę podróż w głąb własnej duszy, i przyrzekła sobie, że cokolwiek się wydarzy, nie pozwoli na to, by chłopak zabłądził na tej drodze pełnej cieni.

* * *

Tej nocy kolacja trwała krótko. Rytuał milczeń i unikających się nawzajem spojrzeń zastąpił zazwyczaj panującą przy stole atmosferę, a cała trójka, niby spożywając wieczorny posiłek, myślała wyłącznie o tym, by jak najszybciej udać się do swych pokojów. O jedenastej w nocy w całym domu panowała cisza jak makiem zasiał i zapalone było jedno tylko światło: lampka nocna Dorigana.

Do pokoju chłopca wpadała przez otwarte okno chłodna bryza. Dorian, wyciągnięty na łóżku, słuchał ze wzrokiem błędzącym w mroku przedziwnie nieokreślonych głosów lasu. Tuż przed północą zgasił lampkę i podszedł do okna. Ciemne fale liści przetaczały się przez gąszcz. Wyteżył wzrok, usiłując przebić się przez wirujący w listowiu korowód cieni. Niemal fizycznie czuł czyjaś obecność.

Za lasem widać było nieregularną bryłę Cravenmoore i żółtawy

prostokąt w ostatnim oknie skrzydła zachodniego. Nagle z zarośli uniosła się migotliwa i złotawa aureola. Światła w lesie. Światła lampki lub latarki w leśnej gęstwinie. Chłopak przełknął ślinę. Krótkie błyski pojawiały się to tu, to tam, przesuając się, krążąc, cofając się pomiędzy drzewami.

Minutę później, w skórzanych butach i opatulony w gruby sweter, Dorian zszedł na palcach, najostrożniej, jak mógł, po schodach i ostrożnie otworzył drzwi na ganek. Noc była zimna i słychać było huk fal rozbijających się u stóp klifu. Oczy chłopca podążyły za rysowanym przez promienie księżyca szlakiem, srebrną wstęgą wijącą się ku ścianie lasu. Ściskanie w żołądku przypomniało chłopcu ciepły azyl pokoju. Dorian westchnął.

Światła przekłuwały opary przy brzegu lasu niczym białe szpileczki. Chłopak uważnie stawiał każdy krok, ale ani się spostrzegł, kiedy poczuł, że otoczony już jest przez leśne cienie, a Dom na Cyplu zdawał się znajdować daleko, strasznie daleko.

* * *

Żadna, choćby i najmroczniejsza ciemność i żadna, choćby i najcichsza cisza nie mogłyby tej nocy złożyć Irène zbawczym snem. Wreszcie około północy poddała się i zapaliła małą lampkę na nocnym stoliku. Pamiętnik Almy Maltisse leżał obok maleńkiego medalionu, który Irène kilka lat temu dostała w prezencie od ojca: wygrawerowany

w srebrze wizerunek anioła. Irène wzięła pamiętnik i otworzyła na pierwszej stronie.

Wyszła jej naprzeciw płynna i krągła kaligrafia. Stroniczka w tonach wyblakłej ochry podobna była falującym łanom żyta. Nie spiesząc się, powoli przemierzając linijkę za linijką, Irène rozpoczęła po raz wtóry podróż do skrywanej pamięci Almy Maltisse.

Ledwie odwróciła pierwszą stronę, a urok słów porwał ją z sobą daleko stąd. Nie słyszała już huku fal ani wiatru w lesie. Myślami była w zupełnie innym świecie...

...W nocy słyszałam ich kłótnię w bibliotece. On krzychał i błagał, by zostawił go w spokoju i zniknął z tego domu na zawsze. Powiedział, że nie ma najmniejszego prawa wyczyńać z naszym życiem tego, co wyczynia. Nigdy nie zapomnę jego śmiechu, tego zwierzęcego wycia pełnego wściekłości i nienawiści, który rozległ się za murami. Łomot tysięcy spadających z półek książek rozszedł się po całym domu. Z dnia na dzień jest coraz bardziej rozsierdzony. Od chwili kiedy uwolniłam tę bestię z jej kryjówki, rośnie nieustannie w siłę.

On cały czas pełni straż przy moim łóżku. Wiem, iż lęka się, że jeśli zostawi mnie samą, choć na chwilę, cień przyjdzie po mnie. Od wielu już dni nie dzieli się ze mną swoimi myślami, ale nie jest mi to potrzebne. Nie śpi już od tygodni. Każda noc to okrutne i niekończące się oczekiwanie. Po całym domu rozstawia setki świec, usiłując oświetlić każdy kąt i zakamarek, tak by nigdzie nie było ani odrobiny ciemności, w

której cień mógłby się schronić.

Czasem nawiedzają mnie myśli, że to wszystko przeze mnie, że gdybym zniknęła, jego przeklęty los zniknąłby razem ze mną. Być może właśnie tak powinnam zrobić, porzucić go i wyjść na nieuniknione spotkanie z cieniem. Tylko to przyniesie nam spokój. Przed podjęciem tego kroku wstrzymuje mnie jedynie to, że nie potrafię znieść myśli o porzuceniu go. Bez niego nic nie ma sensu. Ani życie, ani śmierć...

Irène uniosła wzrok znad pamiętnika. Klębek wątpliwości Almy Maltisse z jednej strony ją zdumiewał, z drugiej zaś zdawał się jej niepokojąco bliski. Kreska oddzielająca winę i chęć życia zdawała się cieniutka niczym zatrute ostrze. Irène zgasiła światło. Obraz wciąż tkwił w jej głowie. Zatrute ostrze.

* * *

Dorian wszedł do lasu, podążając za błyskającymi spomiędzy zarośli światełkami, które właściwie mogły się znajdować w każdym miejscu w gęstwinie. Zwilżone mgiełką liście przeistaczały się w wachlarze nieuchwytnych miraży. Odgłos jego własnych kroków był jak pułapka zastawiana na siebie samego. W końcu nabrał głęboko powietrza i przypomniał sobie, po co tu przyszedł: nie wyjdzie stąd, dopóki nie sprawdzi, co takiego chowa się w tym lesie. To wszystko, nic więcej.

Zatrzymał się tuż przed polanką, dostrzegłszy jakieś ślady,

niewyraźne już i nieco zatarte. Podeszedł do rozdrapanego pnia i dotknął bruzd. Wyobraził sobie zwierzę wspinające się pędem na drzewo, uciekające niczym diabeł przed wodą święconą. Parę sekund później trzask łamanej gałęzi za jego plecami uświadomił mu, że w pobliżu ktoś się znajduje. Albo coś.

Dorian skrył się i przykucnął za krzakiem. Ostre gałęzie kłuły go jak szpilki. Wstrzymał oddech i zaczął się modlić, by ten, kto czai się nieopodal, nie usłyszał łomotania jego serca, jemu samemu dudniącego w skroniach. Niebawem migocące światła, które przedtem widział z daleka, nagle zaczęły się zbliżać, przeświecając przez zarośla. Zawieszane w powietrzu pasemka mgły nabrały czerwonego połysku.

Rozległ się odgłos deptanych liści i gałęzi. Kroki nieuchronnie zbliżały się do kryjówki chłopca. Dorian zamknął oczy i zamarł w bezruchu. Kroki ucichły. Dorianowi zabrakło tchu, ale w tym momencie był święcie przekonany, że może nie oddychać i dziesięć lat. Kiedy poczuł, że jednak zaraz rozsadzi mu płuca, dwie dłonie rozchyliły gałęzie krzaka, za którym się chował. Chłopcu kolana zaczęły się trząść jak galareta. Światło lampki oślepiło go. Po chwili, która dłużyła mu się w nieskończoność, ktoś postawił lampkę na ziemi i uklęknął przy nim. Twarz wydawała się chłopcu znajoma, ale przerażenie paraliżowało go do tego stopnia, że nie był w stanie jej rozpoznać. Mężczyzna uśmiechnął się.

– Czy można wiedzieć, co tu właściwie robisz o tej porze? –

rozległ się miły i łagodny głos.

W końcu do Doriana dotarło, że klęczy przed nim Lazarus. Dopiero wtedy głęboko odetchnął. A i tak dobrą chwilę trwało, zanim ręce przestały mu drżeć.

W tym czasie Lazarus zaprowadził go do pomieszczenia przylegającego do fabryki zabawek, po czym niespiesznie przygotował dwie filiżanki gorącej czekolady. Kiedy wydawało się, że chłopiec już ochłonął, Lazarus podał mu filiżankę i usiadł naprzeciwko.

Nie bacząc na maniery, trzymali filiżanki w obu dłoniach i siorbali czekoladę, od czasu do czasu spoglądając na siebie. Wreszcie Lazarus się roześmiał.

– Śmiertelnie mnie przestraszyłeś, synu – powiedział.

– Pocieszę pana, pański strach jest niczym w porównaniu ze strachem, jakiego ja się najadłem – odparł Dorian, czując, jak gorąca czekolada rozlewająca się w żołądku przynosi mu błogi spokój.

– W to akurat nie wątpię nic a nic – zaśmiał się Lazarus. – A teraz przyznaj się, co tam robiłeś?

– Zobaczyłem światła.

– Zobaczyłeś moją lampę. I dlatego wyszedłeś? W środku nocy? Zapomniałeś, co się stało Hannah?

Dorian przełknął ślinę. Odniósł wrażenie, że połyka kulę. Dużą kulę bilardową.

– Nie zapomniałem.

– I słusznie. Musisz o tym pamiętać. Łaźnienie tutaj po ciemku jest niebezpieczne. Od kilku już dni mam wrażenie, że ktoś kręci się po lesie.

– Pan też widział ślady?

– Jakie ślady?

Dorian zwierzył mu się ze swych obaw i niepokojów. Opowiedział Lazarusowi o tym, że wydaje mu się, iż w lesie ktoś jest. Z początku nie był pewien, czy potrafi wyrazić wszystkie swoje domysły, ale Lazarus wzbudzał w nim tyle zaufania, że bez problemu rozwiązał mu się język. Lazarus przysłuchiwał się z uwagą opowieści chłopca, nie kryjąc pewnego zdziwienia, nawet uśmiechając się od czasu do czasu przy najbardziej nieprawdopodobnych szczegółach.

– Ciebie, powiadasz? – w pewnym momencie zapytał z powątpiewaniem Lazarus.

– Pan nie wierzy w ani jedno moje słowo – powiedział rozgoryczony Dorian.

– Ależ nie, skądże. Wierzę ci. A przynajmniej próbuję ci wierzyć. Sam musisz jednak przyznać, że to wszystko, co mi opowiadasz, jest dość... szczególne.

– Ale pan też coś zobaczył. I dlatego wyszedł pan do lasu. Mam rację?

Lazarus uśmiechnął się.

– Zgadza się. Też wydawało mi się, że coś widzę, ale chyba nie jestem tak spostrzegawczy jak ty.

Dorian dopił swoją czekoladę.

– Napij się jeszcze? – zaproponował Lazarus.

Chłopak skinął głową. Dobrze się czuł w towarzystwie fabrykanta zabawek. Myśl o tym, że może wypić jeszcze jedną filiżankę czekolady w środku nocy, wydała mu się zapowiedzią ekscytującej i pouczającej przygody.

Rozglądając się po pracowni, w której się znajdowali, Dorian dostrzegł na jednym ze stołów okryty płótnem zarys sylwetki sporych rozmiarów.

– Pracuje pan nad czymś nowym?

Lazarus przytaknął.

– Chcesz zobaczyć?

Oczy chłopca rozbłysły nieukrywanym przejęciem. Nie musiał odpowiadać.

– Musisz mieć na uwadze, że jeszcze nad tym pracuję... – powiedział Lazarus, podchodząc do płótna i unosząc lampkę.

– To automat? – spytał chłopiec.

– Na swój sposób tak. W rzeczywistości ta praca jest nieco ekstrawagancka, tak mi się przynajmniej wydaje. Od lat ten projekt chodzi mi po głowie. Pomysł podsunął mi chłopiec mniej więcej w twoim wieku, dawno temu.

– Przyjaciel?

Lazarus uśmiechnął się melancholijnie.

– Gotów? – spytał.

Dorian skwapliwie przytaknął. Lazarus pociągnął za płótno okrywające pracę. Dorian odskoczył przerażony.

– To tylko maszyna, Dorianie. Nie musisz się jej bać.

Dorian przyjrzał się tej majestatycznej postaci. Lazarus skonstruował metalowego anioła, dwumetrowego nieomalże olbrzyma z dwoma ogromnymi skrzydłami. Spod kaptura lśniła wycyzelowana w stali twarz. Miał ogromne ręce. Głowa Dorianą zmieściłaby mu się w dłoni.

Lazarus przekręcił coś u podstawy głowy anioła i mechaniczny stwór otworzył oczy, dwa rubiny rozpalone niczym żar. Patrzyły nań. Tylko i wyłącznie na Dorianą.

Dorian poczuł, jak skręcają mu się wnętrzności.

– Niech go pan wyłączy, błagam... – poprosił.

Lazarus spostrzegł przerażony wzrok chłopca i błyskawicznie zarzucił płótno na automat.

Po zniknięciu demonicznego anioła Dorian westchnął z ulgą.

– Przykro mi – powiedział Lazarus. – Nie powinienem był ci go pokazywać. To tylko maszyna, Dorianie. Zwykły metal. Zabawka. Nie pozwól, żeby jej widok wzbudzał w tobie strach.

Chłopiec, choć niechętnie i bez przekonania, jednak przytaknął.

Lazarus szybko poczęstował go kolejną filiżanką dymiącej czekolady. Dorian napił się gęstego i przywracającego siły płynu.

Fabrykant zabawek cały czas uważnie mu się przyglądał. Po kilku łykach chłopiec uniósł wzrok znad filiżanki i spojrzał na Lazarusa. Obaj się uśmiechnęli.

– Ale się przestraszyłeś, co? – stwierdził Lazarus.

Dorian zachichotał nerwowo.

– Pewnie myśli pan, że jestem tchórzem.

– Wprost przeciwnie. Niewielu odważyłoby się wyjść do lasu po tym, co spotkało Hannah.

– A co się stało? Jak pan myśli?

Lazarus wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Sądzę, że musimy poczekać na wyniki policyjnego śledztwa.

– No tak, ale...

– Ale co?

– A jeśli w lesie rzeczywiście coś się kręci? – nie dawał za wygraną Dorian.

– Cień?

Dorian przytaknął z powagą.

– Wiesz, co to jest *Doppelgänger*? – spytał Lazarus.

Chłopak zaprzeczył. Fabrykant zabawek spojrzał na niego kątem oka.

– To niemieckie słowo – wyjaśnił. – Oznacza ono cień, który z jakiegoś powodu oderwał się od swojego właściciela. Opowiedzieć ci

ciekawą historię z tym związaną?

– Tak, bardzo proszę...

Lazarus usiadł wygodnie naprzeciwko chłopca i wyjął długie cygaro. Dzięki obejrzanym filmom Dorian wiedział, że ów przedmiot o kształcie torpedy nosi nazwę cygara hawańskiego i że poza tym, iż kosztuje fortunę, po zapaleniu wydziela nieprzyjemny i duszący zapach. Oprócz Greta Garbo ulubionym bohaterem jego niedzielnych seansów filmowych był Groucho Marx. Zwyczajni ludzie znali zapach cygara tylko z ekranów. Lazarus przyjrzał się dokładnie trzymanemu w rękę cygaru i nieoczekiwanie schował je, gotów rozpocząć swoją opowieść.

– Do rzeczy więc. Historię tę opowiedział mi dawno temu jeden z moich kolegów. Jest rok tysiąc dziewięćset piętnasty. Miejsce akcji: Berlin...

Ze wszystkich berlińskich zegarmistrzów nikt tak nie dążył do perfekcji, nikt nie był tak skrupulatny w swej robocie jak Hermann Blöcklin. Wystarczy rzec, że jego obsesyjne próby tworzenia coraz precyzyjniejszych mechanizmów doprowadziły go do opracowania teorii o związkach pomiędzy czasem a prędkością światła. Blöcklin mieszkał na Heinrichstrasse, w małym pełnym zegarów mieszkanku na tyłach swego warsztatu. Był samotnikiem. Nie miał rodziny. Nie miał przyjaciół. Jego jedynym towarzyszem był stary kot Salman, który potrafił godzinami leżeć u jego boku, podczas gdy Blöcklin oddawał się wyłącznie swoim poszukiwaniom.

Z biegiem czasu stały się one jego obsesją. Zdarzało mu się często całymi dniami nie otwierać dla klientów swego warsztatu. Potrafił pracować bez spoczynku dwadzieścia cztery godziny na dobę nad projektem swych marzeń: nad zegarem doskonałym, uniwersalną maszyną mierzącą czas.

Nad Berlinem od wielu dni szalała śnieżycą. Mróz nie odpuszczał. Zegarmistrza odwiedził dziwny klient, elegancki mężczyzna, który przedstawił się jako Andreas Corelli. Ubrany był w szykowny biały garnitur. Miał długie, jedwabiste i przyprószone srebrem włosy. Ciemne okulary przysłaniały mu oczy. Blöcklin poinformował przybysza, że zakład jest nieczynny, ale Corelli nalegał, podkreślając, że przyjechał z bardzo daleka tylko po to, żeby się z nim spotkać. Wyjaśnił mu, że dokładnie wie o jego pracach, i na poparcie tego opisał mu ze szczegółami niektóre z nich, co wprawilo w niepomierne zdumienie zegarmistrza, przekonanego, że jego odkrycia stanowią pilnie strzeżoną tajemnicę.

Nie mniej dziwne było zamówienie Corellego. Blöcklin miał skonstruować zegarek, specjalny zegarek. Wskazówki miały się kręcić w odwrotnym kierunku. Corelli wyjaśnił zegarmistrzowi, że cierpi na śmiertelną chorobę i ma przed sobą tylko kilka miesięcy życia, dlatego też chce mieć zegarek, który odliczałby mu godziny, minuty i sekundy, jakie zostały mu do dnia śmierci.

Ekstrawaganckiemu zamówieniu towarzyszyła nader hojna oferta

zapłaty. I nie tylko, bo Corelli przyrzekł ponadto, że przekaże Blöcklinowi środki pozwalające na dożywotnie finansowanie jego badań. W zamian domagał się tylko poświęcenia kilku tygodni na stworzenie wspomnianego wynalazku.

Blöcklin, rzecz oczywista, przystał na propozycję. Przez dwa tygodnie nie zajmował się niczym innym jak tylko realizacją niecodziennego zlecenia. Siedział jak zwykle w swoim warsztacie, kiedy do drzwi ponownie zapukał Andreas Corelli. Zegarek był już gotów. Corelli, uśmiechając się, obejrzał go dokładnie i nie szczędząc słów pochwały dla kunsztu zegarmistrza, stwierdził, że w pełni zasłużył na ustaloną zapłatę. Zmęczony, lecz szczęśliwy Blöcklin wyznał mu, że w to zlecenie włożył całą swoją duszę. Corelli przytakiwał ze zrozumieniem. Nakręcił zegarek. Wskazówki ruszyły. Wręczył Blöcklinowi sakwę złotych monet i pożegnał się.

Zegarmistrz, nie posiadając się ze szczęścia, łapczywie przeliczał złote monety. W pewnym momencie dostrzegł swoje odbicie w lustrze: nagle postarzałą, zniszczoną twarz. Za dużo pracował. Postanowił dać sobie parę dni wolnego, by odpocząć i odzyskać siły.

Następnego dnia promienie oślepiającego słońca wdarły się przez okno mieszkanca Blöcklina. Zegarmistrz, wciąż zmęczony, podszedł do umywalki i znowu spojrział w lustro. Tym razem jednak zmartwiał cały. Wieczorem, kiedy kładł się do łóżka, jego twarz była twarzą mężczyzny liczącego sobie czterdzieści parę lat, zmęczonego, owszem, i

przepracowanego, niemniej człowieka jeszcze młodego. Dziś miał przed sobą człowieka dobijającego sześćdziesiątki. Przerażony wyszedł do parku, by zaczerpnąć powietrza. Wróciwszy do zakładu, przejrzał się znowu. Z lustra patrzył nań starzec. Kiedy spanikowany wybiegł na ulicę, wpadł na sąsiada, który zapytał go, czy widział może zegarmistrza Blöcklina. Hermann rzucił się do ucieczki.

Tę noc spędził w cuchnącej knajpie w otoczeniu przeróżnej maści mętów i szumowin. Było mu wszystko jedno, gdzie i z kim będzie, byle nie zostać samemu. Czuł, jak z każdą minutą jego skóra pokrywa się dziesiątkami zmarszczek. Miał wrażenie, że kości zaraz mu się rozpadną, a oddech staje się coraz cięższy.

Zbliżała się północ, kiedy jakiś nieznajomy zapytał go, czy może się przysiąść. Blöcklin spojrział nań. Był to elegancki, przystojny, niespełna dwudziestoletni młodzieniec. Nie znał go, chociaż ciemne okulary przysłaniające twarz wydały mu się znajome. Serce skoczyło mu do gardła. Corelli...

Andreas Corelli usiadł naprzeciwko i wyjął zegarek wykonany przez Blöcklina kilka dni temu. Zrozpaczony zegarmistrz zapytał go, czy wie coś o przypadłości, która zaczęła go nękać. Dlaczego starzeje się z sekundy na sekundę? Corelli pokazał zegarek – wskazówki powoli kręciły się w kierunku odwrotnym niż zazwyczaj – i przypomniał mu jego własne słowa o tym, że włożył w tę robotę całą swoją duszę. Z tego też powodu jego ciało i dusza starzeją się z każdą minutą.

Blöcklin zdjęty obłędnym przerażeniem zaczął błagać Corellego o pomoc. Powiedział, że gotów jest zrobić wszystko, oddać cokolwiek w zamian za odzyskanie młodości i własnej duszy. Corelli uśmiechnął się i spytał, czy aby jest tego całkiem pewien. Zegarmistrz nie zawahał się: gotów jest na wszystko.

Corelli odparł wówczas, że odda zegarek, a wraz z nim duszę zegarmistrza, w zamian za coś, czego użyteczność i tak jest mocno wątpliwa: za jego cień. Blöcklin zdumiony zapytał, czy to jedyna cena, jaką ma zapłacić. Corelli przytaknął i Blöcklin przystał na propozycję.

Niedawny klient Blöcklina wyjął wówczas szklany flakonik, odkorkował go i położył na stole. Blöcklin osłupiały patrzył, jak jego cień, porwany jakby przez wir powietrza, zostaje wessany do flakonu. Corelli pożegnał się z Blöcklinem, wstał i odszedł.

Gdy tylko zniknął w mrokach nocy, wskazówki zegarka w rękach Blöcklina zaczęły się kręcić w prawidłowym kierunku.

Kiedy Blöcklin o świcie wrócił do domu, jego twarz była znowu twarzą młodego człowieka. Zegarmistrz odetchnął z ulgą. Niemniej czekała go pewna niespodzianka. Jego kot Salman nie wyszedł mu na spotkanie. Zegarmistrz szukał go po całym domu. Wreszcie go odnalazł. Włosy stanęły mu dęba z przerażenia. Zwierzę wisiało w jego warsztacie powieszony na kablu od lampy. Stół był przewrócony, a narzędzia rozrzucone po podłodze. Jakby trąba powietrzna przeszła przez zakład, niszcząc wszystko, co napotkała na swej drodze. Ale to jeszcze nie

koniec. Ściany były pomazane. Ktoś nabazgrał na nich niezrozumiałe słowo:

Nilkcölb

Zegarmistrz przyjrzał się obrzydliwemu napisowi. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał jego znaczenie. To było jego własne nazwisko, napisane na wspak. Nilkcölb. Blöcklin. Jakiś szepczący głos rozległ się za jego plecami i kiedy Blöcklin odwrócił się, stanął twarzą w twarz z samym sobą, ze swym ciemnym odbiciem, diabolicznym mirażem własnej twarzy.

I wtedy zrozumiał. Miał przed sobą swój własny cień. Prowokacyjnie przyglądający mu się cień. Chciał go złapać, ale cień zaśmiał się jak hiena i czmychnął. Blöcklin zatrwożony zobaczył, jak cień wymyka się z zakładu, trzymając długi nóż, i znika w półmroku.

Tej samej nocy doszło do pierwszego morderstwa na Heinrichstrasse. Wielu świadków potwierdziło w swych zeznaniach, iż widzieli zegarmistrza Blöcklina, jak z zimną krwią zadaje ciosy nożem żołnierzowi, który o świcie miał nieszczęście znaleźć się w zaułku. Policja zaarrestowała podejrzanego i poddała przesłuchaniom. Następnej nocy, podczas gdy Blöcklin nadal przebywał w areszcie, dokonano dwóch kolejnych morderstw. Po mieście rozeszły się plotki o tajemniczym mordercy czyhającym po zmroku w berlińskich zaułkach na swoje ofiary.

Blöcklin usiłował wyjaśnić śledczym, o co w tym wszystkim chodzi, ale nikt go nie słuchał. Dziennikarze snuli przeróżne domysły, postawili nawet hipotezę, że morderca noc w noc wymyka się ze swojej pilnie strzeżonej celi, by dokonać przerażających zbrodni, jakich Berlin do tej pory nie znał.

Strach przed cieniem z Berlina paraliżował miasto przez dwadzieścia pięć dni. Koniec tej przedziwnej sprawy był równie nieoczekiwany i niewytłumaczalny co i jej początek. O świcie dwunastego stycznia tysiąc dziewięćset szesnastego roku cień Hermanna Blöcklina wślizgnął się do ponurego więzienia tajnej policji. Wartownik, który pełnił straż przy celi, zeznał pod przysięgą, iż widział, jak Blöcklin zaczął mocować się z jakimś cieniem i że w pewnym momencie bójki zegarmistrz zadał cieniowi cios nożem. O świcie zmiennik strażnika natrafił w celi na ciało Blöcklina z raną w sercu.

Parę dni później zgłosił się niejaki Andreas Corelli z propozycją opłacenia kosztów pochówku Blöcklina na berlińskim cmentarzu. W ostatniej drodze towarzyszyli zegarmistrzowi jedynie grabarz i ów dziwny osobnik w ciemnych okularach.

Seria morderstw na Heinrichstrasse pozostaje wciąż niewyjaśniona, a policja berlińska dotąd nie zamknęła akt sprawy...

– Jejku – jęknął Dorian, gdy Lazarus skończył swą opowieść. – To się wydarzyło naprawdę?

Fabrykant zabawek uśmiechnął się.

– Nie, ale byłem pewien, że ta historia bardzo przypadnie ci do gustu.

Dorian zatopił wzrok w swojej filiżance. Zrozumiał, że Lazarus specjalnie wymyślił dla niego tę historyjkę, żeby mógł nieco zapomnieć o strachu, którego się najadł za sprawą mechanicznego anioła. Niezły fortel, ale jednak tylko fortel. Lazarus poklepał go pocieszająco po ramieniu.

– Odnoszę wrażenie, że jest już za późno na zabawy w detektywów – stwierdził. – Chodź, odprowadzę cię do domu.

– A nie powie pan nic mojej mamie? – zapytał błagalnym tonem Dorian.

– Nie powiem, ale pod jednym warunkiem: przyrzeknij mi, że nigdy już nie będziesz nocą chodził do lasu, przynajmniej dopóki nie wyjaśni się sprawa Hannah...

Spojrzeni sobie głęboko w oczy.

– Umowa stoi – zgodził się chłopiec.

Lazarus uściskał mu dłoń, jakby właśnie dobili targu, a następnie, z tajemniczym uśmiechem na ustach, podszedł do szafy i wyciągnął drewnianą skrzyneczkę. Wręczył ją Dorianowi.

– Co to jest? – spytał zaintrygowany chłopiec.

– Niespodzianka. Otwórz.

Dorian podniósł wieczko. W świetle lamp zabłysła srebrna figurka wielkości jego dłoni. Dorian spojrzał pytająco na Lazarusa. Fabrykant

zabawek, zamiast wyjaśnić mu, w czym rzecz, powiedział:

– Pozwól, że zademonstruję ci, jak to działa.

Wyjął ze skrzynki figurkę i postawił ją na stole, po czym delikatnie nacisnął. Figurka jakby ożyła. Rozpostarła skrzydła. To był anioł. Podobny do tego, którego Dorian przed chwilą widział, ale w mniejszej skali.

– Takiego małego chyba się nie boisz?

Zachwycony Dorian przytaknął.

– Wobec tego to jest twój anioł stróż. Będzie cię chronić przed cieniami...

Lazarus odprowadził Doriana do Domu na Cyplu, tłumacząc mu po drodze wszelkie tajniki projektowania i konstruowania automatów i innych mechanizmów, których stopień skomplikowania i przemyślność wydały się Dorianowi bliższe sztuce czarnoksiężskiej niż naukom technicznym. Lazarus wiedział wszystko i znał odpowiedzi na najtrudniejsze i najbardziej podchwytliwe pytania. Nie sposób było go zagiąć. Kiedy wychodzili z lasu, Dorian był już całkiem zauroczony swoim nowym przyjacielem.

– Nie zapominaj o naszej umowie – powiedział na pożegnanie Lazarus. – Żadnych nocnych wycieczek.

Dorian przytaknął i skierował się w stronę domu. Fabrykant zabawek nie ruszył się z miejsca, dopóki chłopak nie dotarł do swego pokoju i nie pomachał mu z okna. Lazarus też mu pomachał i zagłębił się

w cieniach lasu.

Dorian położył się do łóżka. Uśmiech nie schodził mu z ust. Wszystkie troski i lęki ulotniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Chłopiec otworzył skrzyneczkę i wyciągnął z niej podarowanego mu przez Lazarusa mechanicznego anioła. Była to arcyprecyzyjna i przedziwnej urody robota. Skomplikowana konstrukcja przywodziła na myśl fascynujące nauki tajemne. Dorian postawił go na podłodze przy łóżku i zgasił światło. Lazarus jest geniuszem. Oto właściwe słowo. Dorian słyszał je setki razy, zawsze zdziwiony, że używa się go w sytuacjach, kiedy obdarzeni tym mianem żadną miarą do niego nie dorastają. A on poznał właśnie prawdziwego geniusza. Co więcej, zaprzyjaźnił się z nim.

Falę entuzjazmu bardzo szybko wyparła narastająca senność. Nagle Dorian ogarnęło zmęczenie. Wyobraził sobie, że zostaje uczniem Lazarusa i dziedzicem jego wiedzy, konstruuje maszynę tropiącą i łowiącą cienie, dzięki czemu uwalnia świat od groźnej organizacji przestępczej.

Dorian już spał, kiedy stojąca na podłodze figurka ni stąd, ni zowąd zaczęła powoli rozpościerać skrzydła. Głowa metalowego anioła przekręciła się na bok, a ręka uniosła się. Jego czarne oczy, dwie obsydianowe łyzy, zabłyśły w ciemnościach.

8. Zagadka

Już trzeci dzień Irène próbowała dowiedzieć się czegokolwiek o Ismaelu, bez skutku. Nikt w miasteczku nie umiał jej pomóc. Chłopak zniknął bez śladu. Zniknęła również jego łódź. Przez wybrzeże Normandii przechodził front burzowy, zaciągając niebo nad zatoką grubą warstwą popielatych chmur, i nie zanosiło się na to, by pogoda przez najbliższe dni miała się poprawić.

Ulice miasteczka zdawały się pogrążone w letargu w ów dżdżysty poranek, gdy Hannah odbyła swoją ostatnią drogę na maleńki cmentarz usytuowany na szczycie wzgórza znajdującego się na północnym wschodzie Błękitnej Zatoki. Kondukt odprowadził ją do cmentarnej bramy. Końcowa część ceremonii pogrzebowej, na życzenie rodziny, odbyła się już tylko w gronie najbliższych zmarłej, podczas gdy mieszkańcy miasteczka rozchodzili się do swych domów, w milczeniu wspominając dziewczynę.

Orszak z wolna rozpraszał się w deszczu, a Lazarus zaproponował, że odwiezie Simone i jej dzieci do Domu na Cyplu. W tym właśnie momencie Irène dostrzegła samotną postać Ismaela na skalistym wierzchołku klifu wznoszącego się tuż przy cmentarzu. Chłopak wpatrywał się w ołowiane morze. Wystarczyła krótka wymiana spojrzeń między Irène a matką. Simone skinęła głową, pozwalając córce odejść. Gdy samochód Lazarusa oddalał się od kapliczki świętego Rolanda,

Irène już wspinała się ścieżką prowadzącą na szczyt klifu.

Na horyzoncie widać było zapowiedź zbliżającej się burzy, która rozcinała niebo białymi ostrzami błyskawic. Podświetlane fioletowym światłem chmury wyglądały jak kłęby dymu po eksplozji. Dziewczyna dotarła do Ismaela siedzącego na skale ze spojrzeniem zagubionym w falach oceanu. W oddali wysepka z latarnią i cypel ginęły we mgle.

* * *

Gdy wrócili do miasteczka, Ismael niepytany opowiedział Irène, co robił przez ostatnie trzy dni. Zaczął swoją opowieść od chwili, kiedy dotarła do niego wiadomość o śmierci Hannah.

Odplłynął na „Kyaneosie” w stronę wysepki z latarnią, usiłując uciec przed rozpaczą, choć i tak nie było od niej ucieczki. Po długiej nocy nastał wreszcie świt, który pozwolił mu uporządkować natłok myśli i skoncentrować się na jednym zadaniu, jedynym światełku w tym mrocznym tunelu: musi odnaleźć sprawcę tragedii i wymierzyć mu sprawiedliwość. Pragnienie zemsty wydawało się jedynym lekarstwem zdolnym ukoić ból.

Dotychczasowe ustalenia żandarmerii nie przekonywały go zupełnie. Nadzwyczajna dyskrecja, z jaką władze lokalne prowadziły śledztwo, wydała mu się co najmniej podejrzana. Następnego dnia rano Ismael postanowił wszcząć dochodzenie na własną rękę. Za wszelką cenę. W tej grze trzeba było zapomnieć o jakichkolwiek zasadach. Tej

samej nocy włamał się do pracowni doktora Giraud. Posługując się własnym sprytem i paroma narzędziami, zdołał pokonać kłódki i łańcuchy broniące mu dostępu.

Irène słuchała, już to z niedowierzaniem, już to z niepomiernym zdziwieniem, jak Ismael dotarł do prosektorium i odczekawszy w oparach formaliny i w widmowym półmroku, aż doktor Giraud pójdzie do domu, odszukał w kartotece doktora teczkę z dokumentami dotyczącymi śmierci Hannah.

Skąd u niego tyle zimnej krwi niezbędnej, by zdobyć się na podobny wyczyn, trudno było stwierdzić, bo na pewno nie dodały mu odwagi leżące na stołach dwa trupy przykryte płótnem. Były to zwłoki dwóch nurków, których ubiegłej nocy porwał zdradliwy prąd w przesmyku La Rochelle, kiedy próbowali wydobyć ładunek rozbitego dawno temu o podwodne skały żaglowca.

Irène, blada jak porcelanowa figurka, wysłuchała mrocznej opowieści od początku do końca, ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami, łącznie z tym, jak Ismael potknął się o stół do sekcji zwłok. Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, kiedy narrator opowieści znalazł się poza murami posepnego budynku. Ismael szybko schronił się w swej łodzi, by tam przez kilka godzin wertować zebrane w teczce dokumenty, usiłując przebić się przez gąszcz słów i medyczny żargon doktora Giraud.

Irène przełknęła ślinę.

– I co jej się stało? – wydusiła z siebie.

Ismael spojrzał Irène prosto w oczy. Dziewczyna dostrzegła w jego oczach dziwny błysk.

– Nie wiedzą, co się stało. Ale wiedzą, dlaczego umarła. Według raportu oficjalnym powodem śmierci jest zatrzymanie akcji serca – zacytował. – Ale w końcowych wnioskach Giraud stwierdza, że w jego mniemaniu Hannah zobaczyła w lesie coś, co wywołało u niej atak paniki.

Panika. Raz i drugi to słowo rozbrzmiało w głowie Irène. Jej przyjaciółka Hannah umarła ze strachu i to coś, czego się przestraszyła, cokolwiek to jest, nadal przebywa w lesie.

– To była niedziela, prawda? – zapytała Irène. – Tego właśnie dnia coś się musiało stać...

Ismael pokiwał głową. Nie było wątpliwości, że chłopak doszedł do tego samego wniosku znacznie wcześniej niż Irène.

– Albo w nocy z soboty na niedzielę – zasugerował.

Irène spojrzała na niego pytająco.

– Hannah spędziła tę noc w Cravenmoore. Następnego dnia ślad po niej zaginął. A potem znaleziono jej zwłoki w lesie – podsumował chłopak.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Byłem w lesie. Są ślady. Połamane gałęzie. Doszło do jakiejś walki. Ktoś ścigał Hannah. Od rezydencji.

– Od Cravenmoore?

Ismael znów przytaknął.

– Musimy się dowiedzieć, co takiego się stało przed jej zniknięciem. Być może to wyjaśni, kto ścigał ją w lesie.

– A jak mamy się tego dowiedzieć? Przecież policja... – zaczęła Irène.

– Jest tylko jeden sposób.

– Cravenmoore – szepnęła Irène.

– Otóż to. Dziś w nocy.

* * *

Zmierzch rozdzierał miedzianymi szczelinami burzowe chmury nadchodzące znad horyzontu. Noc, rozpościerając cienie nad zatoką, pozostawiała jednak na sklepieniu nieba lufcik jasności, dzięki któremu można było podziwiać krąg światła roztaczany przez dopełniający się księżyc. Srebrnawa poświata rysowała wzorzyste odbłaski w pokoju Irène. Dziewczyna na chwilę uniosła wzrok znad pamiątnika Almy Maltisse i spojrzała na ciało niebieskie życzliwie użyczające jej poblasku. Za dwadzieścia cztery godziny będzie pełnia. Trzecia pełnia lata. Noc ulicznej maskarady w Błękitnej Zatoce.

Ale teraz, w tym momencie, księżyc nabrał dla niej innego znaczenia. Niebawem dojdzie do jej sekretnego spotkania z Ismaelem na progu lasu Cravenmoore. Zamiar zapuszczenia się w tę nieprzebytą

gęstwinię wydał jej się teraz pomysłem niezbyt rozsądnym. A właściwie, nazywając rzecz po imieniu, całkowitą głupotą. Z drugiej jednak strony nie mogła przecież zawieść Ismaela, tym bardziej że wsparła nie tak dawno pomysł chłopca, by udać się do rezydencji Lazarusa Janna i tam próbować odnaleźć odpowiedzi, które wyjaśniłyby zagadkę śmierci Hannah. Nie potrafiła jakoś uporządkować swoich myśli, więc wzięła pamiętnik Almy Maltisse i schroniła się w jej wyznaniach.

...Od trzech dni nie mam o nim żadnych wieści. Bez słowa wyjechał o północy, przekonany, że jeśli oddali się ode mnie, cień podąży za nim. Nie chciał mi powiedzieć, dokąd się udaje, ale mam podejrzenia, że znalazł schronienie na wysepce z latarnią. Zawsze tam uciekał w poszukiwaniu spokoju, teraz zaś odnoszę wrażenie, że tym razem wybrał to miejsce jak przerażone dziecko, które ma stawić czoło swemu koszmarowi. Jego nieobecność zmusiła mnie jednak do podania w wątpliwość wszystkich moich dotychczasowych przekonań. Przez te trzy dni cień się nie pojawił. Nie ruszyłam się z sypialni, otoczona światłami, świecami i lampkami oliwnymi. W całym domu było jasno, światło docierało do każdego, nawet najmniej dostępnego zakamarka. Trudno było mi zasnąć.

Gdy późną nocą piszę te słowa, mogę, mimo lekkiej mgły, dostrzec przez okno wysepkę z latarnią. Pośród skał migoce światełko. Wiem, że to on, odosobniony w więzieniu, na które sam się skazał. Nie mogę tu zostać. Ani godziny dłużej. Temu koszmarowi musimy przeciwstawić się

razem i tylko razem. A jeśli w tej walce przyjdzie zginąć, to też powinniśmy zginąć razem.

Mało mnie obchodzi, czy ten obłąd będzie trwał jeden dzień więcej, czy jeden dzień mniej. Jestem przekonana, że cień nie da nam spokoju. Jeszcze jeden taki tydzień jak ten ostatni byłby ponad moje siły. Moje sumienie jest czyste, a moja dusza pogodzona sama z sobą. Strach, który odczuwałam wcześniej, ustąpił teraz miejsca zmęczeniu i brakowi nadziei.

Jutro, podczas gdy całe miasteczko bawić się będzie na rynku na balu maskowym, poszukam w porcie jakiejś łódki i popłynę do niego. Nie obchodzą mnie konsekwencje. Gotowa jestem je ponieść. Wystarczy mi, że będę u jego boku, że będę mogła służyć mu pomocą, do samego końca.

Coś mi podpowiada, że być może mamy jeszcze jakąś szansę, by znowu zacząć żyć normalnie, szczęśliwie, spokojnie. Niczego więcej nie pragnę...

Odgłos rzuconego o szybę kamyczka wyrwał Irène z lektury. Zamknęła pamiętnik i wyjrzała przez okno. Ismael czekał na nią przy drodze do lasu. Gdy wkładała gruby wełniany sweter, księżyc powoli chował się za chmury.

* * *

Irène bacznie przyjrzała się matce ze szczytu schodów. Simone, nie pierwszy zresztą raz, zapadła w sen, siedząc w swym ulubionym fotelu,

przy oknie wychodzącym na zatokę. Na podołku sukni leżała książka, a okulary do czytania zsunęły się z nosa Simone i zwisały na łańcuszku niczym przewrócone na górcie saneczki. W kącie drewniane radio z rzeźbionymi motywami secesyjnymi szeptało kolejny odcinek mrożącego krew w żyłach serialu kryminalnego. Mając nadzieję, że szmer radia przytłumi jej kroki, Irène przemknęła na paluszkach przed matką i weszła do kuchni, z której można było wyjść do ogrodu na tyłach. Cała operacja trwała nie dłużej niż piętnaście sekund.

Ismael czekał na nią, ubrany w skórzaną kurtkę, robocze spodnie i buty, które wyglądały tak, jakby przeszedł w nich do Stambułu i z powrotem, i to nie jeden raz. Nocna bryza nawiewała zimną mgłę nad zatokę, rozwieszając nad lasem mleczone girlandy.

Irène zapięła sweter aż pod samą szyję i w odpowiedzi na pytające spojrzenie chłopca przytaknęła tylko w milczeniu. Nie zamieniwszy ani słowa, weszli na ścieżkę prowadzącą w głąb lasu. W ciemnościach rozbrzmiewały niepokojące, tajemnicze dźwięki. Gałęzie poruszane wiatrem zagłuszały ryk fal rozbijających się o klif. Irène szła z Ismaelem przez ciemną gęstwinę. Zza zwałów pędzących po niebie chmur od czasu do czasu wyglądał księżyc, spowijając drzewa upiornym, pulsującym poblaskiem. W połowie drogi Irène wzięła Ismaela za rękę i nie wypuszczała jej aż do chwili, gdy wyrosła przed nimi masywna bryła Cravenmoore.

Na znak chłopca zatrzymali się za pniem drzewa śmiertelnie

ranionego piorunem. Na kilka sekund księżyc rozdarł gęstą kurtynę aksamitnych chmur. Jego promienie padły na elewację Cravenmoore, wydobywając z ciemności reliefy i wieżyczki rezydencji przypominającej chimeryczną, złowrogą katedrę zagubioną w sercu zaklętego lasu. Potem ulotna wizja zgasła i trójkąt złocistego światła rozlał się u stóp budowli. W głównych drzwiach ukazała się postać Lazarusa Janna. Fabrykant zamknął za sobą drzwi, zszedł po schodach i skierował swe kroki na ścieżkę biegnącą skrajem lasu.

– To Lazarus. Wychodzi na swoją conocną przechadzkę – wymamrotała Irène.

Ismael przytaknął bez słowa i przytrzymał dziewczynę, nie spuszczać z oka fabrykanta zabawek, który szedł teraz w stronę lasu, prosto na nich. Irène spojrzała pytająco na Ismaela. Chłopak westchnął i nerwowo rozejrzał się wokół. Kroki Lazarusa rozbrzmiewały coraz bliżej. Ismael chwycił Irène za ramię i popchnął ją w stronę pnia martwego drzewa.

– Do środka. Szybko – wyszeptał.

We wnętrzu pnia unosił się ciężki zapach wilgoci i zmurszałego drewna. Z zewnątrz, przez niewielkie otwory na całej długości martwego pnia, sączyło się mdłe światło, rysując coś na kształt świetlnej drabiny wspinającej się aż pod sklepienie tej niby-pieczary. Irène spojrzała w górę. Ciarki przeszły jej po plecach. Dwa metry nad sobą ujrzała rząd lśniących punkcików. Oczy. Z jej gardła wyrwał się niemy krzyk –

Ismael zdążył zasłonić jej usta dłonią. Chłopak trzymał ją mocno, nie pozwalając jej wyswobodzić się z uścisku.

– To tylko nietoperze, na litość boską. Siedź spokojnie – szepnął jej do ucha.

Kroki Lazarusza okrążyły pień i skierowały się w gęstwinę.

Ismael nie zdjął ręki z ust Irène, dopóki kroki fabrykanta zabawek nie umilkły zupełnie. Niewidzialne skrzydła nietoperzy poruszyły się w ciemności. Irène poczuła na twarzy zimny powiew i kwaśny odór zwierząt.

– A myślałem, że nie boisz się nietoperzy – powiedział Ismael. – No dobra, idziemy.

Irène poszła za nim przez ogród Cravenmoore. Obeszli rezydencję, chcąc dostać się do niej od tyłu. Irène cały czas powtarzała sobie, że nikogo nie ma w domu. Nikt nie może ich obserwować, to tylko złudzenie.

Dotarli do skrzydła sąsiadującego z dawną fabryką zabawek i stanęli przed drzwiami, które, jak im się wydawało, prowadziły do warsztatu albo sali montażowej. Ismael wyjął z kieszeni scyzoryk i otworzył go. Ostrze zabłysło w ciemności. Chłopiec wpierw delikatnie dotknął zamka palcami, a później wsunął końcówkę ostrza.

– Odsuń się trochę. Potrzebuję więcej światła.

Irène cofnęła się kilka kroków. Spróbowała przebić wzrokiem panujące w fabryce zabawek ciemności. Szyby zdawały się przydymione

wieloletnim opuszczeniem i nie sposób było dostrzec, co kryje się za nimi.

– No dalej, dalej – mamrotał pod nosem Ismael, mocując się z zamkiem.

Irène spojrzała na niego, starając się nie zwracać uwagi na wewnętrzny głos, który mówił jej, że włamywanie się na teren cudzej posiadłości nie jest najlepszym pomysłem. W końcu zamek ustąpił z cichutkim trzaskiem. Uśmiech rozjaśnił twarz Ismaela. Drzwi uchylły się na kilka centymetrów.

– Bułka z masłem. – Ismael popchnął drzwi.

– Musimy się pospieszyć – powiedziała Irène. – Lazarus pewnie niedługo wróci.

Ismael wszedł do środka. Irène westchnęła głęboko i poszła za nim. W bladym świetle wpadającym do wnętrza wznosiły się, niczym białe opary, gęste tumany kurzu. Pomieszczenie przesycone było ostrym chemicznym zapachem. Kiedy Ismael zamknął drzwi za swoimi plecami, oboje znaleźli się w świecie nieprzeniknionych, tajemniczych cieni. Dawna fabryka zabawek Lazarusza Janna wydawała się spać wiecznym snem.

– Nic nie widzę – szepnęła Irène, z całych sił powstrzymując się, by nie rzucić się do natychmiastowej ucieczki.

– Musimy poczekać, aż nasze oczy przyzwyczają się do ciemności. To potrwa tylko chwilę – powiedział Ismael zupełnie bez przekonania.

Jednak chwila minęła i wbrew zapewnieniom Ismaela nic się nie zmieniło. Zastłona czerni przysłaniająca fabrykę Lazarusa wcale się nie rozproszyła. Irène usiłowała odgadnąć, w którą stronę powinni się skierować, kiedy zauważyła nieruchomą, majestatyczną postać stojącą zaledwie kilka metrów przed nimi.

Serce podskoczyło jej do gardła.

– Ismaelu, ktoś tu jest... – wyjąkała, z całej siły wczepiając się w ramię chłopca.

Ismael spróbował przeniknąć wzrokiem półmrok i przełknął ślinę. W powietrzu unosiła się postać z rozwartymi ramionami. Sylwetka kołysała się powoli, jak wahadło, a na plecy spływały jej długie włosy. Chłopak sięgnął drżącymi palcami do kieszeni kurtki i wyjął pudełko zapalek. Unosząca się postać nie wykonywała żadnego ruchu jak żywy posąg gotów skoczyć na nich, gdy tylko pojawi się płomyk.

Ismael potarł zapalną o draskę. Wybuch płomienia oślepił ich na chwilę. Irène złapała Ismaela za ramię.

W chwilę później to, co ukazało się jej oczom, ścięło jej krew w żyłach. Poczula, że mięśnie odmawiają jej posłuszeństwa. Przed nią kołysało się w migotliwym płomyku zapalniczki ciało jej matki, Simone, zwisając z rozpostartymi ramionami z sufitu.

– Mój Boże...

Postać zaczęła obracać się powoli wokół własnej osi, ukazując po chwili swą drugą stronę. W nikłym świetle błysnęły kable i trybiki.

Twarz podzielona była na dwie połówki. Tylko jedna z nich była dokończona.

– To po prostu maszyna, najzwyczajniejsza w świecie maszyna – odezwał się Ismael, usiłując uspokoić Irène.

Irène odważyła się spojrzeć na makabryczną podobiznę Simone. To były jej rysy. Jej włosy, ten sam kolor oczu. Najdrobniejszy szczegół jej skóry, każdy rys jej twarzy zostały odtworzone w masce pozbawionej wyrazu i przyprawiającej o dreszcze.

– Co się tutaj dzieje? – ledwie wykrztusiła.

Ismael wskazał na coś, co wyglądało jak drzwi wejściowe w głębi warsztatu.

– Chodźmy tamtędy – wskazał, odciągając Irène od tego miejsca i posępnej postaci wiszącej w powietrzu.

Oszołomiona dziewczyna ruszyła za nim, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z tego, co przed chwilą widziała.

Płomyk trzymanej przez Ismaela zapalki zgasł chwilę później i ponownie oboje znaleźli się w całkowitej ciemności.

Gdy tylko dotarli do drzwi prowadzących do wnętrza Cravenmoore, kobierzec cieni, który wcześniej rozpostarł się u ich stóp, zwinął się po ich przejściu jak płatki czarnego kwiatu i nabierając masy, zaczął przesuwać się po ścianach. Cień skierował się ku stołom warsztatu. Jego czarny ślad padł na białe płótno osłaniające postać owego mechanicznego anioła, którego Lazarus pokazał poprzedniej nocy

Dorianowi. Powoli cień wcisnął się pod materiał, po czym jego masa jak para przedostała się poprzez spojenia do metalowej konstrukcji.

Zniknął wewnątrz metalowego anioła. Niebawem warstwa szronu zaczęła rozprzestrzeniać się i pokrywać ciało maszyny, tworząc lodową pajęczynę. Po chwili oczy anioła otworzyły się ostrożnie. W ciemności błysły dwa żarzące się rubiny.

Olbrzymia postać powoli usiadła i rozpostarła swoje skrzydła. Następnie stanęła na ziemi wpierw jedną nogą, potem drugą. Pazury porysowały drewniany blat stołu. W sieć niebieskawego światła unoszącego się w powietrzu wpadła spirala dymku po zapalce rzuconej przez Ismaela na podłogę. Anioł postawił pierwsze kroki i poczuwszy się pewnie, zniknął w mroku, podążając śladem Ismaela i Irène.

9. Nocne metamorfozy

Daleki odgłos uporczywego stukania wyrwał Simone ze świata wirujących w tańcu akwarel i księżyców stapiających się w monety z płynnego srebra. Po chwili ciszy stukot rozległ się znowu, tym razem całkowicie wybijając Simone ze snu i uświadamiając jej, że raz jeszcze sen okazał się jednak silniejszy i od niej, i od usilnej chęci dotarcia do końca rozdziału przed północą. Gdy sięgała po swoje okulary do czytania, znowu usłyszała ów natarczywy dźwięk, ale tym razem zdołała go rozpoznać i zlokalizować. Ktoś delikatnie pukał kostkami palców w okno wychodzące na ganek. Simone wstała i poznała uśmiechającą się zza szyby twarz Lazarusza. Poczowała, jak nagle jej policzki się czerwieniły. Podchodząc do drzwi, rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze wiszącym w przedpokoju. Zgroza.

– Dobry wieczór, madame Sauvelle. Może przyszedłem nie w porę... – odezwał się Lazarus.

– Żadną miarą. Ja... Szczerze mówiąc, czytałam książkę i wstyd się przyznać, ale zasnęłam.

– To oznacza, że powinna pani natychmiast wziąć się do czytania innej książki – skwitował Lazarus.

– Też tak sędzę. Ale proszę wejść.

– Nie chciałbym przeszkadzać.

– Proszę nie mówić głupstw. Zapraszam do środka.

Lazarus skinął grzecznie głową i wszedł do domu. Szybko omiół oczami pomieszczenie.

– Nigdy Dom na Cyplu nie wyglądał lepiej – stwierdził. – Gratuluję.

– To zasługa Irène. To ona jest naszą dekoratorką. Podać herbaty? Może kawy?

– Myślę, że herbata byłaby w sam raz, ale...

– Żadnego ale. Ja też z przyjemnością się napiję.

Ich spojrzenia zetknęły się przez ułamek sekundy. Lazarus ciepło się uśmiechnął. Simone, speszona nagle, uciekła wzrokiem w bok i skupiła się na zaparzeniu herbaty.

– Pewnie zastanawia się pani nad powodem mojej wizyty – zaczął fabrykant zabawek.

Nie inaczej, odparła w myślach Simone.

– No cóż, co wieczór przechadzam się po lesie, nierzadko dochodząc do skał nadmorskich. Te spacerki pomagają mi się zrelaksować – dobiegł do niej głos Lazarusa.

Między nimi zapadła chwila ciszy, zmaconej jedynie dźwiękiem wody nalewanej do imbryczka.

– Czy słyszała pani o dorocznym balu maskowym w Błękitnej Zatoce, madame Sauvelle?

– W ostatnią pełnię sierpnia... – przypomniała sobie madame Sauvelle.

– Otóż to. Zastanawiałem się... Proszę przyjąć do wiadomości, że moja propozycja do niczego pani nie zobowiązuje, w przeciwnym razie nie odważyłbym się, to znaczy, nie wiem, czy wyrażam się...

Lazarus sprawiał wrażenie stremowanego uczniaka. Ona uśmiechnęła się życzliwie.

– Zastanawiałem się, czy byłaby pani tak miła i raczyła przyjąć zaproszenie do towarzyszenia mi na tegorocznym balu – wyrzucił w końcu z siebie.

Twarz Simone spoważniała. Uśmiech Lazarusa prysł w mgnieniu oka.

– Przepraszam. Nie powinienem był występować z taką propozycją. Proszę mi wybaczyć moją śmiałość...

– Z cukrem czy bez cukru? – ucięła Simone bez cienia oschłości.

– Proszę?

– Herbatę. Z cukrem czy bez?

– Dwie łyżeczki proszę.

Simone kiwnęła głową i powoli wsypała do jego filiżanki dwie łyżeczki, po czym podała Lazarusowi herbatę i uśmiechnęła się doń.

– Może uraziłem panią...

– Nie, skądże. Po prostu nie jestem przyzwyczajona, by zapraszano mnie na tańce. Ale z wielką przyjemnością będę panu towarzyszyć – odpowiedziała Simone zaskoczona podjętą przez siebie decyzją.

Twarz Lazarusa rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. Przez

chwile Simone poczuła się, jakby ubyłoby jej trzydzieści lat, choć zaraz naszły ją wątpliwości, czy aby takie wrażenie nie jest tyleż miłe, co śmieszne. Zdała sobie sprawę, że ogarnia ją niebezpieczne oszołomienie, silniejsze od wstydu, powściągliwości i wyrzutów sumienia. Zapomniała już, jak pokrępowująco działa świadomość, że ktoś zwraca na nią uwagę.

Dziesięć minut później oboje kontynuowali rozmowę, ale już na ganku Domu na Cyplu. Morska bryza kołysała wiszącymi lampkami naftowymi. Lazarus, siedząc na drewnianej poręczy, spoglądał na falujące korony leśnych drzew i czarne szemrzące morze.

Simone patrzyła na twarz fabrykanta zabawek.

– Bardzo się cieszę, że dom przypadł państwu do gustu – powiedział Lazarus. – Czy dzieci przystosowały się jakoś do życia w Błękitnej Zatoce?

– Nie mam powodów, żeby się skarżyć. Wprost przeciwnie. Irène nawet znalazła sobie absztyfikanta w miasteczku. Ismael. Zna go pan?

– Ismael... tak, oczywiście. Mówią, że to porządny chłopak – odparł Lazarus z pewną rezerwą.

– Taką mam nadzieję. Aczkolwiek wciąż czekam, aż córka mi go przedstawi.

– Dzieciaki takie są. Proszę postawić się w ich sytuacji... – jakby usprawiedliwiająco mówił Lazarus.

– Chyba popełniam ten sam błąd co wszystkie matki: ośmieszam się, zachowując się nadopiekuńczo wobec mojej nieomal piętnastoletniej

już córki.

– No cóż, to całkiem naturalne.

– Nie sądzę, by podzielała tę opinię.

Lazarus uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

– Wie pan coś o tym chłopcu? – zapytała Simone.

– O Ismaelu?... Prawdę mówiąc, niewiele... – zaczął. – Wiem, że jest dobrym żeglarzem. Zdaje się, że ma opinię chłopca skrytego i właściwie odludka, unikającego kontaktów z ludźmi. Ale proszę wziąć poprawkę na to, że ja żyję nieco na marginesie lokalnej społeczności... Niemniej uważam, że nie ma pani najmniejszych powodów do niepokoju.

* * *

Echo głosów wspinało się do okna sypialni niczym kapryśna spirala dymu z niedbale zgaszonego papierosa; nie sposób było je ignorować. Szum morza nie zagłuszał do końca słów Lazarusa i Simone rozmawiających na ganku, chociaż Dorian w gruncie rzeczy wolałby, by rozmowa ta nigdy nie dotarła do jego uszu. W każdym zdaniu, w każdej zmianie intonacji było coś, co go niepokoiło. Coś, z czego nie do końca zdawał sobie sprawę i czego nie potrafiłby nazwać, jakaś niewidzialna obecność, która zdawała się przesycać tę konwersację od samego początku.

Być może chodziło tylko o to, że słyszał, jak jego matka gawędzi z

wyraźną przyjemnością z innym mężczyzną, chociaż mężczyzną tym był Lazarus, którego Dorian uważał przecież za przyjaciela. Może przeszkadzała mu zażyłość, z jaką oboje wydawali się rozmawiać. A może, pomyślał w końcu Dorian, chodziło o zwykłą zazdrość i nedorzeczne przekonanie, że jego matka nie powinna już nigdy w życiu czerpać przyjemności z przebywania z innym mężczyzną. Przekonanie skrajnie egoistyczne. Egoistyczne i niesprawiedliwe. W końcu Simone była nie tylko jego matką, była też kobietą z krwi i kości i oprócz towarzystwa swoich dzieci potrzebowała przyjaciół. Czytał o tym w książkach. Dorian jeszcze raz powtórzył całe rozumowanie od początku. W teorii wszystko się zgadzało. W praktyce – już nie bardzo.

Nieśmiało, nie zapalając w pokoju światła, Dorian podszedł do okna i ukradkiem wyjrzał na ganek. „Egoista i w dodatku szpieg”, przebiegło mu przez myśl. Znalazł się teraz w nader dogodnym miejscu do szpiegowania. Ujrzał cień swojej matki na podłodze ganku. Zobaczył też Lazarusa, który stał, wpatrując się w czarne, nieprzeniknione morze. Dorian przełknął ślinę. Podmuch wiatru poruszył zasłonami, za którymi skrył się chłopiec; Dorian instynktownie cofnął się kilka kroków. Głos jego matki wypowiedział jakieś niezrozumiałe słowa. „Nie powinienem wtykać nosa w nie swoje sprawy”, pomyślał zawstydzony.

Już miał odejść bezszelestnie od okna, kiedy dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Odwrócił się natychmiast w tym kierunku, czując, jak włosy jeżą mu się na głowie. Pokój pograżony był w ciemnościach tu i ówdzie

porozcinanych snopami błękitnego światła sączącego się przez falujące zasłony. Powoli namacał nocny stolik, chcąc zapalić lampkę. Drewno było zimne. Jego palce przez kilka sekund nie mogły znaleźć włącznika. Kiedy wreszcie na niego natrafił, natychmiast go nacisnął. Metalowy drucik żarówki rozbłysł przez chwilę wątlym światłem, po czym zgasł z przeciągłym westchnieniem. Mglisty odbłysek oślepił go na chwilę. Potem ciemność zgęstniała jakby jeszcze bardziej, zmieniając się w otchłań czarnej wody.

„Żarówka się przepaliła – pomyślał. – To nic niezwykłego. Metal, z którego wykonany jest żarnik, wolfram, ma ograniczony czas pracy. Uczyłem się o tym w szkole”.

Ale wszystkie te uspokajające argumenty rozwiały się jak dym, gdy Dorian znów zauważył to poruszenie pośród ciemności. Zdało mu się, że cienie nagle ożyły.

Zrobiło mu się zimno. Przed nim stał jakiś ciemny kształt, który wyraźnie się poruszał. Czarna nieprzejrzysta postać zatrzymała się na środku pokoju. „Obserwuje mnie”, powiedział Dorianowi jakiś wewnętrzny głos. Potem cień znów zaczął iść ku niemu i Dorian przekonał się, że to nie podłoga się trzęsie, tylko jego kolana. Paraliżował go strach na myśl o tym, że ta czarna zjawa, krok po kroku, podchodzi coraz bliżej.

Dorian cofał się, dopóki nie stanął w kręgu bladego światła przedzierającego się przez zasłony. Zjawa nie ośmieliła się go

przekroczyć. Chłopak czuł, że zaraz zacznie zgrzytać zębami, więc z całej siły zacisnął szczęki i oparł się pokusie, by zamknąć oczy. Nagle w sypialni rozległ się jakiś głos. Dorian ze zdumieniem stwierdził, że to on sam przemówił. W dodatku pewnym tonem, bez krzty lęku.

– Wynoś się stąd! – wymamrotał Dorian w kierunku ciemności. – Wynocho, powiedziałem!

W odpowiedzi usłyszał straszliwy dźwięk, który wydawał się echem dalekiego śmiechu, okrutnego i do szpiku kości złego. W tej samej chwili rysy twarzy cienia ukazały się na moment w mroku niczym miraż nad obsydianową tonią. Czarne jak smoła. Demoniczne.

– Wynoś się stąd! – powtórzył Dorian.

Czarna chmura rozwiała się na jego oczach i cień niczym rozżarzony ogon komety przeleciał przez cały pokój ku drzwiom, by tam przeistoczyć się w fantasmagoryczną spiralę, która wkręciła się w dziurkę od klucza. Mroczne tornado niesione przez niewidzialną siłę.

Dopiero wtedy druciki żarówki ponownie rozżarzyły się i tym razem ciepłe światło zalało pokój. Oślepiiony nagłym rozbłyskiem Dorian chciał wrzasnąć, ale krzyk przerażenia uwiązł mu w gardle. Najszybciej, jak mógł, rozejrzał się dokładnie po całym pokoju. Po zjawie, którą widział lub zdawało mu się, że widział parę sekund wcześniej, nie było najmniejszego śladu.

Dorian zaczerpnął powietrza i ruszył ku drzwiom. Położył dłoń na klamce. Była zimna jak lód. Zebrawszy resztki odwagi, otworzył drzwi i

rozejrzał się po korytarzu. Pusto.

Cofnął się i ostrożnie zamknął drzwi. Podszedł do okna. Na dole, w ganku, Lazarus żegnał się z jego matką. Fabrykant zabawek nachylił się i pocałował Simone w policzek. Pocałunek był krótki, muśnięcie właściwie. Dorian poczuł, jak żołądek kurczy mu się do rozmiarów groszku. Chwilę później mężczyzna podniósł w ciemnościach wzrok i uśmiechnął się do Dorigana. Serce skoczyło chłopcu do gardła.

Fabrykant zabawek powoli oddalał się w stronę lasu osrebrzonego światłem księżyca. I choć Dorian usilnie wyteżał wzrok, nie udało mu się dostrzec choćby śladu cienia Lazarusza. Chwilę później mężczyzna zniknął w ciemnościach.

* * *

Pokonawszy długi korytarz łączący fabrykę zabawek z domem fabrykanta, Ismael i Irène znaleźli się w samym środku rezydencji Cravenmoore. Nocą pałac Lazarusza sprawiał wrażenie mrocznego labiryntu, którego korytarze zaludnione dziesiątkami mechanicznych istot rozgałęziały się niczym macki falujące we wszystkich kierunkach. Z latarni wieńczącej spiralne schody w centrum budynku padało światło podobne do mżawki purpurowych, złocistych i niebieskich refleksów, które spływały ku wnętrzu Cravenmoore jak odpryski kalejdoskopu.

Pogrążone w letargu sylwetki automatów, zastygłe twarze na tle murów nasuwały Irène myśl o magicznym zaklęciu, które, rzucone na

wszystkich mieszkańców pałacu, uwięziło ich w zaczarowanym śnie. Bardziej przyziemny Ismael dostrzegał w nich jedynie wytwory pogmatwanego niespokojnego umysłu, który powołał je do życia. Ale wcale go to nie uspokajało, wręcz przeciwnie, w miarę jak zagłębiali się w zakazaną część rezydencji Lazarusa Janna, coraz wyraźniej odczuwali jego niewidzialną obecność. Osobowość fabrykanta zabawek odcisnęła swoje piętno w każdym szczególe tej barokowej konstrukcji: od sklepienia ozdobionego freskami przedstawiającymi scenki słynnych baśni po mozaikę na podłodze: bezkresną szachownicę tworzącą hipnotyczną sieć i zwodzącą wzrok szalonym efektem optycznym. Przemierzanie pomieszczeń Cravenmoore podobne było zagłębianiu się w fascynujący i zarazem straszny sen.

Ismael zatrzymał się u podnóża schodów i przyglądając się badawczo każdemu niemal stopniowi, wspiał się wzrokiem po spirali ginącej pod sklepieniem. W tym czasie Irène zauważyła, że jeden ze skonstruowanych przez Lazarusa zegarów, obdarzony twarzą w kształcie słońca, otwiera oczy i uśmiecha się do nich. W chwili gdy wskazówki zetknęły się na godzinie dwunastej, słoneczny cyferblat ustąpił miejsca tarczy księżyca promieniującej widmowym światłem. Zegar toczył ciemnymi, lśniącymi oczyma z lewa na prawo i z prawa na lewo.

– Idziemy na górę – szepnął Ismael. – Sypialnia Hannah jest na drugim piętrze.

– Ty wiesz, ile tu jest pokoi? Dziesiątki! Skąd możemy wiedzieć,

który z nich zajmowała?

– Hannah opowiadała mi, że jej sypialnia znajdowała się na końcu korytarza i wychodziła na zatokę.

Irène przytaknęła, choć nie do końca była pewna, czy te informacje im wystarczą. Chłopak zdawał się równie przytłoczony atmosferą miejsca jak ona, chociaż nie przyznałby się do tego nawet na mękach. Raz jeszcze spojrzeli na zegar.

– Już północ – powiedziała Irène. – Lazarus chyba zaraz wróci.

– No to w drogę.

Schody wspinały się wymyślną spiralą zdającą się zaprzeczać prawu ciężenia, jakby to były nie schody, ale katedralne łuki spotykające się na sklepieniu. Wbiegając szybko po stopniach, dotarli na pierwsze piętro. Ismael chwycił Irène za rękę i pociągnął ją za sobą. Im wyżej szli, tym bardziej ściany zdawały się zawężać wokół nich, wywierając wrażenie, że oboje wchodzi w gardziel kamiennego potwora, co jeszcze potęgowało odczuwaną przez nich klaustrofobię.

– Jesteśmy już blisko – powiedział chłopak, nieomylnie odczytując pełne przerażenia milczenie Irène.

Po trzydziestu sekundach, które dłużyły im się w nieskończoność, dotarli do drzwi prowadzących na drugie piętro rezydencji i wydostali się wreszcie z przytłaczającej klatki schodowej. Przed nimi rozciągał się główny korytarz wschodniego skrzydła. Horda znieruchomiłych postaci czaiła się w cieniu.

– Powinniśmy się rozdzielić – odezwał się Ismael.
– Wiedziałam, że to zaproponujesz.
– Ale pozwolę ci wybrać, którą część chcesz zbadać – spróbował zażartować Ismael.

Irène się rozejrzała. Spojrzała najpierw na wschód – na trzy zakapturzone postacie nachylające się nad ogromnym kotłem. Czarownice. Dziewczyna wskazała w przeciwnym kierunku.

– Idę tam.
– To tylko maszyny, Irène – próbował ją uspokoić Ismael. Zwykłe zabawki. Nie ma w nich życia.
– Rano może będę skłonna w to uwierzyć.
– Dobrze, ja pójdę w tamtą stronę. Spotykamy się tutaj za piętnaście minut. Jeśli niczego nie uda nam się znaleźć, trudno. Pójdziemy sobie stąd – zapewnił. – Obiecuję.

Dziewczyna pokiwała głową. Ismael wręczył jej pudełko zapalek.
– Mogą ci się przydać.
Irène schowała je w kieszeni swetra i spojrzała jeszcze raz na Ismaela, który pocałował ją delikatnie w usta.

– Powodzenia – wyszeptał.
Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, chłopak oddalił się w głąb korytarza tonącego w ciemnościach. „Powodzenia”, pomyślała Irène.
Słyszała oddalające się za jej plecami odgłosy kroków. Nabrała powietrza i ruszyła w przeciwną stronę korytarzem przecinającym

centralną oś rezydencji, który rozgałęział się przy głównych schodach. Irène lekliwie spojrzała w otchłań dolnych pięter. Padający z latarni umieszczonej na samym szczycie snop światła rozszczepiał się, tworząc tęczę osuwającą się w ciemności.

Z miejsca, w którym stała Irène, jedna odnoga korytarza biegła na południe, druga na zachód. Okna części zachodniej były jedynymi, które wychodziły na zatokę. Dziewczyna bez chwili wahania skierowała się w tę stronę, zostawiając za sobą dodającą otuchy jasność latarni. Dość szybko dostrzegła przecinającą korytarz niemal przezroczystą, jakby zrobioną z gazy zasłonkę, która ewidentnie oddzielała zupełnie odmienne od reszty pałacu pomieszczenie. Nigdzie nie było widać jakiegokolwiek mechanicznej postaci. Na samej górze zasłonki widniał ozdobny haft, jakby iluminacja litery A.

Irène delikatnie odciągnęła zasłonkę i przekroczyła tę dziwną granicę, która zdawała się rozdzielać zachodnie skrzydło. Zimny powiew musnął jej twarz. Dziewczyna dostrzegła, że ściany są gęsto pokryte przeróżnymi drzeworytami. Przyjrząwszy się dokładnie, zauważyła również troje drzwi. Dwoje po bokach i trzecie, największe z nich, na końcu korytarza. Na tych ostatnich widniała ta sama litera co na zasłonce.

Irène ostrożnie skierowała się ku drzwiom w głębi. Na osaczających ją z obu ścian reliefach widniały niezrozumiałe sceny z dziwnymi istotami. Każda z tych scen łączyła się z następną, co tworzyło

ocean jakichś hieroglifów, których znaczenie całkowicie jej umykało. Irène, dochodząc do drzwi na końcu korytarza, z każdym krokiem nabierała pewności, że Hannah nie mogła zajmować pokoju w tej części domostwa. Dziwny urok tego miejsca był jednak silniejszy od ponurej atmosfery zakazanego sanktuarium, jaką się tu oddychało. W powietrzu dało się wyczuć czyjąś bliską, namacalną nieomal obecność.

Irène poczuła, jak jej puls przyspiesza, gdy kładła drżącą dłoń na klamce. Coś ją zatrzymało. Przeczucie. Miała jeszcze czas, by się cofnąć, dołączyć do Ismaela i uciec z tego domu, zanim Lazarus odkryje ich najście. Gałka klamki wpierw ślizgała się w palcach, ale wreszcie delikatnie się obróciła. Irène zamknęła oczy. Nie powinna tam wchodzić. Wystarczy się cofnąć i zawrócić. Nie powinna ulegać tej irrealnej atmosferze, tej atmosferze ze snu, podszeptującej jej, by pchnęła drzwi i przekroczyła próg, nieodwracalnie. Dziewczyna otworzyła oczy.

Droga do powrotu przez półmrok korytarza stała otworem. Irène obejrzała się i westchnęła. Jej wzrok zatrzymał się na chwilę na refleksach barwiących zasłonkę. W tym samym momencie za mgiełką zasłonki wyrósł zarys ciemnej sylwetki.

– Ismael? – szepnęła Irène.

Sylwetka stała przez chwilę bez ruchu, po czym bezgłośnie ponownie odsunęła się w cień.

– To ty, Ismaelu? – znowu spytała Irène.

Trucizna paniki zaczęła powoli przenikać do jej żył. Nie

odwracając wzroku od zasłonki, pchnęła gałkę klamki, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. W pierwszej chwili szafirowe światło wpadające przez ogromne, wysokie i wąskie okna oślepiło ją. Podczas gdy jej źrenice przyzwyczajały się do zwiewnej jasności pomieszczenia, Irène spróbowała, mimo drżących palców, zapalić jedną z zapalek, które dał jej Ismael. Miedziany płomyczek pomógł jej ujrzeć pałacowy salon, którego rozmiary i przepych wyglądały jak przeniesione prosto ze stronic baśni.

Sufit zwieńczony labiryntem kasetonów wirował zawrotnie nad środkiem salonu. W kącie okazały baldachim ułożony ze spływających długich złotawych welonów osłaniał łoże. W środku pomieszczenia marmurowy stół podtrzymywał ogromną szachownicę z ustawionymi na niej bierkami ze szkła. W przeciwległym krańcu pokoju Irène odkryła jeszcze jedno źródło światła współtworzące panującą tu tęczową atmosferę: gardziel kominka, w którym płonęły grube pnie. Nad kominkiem wisiał ogromny portret. Z bladego oblicza, obdarzonego niespotykane delikatnymi rysami, spoglądały głębokie i smutne oczy kobiety o urzekającej urodzie. Dama na portrecie spowita była w długie białe szaty. Za nią dało się dojrzeć wysepkę z latarnią.

Irène podeszła powoli do kominka, osłaniając dłonią płomień zapalki. Ledwie stanęła pod portretem, gdy zapalka zaczęła parzyć ją w palce. Dmuchając na palce, dziewczyna dostrzegła stojący na biurku świecznik. Właściwie nie był jej potrzebny, ale mimo wszystko zapaliła

świecę kolejną zapalką. Ponownie znalazła się w kręgu roztaczanej przez płomyk jasności, w której dostrzegła leżącą na biurku otwartą książkę.

Oczy Irène rozpoznały znany już jej charakter pisma, widniejący na pergaminowym niemal papierze pokrytym warstewką kurzu utrudniającego odczytanie skreślonych tam słów. Irène dmuchnęła delikatnie; chmura tysięcy świecących drobinek wzbiła się w powietrze i opadła na blat. Dziewczyna wzięła otwartą książkę do ręki i przerzuciła strony na początek. Przybliżyła tekst do światła, by ułatwić sobie przeczytanie napisu ze złożonych liter. W miarę jak docierało do niej, co ów napis rzeczywiście oznacza, czuła, jak sztywnieje jej kark, a po plecach zaczynają rozchodzić się lodowate szpileczki dreszczy.

Alexandra Alma Maltisse

Lazarus Joseph Jann

1915

Jedno z palących się w kominku polan trzasnęło, wyrzucając z siebie maleńkie iskry, które zgasły, spadłszy na podłogę. Irène zamknęła książkę i odłożyła ją na biurko. I wtedy zdała sobie sprawę, że z drugiego krańca pokoju, zza nieznacznie powiewających zasłon baldachimu, ktoś się jej przygląda. Dostrzegła zarys leżącej na łóżku postaci. Była to sylwetka kobiety. Irène ruszyła ku łóżku. Kobieta uniosła dłoń.

– Alma? – szepnęła Irène przestraszona własnym głosem.

Dziewczyna pokonała przestrzeń dzielącą ją od łóżka. Serce biło jej mocno, oddychała z trudem. Dotknęła zasłon. W tej samej chwili przez pokój przeszedł zimny powiew. Zasłonki baldachimu zafalowały delikatnie. Irène odwróciła się w stronę drzwi. Przez szparę w drzwiach rozlewał się po podłodze cień, niczym kałuża czarnego atramentu. Rozległ się dźwięk nie z tego świata, głos odległy i pełen nienawiści, jakby szepczący coś w ciemnościach.

W ułamek sekundy później drzwi otworzyły się pod naporem ogromnej siły i z hukiem trzasnęły o ścianę, wypadając nieomal z zawiasów. Kiedy z półmroku wyłoniły się szpony, długie i ostre jak stalowe kolce, Irène wrzasnęła wniebogłosy.

* * *

Ismael zaczął już podejrzewać, że popełnił jakiś błąd, starając się zlokalizować pokój Hannah. Dziewczyna opowiadała mu wiele razy o tym domu, a on naszkicował sobie w wyobraźni plan Cravenmoore. Kiedy jednak znalazł się w środku, labiryntowa konstrukcja rezydencji wydała mu się niemożliwa do rozszyfrowania. Wszystkie pokoje, które próbował otworzyć, były zamknięte na cztery spusty. Nie udało mu się przechytrzyć ani jednego z zamków, a nieczuły na jego porażkę zegarek odmierzał nieubłagane czas.

Piętnaście minut upłynęło i chłopak zrozumiał, że nic już nie zdoła

wskórać. Perspektywa zaprzestania poszukiwań, przynajmniej tej nocy, wydawała mu się coraz bardziej kusząca. Wystarczył jeden rzut oka na tę posępną scenerię, by znaleźć tysiąc usprawiedliwień dla decyzji o odwrocie. Już podjął postanowienie o opuszczeniu siedziby Lazarusa, kiedy rozległ się krzyk Irène. Do uszu Ismaela dotarł jak z głębi studni, stłumiony i głuchy, odbijający się zwielokrotnionym echem. Ismael poczuł, że adrenalina rozpała mu żyły, i rzucił się co sił w nogach ku przeciwnemu krańcowi monumentalnego korytarza.

Biegąc przez ten mroczny tunel, nie zwracał uwagi na rozmyte kształty przesuwane się mu przed oczyma. Przeciął strefę widmowej poświaty rzucanej przez latarnię, minął gmatwaninę korytarzyków wokół głównych schodów. Kafelki na podłodze wydawały się wydłużać pod jego stopami. Miał wrażenie, że koniec korytarza, zamiast się przybliżać, ucieka przed nim coraz szybciej.

Znów usłyszał krzyki Irène, tym razem znacznie wyraźniej. Przebiegł pod przezroczystymi zasłonkami i dostrzegł w końcu drzwi prowadzące do pokoju położonego na krańcu zachodniego skrzydła. Nie zastanawiając się ani chwili, Ismael pognał w tamtą stronę, nieświadom, co czeka go za drzwiami.

Wbiegł do ogromnego pokoju oświetlonego żarem tłących się w kominku polan. Widok Irène, której postać odcinała się na tle wielkiego okna zalanego błękitną poświatą, uspokoił go. Ale tylko na krótką chwilę, gdyż zaraz dostrzegł w oczach dziewczyny śmiertelne

przerażenie. Wtedy instynktownie odwrócił się i to, co ujrzał przed sobą, sprawiło, że zrobiło mu się ciemno przed oczyma, a całe jego ciało sparaliżował strach. Przez moment nie był zdolny wykonać najmniejszego ruchu.

Wyłaniająca się z cienia olbrzymia postać rozpostarła gigantyczne skrzydła przypominające skrzydła nietoperza. A może demona.

Anioł wyciągnął dwoje potężnych ramion. Palce miał długie i ciemne, zakończone lśniącymi stalowymi szponami, które rozbłysły przed jego przysłoniętą kapturem twarzą.

Ismael cofnął się o krok w stronę kominka, anioł zaś uniósł głowę, ukazując w świetle płomieni swoje oblicze. Jego rysy nie były rysami twarzy zwykłej maszyny. We wnętrzu tej piekielnej marionetki coś się kryło. Jakaś namacalna niemal, zła istota. Chłopak musiał użyć całej siły woli, żeby nie zamknąć oczu. Potem chwycił niezajęty przez płomień koniec żarzącego się polana. Wymachując nim przed twarzą anioła, wskazał Irène drzwi.

– Zaczynij, bardzo powoli, iść w tę stronę – powiedział.

Dziewczyna była jednak w takim szoku, że w ogóle nie zareagowała na jego słowa.

– Rób, co ci mówię – polecił jej Ismael energicznie.

Ton jego głosu przebudził Irène z letargu. Cała drząc, pokiwała głową i przeszła kilka kroków w kierunku drzwi. Wtedy postać anioła zwróciła się ku niej niczym uważny, cierpliwy drapieżca czatujący na

swoją zdobycz. Irène poczuła, że stopy wrastają jej w podłogę.

– Nie patrz na niego! Idź dalej – powiedział Ismael, nie przestając grozić aniołowi płonącym polanem.

Irène zrobiła kolejny krok. Przerazająca istota pochyliła głowę w jej kierunku. Dziewczyna aż jęknęła.

Ismael, wykorzystując nieuwagę przeciwnika, uderzył go polanem w głowę. Posypał się deszcz czerwonych iskier. Zanim chłopiec zdążył cofnąć rękę, szpony anioła zacisnęły się na drewnie, a długie, pięciocentymetrowe pazury, ostre jak rzeźnicze noże, zmiażdżyły je w pył na oczach Ismaela. Anioł ruszył w jego stronę. Chłopiec poczuł, jak podłoga wibruje pod ciężarem napastnika.

– Jesteś tylko przeklętą maszyną. Cholerną kupą złomu – wymamrotał Ismael, starając się przezwyciężyć paralizujący lęk, jaki wzbudzały w nim szkarłatne oczy błyszczące pod kapturem.

Demoniczne źrenice automatycznej istoty zwężyły się powoli, aż zmieniły się w krwawe punkciki na czarnych jak smoła tęczęwkach. Oczy tygrysa. Anioł postąpił kolejny krok w stronę chłopca. Ismael zrobił szybkie rozeznanie w sytuacji: od drzwi dzieliło go jakieś osiem metrów. Nie miał szans, by uciec. Ale Irène tak.

– Kiedy dam ci znak, biegnij do drzwi. I nie zatrzymuj się, dopóki nie wydobędziesz się z domu.

– Nie ma mowy.

– Nie czas na dyskusje – uciął Ismael, nie spuszczając anioła z oka.

– Biegnij!

Chłopak kalkulował w myślach, ile czasu zajmie mu dobiegnięcie do okna, by spróbować ucieczki fasadą budynku, kiedy stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Irène, zamiast rzucić się ku drzwiom do ucieczki, chwyciła płonące polano i stanęła przed aniołem.

– Spójrz na mnie, ty potworze – krzyknęła, podpalając płomieniem polana pelerynę okrywającą anioła i wywołując tym wrzask wściekłości skrywającego się wewnątrz cienia.

Ismael, całkowicie zdezorientowany, skoczył ku Irène i pchnął ją na podłogę, w ostatniej chwili ratując ją przed pięcioma ostrzami, które świsnęły w powietrzu, chybiając celu. Peleryna anioła płonęła, upodabniając jego ogromną sylwetkę do ognistej spirali. Ismael złapał Irène za ramię i pomógł jej wstać. Ruszyli biegiem ku wyjściu, ale anioł, zerwawszy z siebie płonące okrycie, przeciął im drogę. Spod płomieni wyłoniła się poczerniała stal zbroi.

Ismael, ani przez chwilę nie puszczając dłoni dziewczyny (chciał w ten sposób zapobiec jej kolejnym bohaterskim odruchom), pociągnął ją ku oknu. Wolną ręką złapał za krzesło i rozbił nim szybę. Deszcz szklanych odłamków spadł na nich, a zimny wiatr uniósł zasłony aż pod sufit. Czuli za swoimi plecami kroki zbliżającego się anioła.

– Szybko! Skacz na gzyms! – krzyknął chłopak.

– Co? – z niedowierzaniem jęknęła Irène.

Nie bawiąc się w jakiekolwiek wyjaśnienia, Ismael wypchnął Irène

na zewnątrz. Dziewczyna niemal przeleciała przez dziurę obramowaną szklanymi drzazgami, zatrzymując się w ostatniej chwili nad przepaścią. Serce jej zamarło. Była pewna, że zaraz jej ciało runie w otchłań. Ale Ismael, nawet na sekundę nie puściwszy jej ręki, natychmiast wyciągnął Irène na wążutki gzyms biegnący przez całą fasadę niczym korytarz pośród chmur. Błyskawicznie doskoczył do niej i popchnął, by zaczęła się przesuwać. Wiatr osuszył mu pot spływający po twarzy.

– Nie patrz w dół! – krzyknął.

Zdążyli przesunąć się po gzymsie zaledwie metr, gdy z rozbitego okna wychylił się szpon anioła; ostre pazury wryły się w kamień, zostawiając za sobą cztery długie bruzdy i fajerwerk iskier. Nie mogąc zapanować nad drżeniem nóg, Irène krzyknęła, czując, że lada chwila straci równowagę.

– Nie mogę iść – wydusiła z siebie. – Jeszcze jeden krok i spadnę.

– Możesz. I zrobisz to. Teraz – popędził ją, chwyciwszy jeszcze mocniej za rękę. – Jeśli spadniesz, to razem ze mną.

Dziewczyna spróbowała się uśmiechnąć. Nagle, parę metrów w bok od nich, jedno z okien eksplodowało tysiącami odłamków szkła. W ślad za wybuchem wyłoniły się szpony anioła, a w sekundę później całe ciało potwora, które natychmiast przywarło do fasady jak pajak.

– Mój Boże... – jęknęła Irène.

Ismael pociągnął ją za rękę, usiłując zawrócić. Anioł zaczął pełznąć ku nim; jego postać można było wziąć za jeszcze jednego

diabolicznego gargulca podpierającego najwyższy fryz fasady Cravenmoore.

Chłopak błyskawicznie rozejrzał się wokół siebie. Stwór powoli przesuwał się w ich kierunku.

– Ismael...

– Widzę, widzę!

Chłopak ocenił szanse na przeżycie, gdyby skoczyli z tej wysokości. Zerowe, a i to przy dużej dozie optymizmu. Powrót do pokoju przez okno zająłby zbyt wiele czasu. Anioł spadłby na nich, nim zdążyliby zawrócić. Wiedział, że na podjęcie jakiegokolwiek decyzji ma zaledwie parę sekund. Irène trzęsła się cała; jej dłoń ścisnęła jeszcze mocniej jego rękę. Ismael rzucił ponownie wzrokiem na anioła, pełznącego w ich stronę powoli, ale skutecznie. Chłopak przełknął ślinę i spojrzał w drugą stronę. Nieopodal po fasadzie biegły w dół rynny. Połowa mózgu Ismaela zajęta była pytaniem, czy wytrzymają one ciężar dwóch ciał, podczas gdy druga połowa rozważała wszystkie możliwe sposoby złapania się grubej rury, ostatniej drogi ucieczki.

– Złap się mnie mocno – szepnął wreszcie.

Irène spojrzała nań, a później w dół, w przepaść, i odgadła jego zamiary.

– Nie, na miłość boską!

Ismael puścił do niej oko.

– Milej podróży – szepnął.

Pazury anioła świsnęły i wbiły się cztery centymetry od twarzy Irène. Dziewczyna krzyknęła, przycisnęła się jeszcze mocniej do Ismaela i zamknęła oczy. Spadali w zawrotnym pędzie. Kiedy Irène otworzyła oczy, oboje wisieli w pustce. Ismael zjeżdżał po rynnie i nie miał właściwie żadnego wpływu na prędkość, nie mówiąc o hamowaniu. Żołądek podszedł mu do gardła. Nad nimi anioł zaczął na przemian szarpać rurą i przygniatać ją do ściany. Ismael czuł, jak coraz bardziej pieką go dłonie i ramiona w miejscach po zdartym naskórku. Był pewien, że pieczenie przejdzie zaraz w ból nie do wytrzymania. Anioł zaczął schodzić w ich kierunku, usiłując trzymać się rynny... Ciężar jego ciała pociągnął go w dół, odrywając od ściany.

Metalowa masa potwora runęła w otchłań, ciągnąc za sobą całą rurę, która zaczęła, z trzymającymi się jej jeszcze Ismaelem i Irène, wyginać się niczym ogromny łuk ku ziemi. Chłopak próbował nie stracić nad tym wszystkim kontroli, ale ból i prędkość, z jaką spadali, były silniejsze od jego starań.

Rura wyślizgnęła się z jego ramion i oboje zaczęli spadać ku ogromnemu stawowi okalającemu zachodnie skrzydło Cravenmoore. Z wściekłym impetem zderzyli się z lodowatym lustrem czarnej wody. Bezład upadku pociągnął ich na muliste dno. Irène poczuła, jak zimna woda wdziera się jej przez nos i pali w gardło. Nie mogła powstrzymać kolejnego ataku paniki. Rozwarła powieki pod wodą, ale piekące oczy pozwoliły jej jedynie zobaczyć mroczną toń i płynącą obok niej postać:

Ismaela. Chłopak złapał Irène i pociągnął ku powierzchni. Znalazłszy się na niej, zachłysnęli się powietrzem.

– Szybko – ponaglił Ismael.

Irène dostrzegła rany na jego dłoniach i rękach.

– Nic takiego – skłamał Ismael, wyskakując na brzeg.

Irène poszła w jego ślady. Ociekali wodą. Przemoczone ubrania szybko sztywniały w chłodzie nocy, oblepiając ich niczym skorupa szronu. Ismael rozejrzał się wokół.

– Widzisz go? – spytała Irène.

– Może przy upadku jednak...

Coś poruszyło się w zaroślach. Natychmiast rozpoznali płonące szkarłatem oczy. Anioł tam był i to coś, co wprawiało go w ruch i nim zawiadywało, nie miało najmniejszego zamiaru pozwolić im ujść z życiem.

– Uciekajmy!

Oboje rzucili się ku ścianie lasu. Mokre ubrania utrudniały bieg. Zimno zaczynało przenikać ich kości. Doszedł ich hurgot szamocącego się w zaroślach anioła. Ismael z całej siły pociągnął dziewczynę za sobą, w głąb lasu, tam gdzie mgła zaczynała już gęstnieć.

– Gdzie mnie ciagniesz? – jęknęła Irène, widząc, że chronią się w nieznannej jej części lasu.

Ismael, miast udzielić odpowiedzi, szarpnął jej rękę jakby w akcie ostatecznej desperacji. Irène czuła, jak zarośla ostro tną jej kostki, a

mięśnie odmawiają już posłuszeństwa ze zmęczenia. Wiedziała, że nie da rady biec dalej. Była u kresu sił. Lada chwila potwór dopadnie ich w środku lasu i rozszarpie swoimi pazurami.

– Nie mogę już...

– Możesz!

Ismael ciągnął ją. Głowa skakała jej na wszystkie strony. Słyszała trzask łamanych gałęzi tuż za plecami. Przez chwilę myślała, że zaraz zemdleje, ale bolesne ukłucie w nodze ocuciło ją natychmiast. Szpony anioła przebiły się przez zarośla i jeden z pazurów rozciął udo dziewczyny. Irène krzyknęła. Za szponami natychmiast pojawiła się twarz potwora. Irène usiłowała zamknąć oczy, ale nie mogła oderwać wzroku od napastnika.

W tej samej chwili dotarli do ukrytego za gęstwiną zarośli małego wejścia do groty. Ismael, przebijając się przez krzaki, pociągnął Irène za sobą do środka. Zrozumiała, że chłopiec od początku ciągnął ją właśnie w ten leśny zakątek. Do jaskini. Czyżby wierzył, że anioł może w pewnym momencie dać im spokój? Jakby na potwierdzenie swych obaw Irène usłyszała ostry zgrzyt pazurów o skałę. Ismael, przeciągnawszy dziewczynę przez wąską gardziel, zatrzymał się przed dziurą w ziemi, prowadzącym w pustkę otworem, z którego wydobywał się powiew wiatru o słonym zapachu i niespokojny szum. Woda. Morze.

– Skacz! – rozkazał chłopak.

Irène spojrzała ku czarnej dziurze. Droga prowadząca prosto do

piekła wyglądała pewnie znacznie przyjemniej niż to, co się otwierało pod jej nogami.

– Co tam jest?

Ismael westchnął wyczerpany. Anioł zbliżał się nieubłaganie. Jego kroki słychać było tuż-tuż.

– To jedno z wejść do Groty Nietoperzy.

– To jest to drugie wejście? Twierdziłeś, że jest bardzo niebezpieczne!

– Nie mamy wyboru...

Ich spojrzenia spotkały się w półmroku. Kilka metrów od nich rozległ się szcęk szponów. Ismael kiwnął głową. Dziewczyna złapała jego rękę i z zamkniętymi oczyma skoczyła w pustkę. Anioł pokonał wejście do jaskini i wpadł z całym impetem do środka.

Lot w ciemnościach nie miał końca. Kiedy w końcu zanurzyli się w morzu, tysiące lodowatych szpileczek przeszyły ich ciała. Wynurzywszy się z wody, zobaczyli, jak z otworu widniejącego w górze groty ledwo sączy się niteczka światła. Falowanie przyływu pchało ich ku ścianie ostro najeżonych skał.

– Gdzie on jest? – zapytała Irène, starając się opanować dygot, w który wpadło całe jej ciało pod wpływem lodowato zimnej wody.

Objęli się w milczeniu i trwali tak przez chwilę, czekając na moment, kiedy z wody wyłoni się ten piekielny twór i w ciemnościach morskiej jaskini odbierze im życie. Ale ten moment nie nadchodził.

Ismael pierwszy zdał sobie sprawę, że już nie nadejdzie.

Szkarłatne oczy anioła świeciły na dnie jaskini. Ogromny ciężar potwora uniemożliwiał mu wypłynięcie na powierzchnię. Ryk ślepej furii dotarł do nich poprzez wodę. Siła, która wprawiała w ruch anioła, skręcała się ze wściekłości, zdając sobie sprawę, że mordercza kukła wpadła w pułapkę i stała się zupełnie bezużyteczna. Ta kupa złomu nigdy nie zdoła wypłynąć na powierzchnię. Właśnie została skazana na wieczny spoczynek na dnie groty, póki morze nie przeistoczy jej w stertę zardzewiałego żelastwa.

Ismael i Irène patrzyli, jak blask tych potwornych oczu niknie powoli, by wreszcie zgasnąć w wodzie na zawsze. Ismael westchnął z ulgą. Irène płakała w milczeniu.

– Skończyło się – szeptała, dygocąc. – Skończyło się.

– Niestety nie – powiedział Ismael. – To tylko maszyna, bezwolna maszyna. Ona nie ruszała się sama z siebie. Coś nią poruszało. To, co chciało nas zabić, wciąż tam jest...

– Ale co to jest?

– Nie wiem.

W tej chwili na dnie groty nastąpiła eksplozja. Kłęby czarnych bąbelków uniosły się ku powierzchni, a wypłynąwszy, stopiły się w czarną zjawę, która wpełzła po skalistej ścianie ku wyjściu w kopule groty. Cień zatrzymał się i obrócił w ich stronę.

– Odchodzi już? – zapytała Irène z nadzieją.

Cała grotą wypełniła się okrutnym i jadowym śmiechem. Ismael powoli pokręcił głową.

– Pozwala nam tu zostać – odparł – żeby przyływ dokończył dzieła...

Cień zniknął w górnym wejściu do groty.

Ismael westchnął i poprowadził Irène ku małej wystającej z wody skale, na której mieścili się oboje. Pomógł dziewczynie się wspiąć, a następnie objął ją ramieniem. Byli poharatani, trzęśli się z zimna, ale sił starczyło im tylko na to, by położyć się na skale i głęboko pooddychać. W pewnej chwili Ismael poczuł, że woda znów oblewa jego stopy. Zrozumiał, że zaczął się przyływ. To nie prześladowający ich stwór wpadł w pułapkę, ale oni znaleźli się w potrzasku...

Cień oddał ich na łaskę śmierci powolnej i strasznej.

10. W pułapce

Wdzierające się do Groty Nietoperzy morskie fale ryczały złowrogo. Zimne prądy Czarnej Zatoki wpływały skalnymi kanałami, wypełniając pogrążoną w ciemnościach jaskinię przeraźliwym, dudniącym echem. Wejście do groty od strony lądu znajdowało się wysoko nad nimi, dalekie i nieosiągalne, podobne do oka kopuły. Przez kilka zaledwie minut poziom wody podniósł się zauważalnie. Irène uświadomiła sobie, że powierzchnia skały, na której schronili się niczym rozbitkowie, kurczy się nieubłaganie, centymetr za centymetrem.

– Przyływ – wymamrotała.

Przygnębiony Ismael pokiwał głową w milczeniu.

– Co się z nami stanie? – zapytała Irène, domyślając się odpowiedzi. Miała nadzieję, że chłopak, niewyczerpane źródło pomysłów, wyciągnie w ostatniej chwili z rękawa jakiś trik, który pozwoli im wyjść cało z opresji.

Ismael posłał jej posępne spojrzenie. Nadzieja Irène rozwiąła się w jednej chwili.

– Podczas przyływu woda blokuje wejście do jaskini – wyjaśnił Ismael. – Pozostaje już tylko otwór w sklepieniu. Ale stąd, z dołu, nie sposób się tam dostać.

Chłopak zawiesił głos. Jego twarz skryła się w ciemnościach.

– Jesteśmy w pułapce – zawyrokował.

Myśl o narastającym powoli przypiływie, który sprawi, że utoną w tej lodowatej wodzie jak szczury, zmroziła Irène krew w żyłach. W czasie ucieczki przed mechanicznym aniołem szalejąca w jej żyłach adrenalina kompletnie zmała jej zdolność logicznego rozumowania. Teraz, kiedy drżała z zimna w ciemnościach, perspektywa powolnej śmierci wydawała się prawdziwym koszmarem.

– Musi istnieć jakiś sposób, by się stąd wydostać – upierała się.

– Nie ma.

– I co teraz zrobimy?

– Na razie nic. Poczekamy...

Irène zrozumiała, że nie powinna naciskać na Ismaela. Chłopiec o wiele lepiej niż ona zdawał sobie sprawę ze zdradliwej natury tej groty. I pewnie bał się jeszcze bardziej od niej. Zastanowiwszy się chwilę, doszła do wniosku, że zmiana tematu rozmowy zrobiłaby dobrze im obojgu.

– Wiesz co... Kiedy byliśmy jeszcze w Cravenmoore – zaczęła – i gdy weszłam do tego pokoju, zobaczyłam tam coś. To ma związek z Alną Maltisse.

Ismael spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Wydaje mi się... Wydaje mi się, że Alma Maltisse i Alexandra Jann to jedna i ta sama osoba. Alma Maltisse to nazwisko panińskie Alexandry, nazywała się tak, zanim wyszła za Lazarusa – wyjaśniła Irène.

– To niemożliwe. Alma Maltisse utonęła, płynąc do wysepki z

latarnią wiele lat temu – zaproponował Ismael.

– Ale nigdy nie odnaleziono jej ciała...

– To niemożliwe – upierał się chłopiec.

– Tam, w tamtym pokoju, widziałam jej portret i... ktoś leżał na tamtym łóżku. Kobieta.

Ismael przetarł oczy. Próbował zebrać myśli.

– Poczekaj. Przypuśćmy, że masz rację. Załóżmy, że Alma Maltisse i Alexandra Jann to ta sama osoba. W takim razie kim jest kobieta, którą widziałas w Cravenmoore? Kim jest kobieta zamknięta przez te wszystkie lata w niedostępnym pokoju i udająca żonę Lazarusza?

– Nie mam pojęcia. Im więcej się dowiadujemy, tym mniej z tego wszystkiego rozumiem – przyznała Irène. – I jeszcze jedna rzecz nie daje mi spokoju. Ta postać, którą widzieliśmy w fabryce zabawek. Imitacja mojej matki. Kiedy o tym pomyślę, włosy mi się jeżą na głowie. Lazarus konstruuje zabawkę o twarzy mojej matki...

Zimna fala zalała im kostki. Odkąd tu weszli, woda podniosła się co najmniej o dwadzieścia centymetrów. Spojrzeli na siebie zrozpaczeni. Morze znów zaryczało i kolejna fala przelała się przez wejście do jaskini. Zanosilo się na bardzo długą noc.

* * *

Północ zasnęła klify mgłą, która wspinała się stopień za stopniem z przystani do Domu na Cyplu. Lampa naftowa dopalała się powoli na

ganku, nadal kołysząc się na wietrze. Nocną ciszę zakłócał tylko szum morza i szelest gałęzi w lesie. Dorian leżał w łóżku, trzymając na piersiach szklanę, w której umieścił zapaloną świeczkę. Nie chciał, by jego matka zorientowała się, że nie zgasił jeszcze światła, a po ostatnich wydarzeniach zupełnie stracił zaufanie do swojej nocnej lampki. Płomyk tańczył w rytm jego oddechu jak duszek ognia. W jego migotliwym świetle raz po raz ukazywały się Dorianowi jakieś niepokojące kształty. Chłopiec westchnął. Tej nocy za nic w świecie nie zdoła zmrużyć oka.

Pożegnawszy się z Lazarusem, Simone zajrzała do sypialni syna, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Dorian skulił się pod kołdrą w ubraniu, odgrywając opanowaną do perfekcji scenkę pod tytułem „i zasnął snem sprawiedliwego”, więc matka odeszła zadowolona do swojego pokoju, by zrobić to samo. Od tego czasu upłynęły już całe godziny, a może nawet lata, myślał Dorian. Tej ciągnącej się w nieskończoność nocy wielokrotnie przekonał się, iż stał się istnym kłębkiem nerwów. Każdy szelest, szmer, każdy cień sprawiały, że serce biło mu młotem w piersiach.

Płomyk świecy zaczął się powoli dopalać, zmieniając się w maleńką błękitną bańkę, której światło nie mogło już przedrzeć się przez mrok. W jednej chwili ciemności na powrót zagarnęły obszar, z którego wcześniej tak niechętnie się wycofały. Dorian słyszał, jak krople gorącego wosku spadają, by zastygnąć na dnie szklanki. Zaledwie kilka centymetrów od głowy chłopca z nocnego stolika spoglądał na niego

ołowiany anioł podarowany mu przez Lazarusa. „Dosyć tego”, pomyślał Dorian zdecydowany zastosować jedną ze swych ulubionych taktyk w walce z bezsennością i nocnymi koszmarami, a mianowicie coś przekąsić.

Odkrył się i wstał z łóżka. Za każdym razem, gdy próbował przemknąć się bezszelestnie przez Dom na Cyplu, pod jego stopami zaczynały rozlegać się trzaski, jakby stąpał po pełnym drobnych gałązek runie leśnym, postanowił więc nie wkładać butów. Uzbrojony w tę resztkę odwagi, jaka mu jeszcze pozostała, przeszedł na palcach przez sypialnię. Długą chwilę zabrało mu otwarcie drzwi w taki sposób, by nie zbudzić matki nocnym koncertem zardzewiałych zawiasów. Na szczęście się udało. Bardzo ostrożnie wyjrzał z pokoju, by zrobić rozeznanie w sytuacji. Korytarz tonął w ciemnościach, a schody rzucały na ścianę cień podobny do klawiatury pianina. Panował tu absolutny spokój. Najmniejszego ruchu. Ani jeden pyłek nie drgnął w powietrzu. Dorian cicho zamknął za sobą drzwi i przekradł się do schodów, przechodząc przed drzwiami sypialni Irène.

Siostra bardzo wczesnie poszła dziś spać, tłumacząc się nieznośnym bólem głowy. Dorian pomyślał, że pewnie czyta coś ukradkiem albo wypisuje jakieś miłosne brednie do tego swojego ukochanego żeglarza, z którym spędzała ostatnio dwadzieścia pięć godzin na dobę. Odkąd ujrzał ją po raz pierwszy w sukni Simone, wiedział, że po Irène można się spodziewać już tylko jednego:

problemów. Schodząc po stopniach ciszej niż indiański zwiadowca, Dorian obiecał sobie solennie, że jeśli kiedykolwiek się zakocha, nie będzie się zachowywał w tak żalosny sposób. Kobiety pokroju Grety Garbo nie zaprzętały sobie głowy bzdurami. Ani kwiatami, głupkowskimi minami, tęsknymi westchnieniami. Może i był tchórzem. Ale na pewno nie tchórzem sentymentalnym, co to, to nie.

Znalazłszy się na parterze, Dorian zauważył, że dom otulony jest zasłoną mgły, tak gęstą, że przysłaniała widok ze wszystkich okien. Uśmiezek, który rozjaśnił mu twarz, kiedy zaczął snuć swoje złośliwe insynuacje na temat siostry, ulotnił się bez śladu. „To tylko skondensowana para wodna – pomyślał. – Skondensowana para wodna, która się przemieszcza. Fizyka dla początkujących”. Ta naukowa perspektywa pozwoliła mu się uspokoić i zapomnieć na chwilę o mgle, która wciskała się do środka przez szpary w oknach. Ruszył do kuchni. Tam przekonał się, że romans Irène z Kapitanem Gromem miał też swoje dobre strony – odkąd zaczęła się z nim spotykać, siostra Doriana ani razu nie zbliżyła się do pudełka wyśmienitych szwajcarskich czekoladek, które Simone trzymała w drugiej szufladzie kredensu.

Oblizując się jak kot, chłopiec ugryzł pierwszą czekoladkę. Cudowna truflowo-kakaowo-migdałowa fala rozlała mu się w gardle. Uważał czekoladę za drugi, po kartografii oczywiście, najznakomitszy wynalazek rodzaju ludzkiego. A najbardziej ją lubił właśnie w postaci czekoladek. „Zmyślny naród, ci Szwajcarzy – przyszło Dorianowi do

głowy. – Zegarki i czekoladki. Precyzja i przyjemność. Wiedzą, co w życiu ważne”. Nagły hałas wyrwał go brutalnie z tych słodkich rozważań teoretycznych. Dorian, usłyszawszy go raz jeszcze, zamarł ze strachu, a kolejna czekoladka wyslizgnęła mu się z rąk. Ktoś pukał do drzwi.

Dorian spróbował przełknąć ślinę, ale kompletnie zaschło mu w gardle. Dwa kolejne uderzenia rozległy się jeszcze wyraźniej niż przedtem. Dorian wszedł do salonu z oczyma utkwionymi w drzwi. Pasemka mgły prześlizgiwały się przez próg. Ktoś znów zapukał. Dorian zamarł w bezruchu, niezdecydowany, co powinien zrobić.

– Kto tam? – zapytał łamiącym się głosem.

Zamiast odpowiedzi jeszcze raz usłyszał pukanie. Chłopiec podszedł do okna, ale mgła była tak gęsta, że nie mógł przez nie wyjrzeć. Na ganku nie słyhać było żadnych kroków. Tajemniczy gość widocznie już sobie poszedł. Pewnie jakiś zbłąkany wędrowiec. Już miał wracać do kuchni, kiedy ów dźwięk rozległ się znowu. Tym razem pukano w okno, jakieś dziesięć centymetrów od jego twarzy. Serce skoczyło mu do gardła. Zaczął cofać się powoli w głąb salonu, aż dotknął plecami jednego ze stojących w nim krzeseł. Potem chwycił instynktownie świecznik i potrząsnął nim przed sobą.

– Odejdź – wyszeptał.

Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że za szybą zamajaczyła jakaś twarz. Po chwili okno otworzyło się na oścież, jakby uderzył w nie huragan. Pokój zalała fala zimna, później zaś zdumiony Dorian ujrzał

rozpełzającą się po podłodze czarną plamę.

Cień.

Plama zatrzymała się tuż przed nim, a potem zaczęła unosić się znad podłogi i nabierać kształtu niczym marionetka z czarnej mgły poruszana niewidzialnymi sznurkami. Dorian spróbował uderzyć ją świecznikiem, ale metal przechodził przez intruza jak przez dym. Chłopak cofnął się przerażony, a cień rzucił się na niego. Dwie bezformne dłonie chwyciły go za gardło; poczuł na skórze ich lodowaty uścisk. Przed jego oczyma z bezkształtu zaczęły się formować rysy twarzy. Strach przeniknął Doriana do szpiku kości. Zaledwie kilkanaście centymetrów od swojej głowy ujrzął oblicze ojca. Armand Sauvelle uśmiechnął się do niego wilczym, okrutnym, pełnym nienawiści uśmiechem.

– Witaj, Dorianie. Przyszedłem po mamę. Zaprowadzisz mnie do niej? – wysyczał cień.

Ton tego głosu objął mu mrozem serce. To nie był głos jego ojca. Te demoniczne, płonące źrenice nie były oczyma jego ojca. Nie mówiąc już o długich, ostrych zębach... To nie mógł być Armand Sauvelle.

– Ty nie jesteś moim ojcem!

Wilczy uśmiech cienia prysł jak bańka mydlana, a jego rysy stopiły się jak ciepły воск.

Zwierzęcy ryk nienawiści i furii rozdarł powietrze i jakaś niewidzialna siła cisnęła chłopcem na drugi kraniec pokoju. Dorian

uderzył w fotel, który przewrócił się na podłogę.

Odurzony ciosem podniósł się z wysiłkiem i zdążył zobaczyć, jak cień – obdarzona własnym życiem, wpełzająca po schodach kałuża smoły – pokonuje stopień za stopniem.

– Mamo! – krzyknął Dorian, rzucając się w stronę schodów.

Cień zatrzymał się na chwilę i wbił w niego wzrok. Jego obsydianowe usta wymówiły bezgłośnie jedno tylko słowo. Dorian.

Wszystkie szyby wyleciały z okien, opadając na podłogę deszczem śmiercionośnych odłamków, a do Domu na Cyplu wtargnęła mgła. Cień odwrócił się i znów zaczął iść na górę. Dorian pobiegł za nim, za tą widmową, unoszącą się nad podłogą sylwetką, która nieubłaganie kierowała się do sypialni Simone.

– Nie! – krzyknął chłopak. – Zostaw w spokoju moją matkę!

Cień uśmiechnął się i chwilę później masa czarnej pary zawirowała niczym tornado, które przez dziurkę od klucza przecisnęło się do sypialni Simone. Na sekundę w domu zaległa przeraźliwa cisza.

Dorian pobiegł w kierunku sypialni, ale zanim do niej dotarł, drzwi wyleciały z framug z niespotykanym impetem, jakby w pokoju Simone wybuchła bomba, i roztrzaskały się o ścianę w końcu korytarza. Chłopak ledwo zdążył przed nimi uskoczyć.

Kiedy wstał z podłogi, ujrzał przed sobą widok rodem z najgorszego koszmaru. Cień biegał po ścianach sypialni Simone. Ciało jego matki, pogrążonej w głębokim śnie, rzucało na ścianę swój własny

cień. Dorian patrzył, jak czarna postać ześlizguje się na łóżko, a usta widma zbliżają się do ust jego matki. Simone rzucała się na łóżku, z tajemniczych powodów nie mogąc się przebudzić ze snu. Czarne szpony uniosły ją razem z prześcieradłem. Dorian zagroził drogę cieniowi, ale po raz kolejny wybuch niepohamowanej furii wyrzucił go z pokoju. Widmo z Simone w ramionach rzuciło się pędem w dół schodów. Dorian, walcząc z zamroczeniem po kolejnym upadku, wstał i zaczął schodzić na parter. Cień się odwrócił. Przez chwilę spoglądali na siebie badawczo.

– Wiem, kim jesteś – wyszeptał chłopiec.

Z czarnej mgły wyłoniło się nowe, nieznane chłopcu oblicze: rysy młodego, eleganckiego mężczyzny o błyszczących oczach.

– Nic nie wiesz – zaprzeczył cień.

Dorian patrzył, jak widmo omiata spojrzeniem pokój, a potem zatrzymuje wzrok na drzwiach prowadzących do piwnicy. Drzwi ze starego drewna otworzyły się niespodziewanie, a chłopiec poczuł, jak jakaś niewidzialna siła, której nie sposób się przeciwstawić, popycha go w tamtą stronę. Potoczył się po schodach ku nieprzeniknionym ciemnościom. Drzwi zamknęły się za nim niczym ciężka kamienna płyta.

Dorian zrozumiał, że za chwilę straci przytomność. Przedtem usłyszał jeszcze, jak cień śmieje się pośród mgły, niczym hiena unosząc jego matkę w las.

* * *

Wody przyływu zalewały coraz większą część jaskini. Irène i Ismael czuli, jak z każdą chwilą śmiertelny krąg nieubłaganie zaciska się wokół nich. Irène nie pamiętała już, kiedy kolejna fala zmyła ich ze skały, która przez jakiś czas służyła im za schronienie. Teraz nie mieli pod stopami dna. Byli zdani na łaskę przyływu i na swoje własne siły. Zimno chłostało ją, powodując przenikliwy ból mięśni, miała wrażenie, że wbijają się w nie tysiące igiełek. Zaczęła tracić czucie w dłoniach. Ołowiane szpony zmęczenia zdawały się chwytać ją za kostki i ciągnąć na dno. Jakiś głos szeptał jej do ucha, by się poddała, by nie walczyła dłużej z tym błogim snem, który czekał na nich pod wodą. Ismael z trudem utrzymywał dziewczynę na powierzchni i czuł, jak jej ciało drży w jego ramionach. Na jak długo starczy mu sił? Nie wiedział. Nie miał też pojęcia, ile czasu brakowało jeszcze do świtu, do chwili, gdy przyływ zacznie się cofać.

– Nie opuszczaj ramion. Ruszaj się. Musisz za wszelką cenę się ruszać – jęknął.

Irène, ledwo przytomna, pokiwała głową.

– Spać mi się chce – powiedziała, a chłopak zrozumiał, że Irène zaraz zemdleje.

– Nie! Nie możesz teraz zasypiać! – krzyknął, potrząsając nią zdecydowanie.

Szeroko otwarte oczy Irène spoglądały na niego, wcale go nie

widząc. Ismael uniósł rękę, by dotknąć skalnego sufitu, ku któremu wyniosły ich fale. Wewnętrzny prąd oddalał ich od otworu w kopule i popychał w głąb pieczary, coraz dalej od jedynej drogi ucieczki. Pomimo iż rozpaczliwie starał się utrzymać pod otworem, nie miał czego się złapać. Woda zaczęła docierać pod samo sklepienie jaskini. I chociaż została już tylko wąska szpara, pozwalająca im oddychać, kolejne fale nieubłaganie wlewały się do groty.

Na chwilę twarz Irène zanurzyła się pod wodą. Ismael szybko chwycił dziewczynę i przyciągnął do siebie. Była całkiem oszołomiona. Chłopak dobrze wiedział, że niejeden silniejszy od niej mężczyzna, zdany na łaskę morza, poddawał się. Obezwładniające zimno mogło pokonać każdego. Zabójcza woda wpierw paraliżowała mięśnie, a następnie mąciła umysł, cierpliwie czekając, aż ofiara sama pójdzie w objęcia śmierci.

Ismael potrząsnął dziewczyną i obrócił ją ku sobie. Paplała coś bez ładu i składu. Ismael, niewiele się zastanawiając, uderzył ją mocno w twarz. Irène otworzyła oczy i wydała histeryczny pisk. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. W ciemnościach, w lodowatej wodzie, czując, że trzymają ją czyjeś ręce, uznała, że śni jej się najgorszy z koszmarów. Później wszystko jej się przypomniało. Cravenmoore. Anioł. Grota. Ismael przytulił ją delikatnie. Nie potrafiła powstrzymać łez, łkała jak wystraszona dziewczynka.

– Nie pozwól mi tutaj umrzeć – szepnęła.

Chłopiec poczuł się, jakby otrzymał cios zatrutym sztyletem.

– Nie umrzesz tutaj. Przysięgam ci. Nie dopuszczę do tego. Lada chwila zacznie się odpływ, a grota nie będzie całkiem zalana... Musimy tylko wytrzymać jeszcze trochę. Tylko troszeczkę. Na pewno się stąd wydostaniemy.

Irène przytaknęła i przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Gdyby tylko Ismael wierzył w swoje słowa równie mocno, jak wierzyła w niego jego towarzyszką niedoli.

* * *

Lazarus Jann powoli pokonywał stopnie głównych schodów rezydencji Cravenmoore. Aura czyjejs dziwnej obecności unosiła się w świetle lampy umieszczonej na szczycie. Mógł poczuć ją w zapachu powietrza, w ruchu drobinek kurzu, które łączyły się w sieć srebrzystych nitek, gdy światło wydobywało je z mroku. Dotarłszy na drugie piętro, szybko spojrział na znajdujące się za zasłonkami drzwi w końcu korytarza. Były otwarte. Ręce zaczęły mu drżeć.

– Alexandra?

Chłodny podmuch wiatru zatrzepotał zasłonami. Lazarusem zawładnęły jak najgorsze przeczucia. Zamknął oczy i przyłożył rękę do serca. Dojmujący ból przeszył mu pierś i promieniował ku prawemu ramieniu niczym płonący lont, znieczulając po drodze każdy najmniejszy nerw.

– Alexandra? – jęknął.

Rzucił się biegiem ku drzwiom i stanął w progu. Rozejrzał się po pokoju, przypatrując się śladom walki, rozbitym szybom, przez które wpełzała zimna mgła sunąca od lasu. Zacisnął dłoń z całej siły, wbijając sobie paznokcie w skórę.

– A żeby cię...

Otarł zimny pot z czoła, podszedł do łóżka i z niezwykłą delikatnością rozsunął zasłony baldachimu.

– Przykro mi, kochanie... – powiedział, siadając na brzegu łóżka. – Bardzo mi przykro...

Dziwny dźwięk przykuł jego uwagę. Drzwi do pokoju niespodziewanie zaczęły powoli otwierać się i zamykać. Lazarus wstał i ostrożnie do nich podszedł.

– Jest tam kto? – spytał.

Nie otrzymał odpowiedzi, ale drzwi znieruchomiały. Lazarus wyszedł za próg, stanął i rozejrzał się po korytarzu. Kiedy usłyszał szmer, było już za późno. Uderzenie w kark zważyło go z nóg. Na wpół przytomny poczuł, że czyjeś ręce wloką go po podłodze korytarza. Zdawało mu się, że jak przez mgłę widzi Christiana, maszynę pilnującą głównych drzwi. Twarz automatu obróciła się ku Lazarusowi. Oczy Christiana jaśniały okrutnym błyskiem.

W chwilę później Lazarus stracił przytomność.

* * *

Ismael, zauważywszy, że spychająca ich dotąd w głąb groty woda przestała już napierać, domyślił się, że nachodzi świt. Niewidzialna siła wtlaczająca przez całą noc ogromne masy wody zaczęła powoli słabnąć, pozwalając Ismaelowi przeciągnąć Irène w najwyższą część groty, gdzie morze pozostawiło jeszcze odrobinę powietrza. Kiedy poblask jasności migocący na piaszczystym dnie rozciągnął się w ścieżynkę bladego światła prowadzącą ku wyjściu z groty i zaczął się odpływ, Ismael wydał z siebie okrzyk radości, którego nikt, nawet towarzysząca mu dziewczyna, nie mógł usłyszeć. Chłopiec wiedział, że z chwilą gdy lustro wody zacznie opadać, grotka sama wskaże im drogę wyjścia do laguny, na powietrze.

Irène utrzymywała się na powierzchni, od kilku już chyba godzin, wyłącznie dzięki pomocy Ismaela. Nie mogąc całkowicie się przebudzić, wciąż balansowała na granicy snu i jawy. Drgawki już nie targały jej ciałem; po prostu unosiła się na wodzie niczym martwy przedmiot. Ismael, czekając, aż odpływ otworzy im drogę, zdał sobie sprawę, że gdyby go tu nie było, Irène zmarłaby już kilka godzin temu.

Podtrzymując ją na powierzchni i szepcząc słowa otuchy, których dziewczyna i tak nie mogła zrozumieć, Ismael przypomniał sobie przeróżne historie opowiadane przez rybaków i marynarzy o spotkaniach ze śmiercią i o tym, że jeśli ktoś uratował życie drugiemu człowiekowi na morzu, ich dusze były już na zawsze związane niewidzialną więzią.

Woda opadła na tyle nisko, że Ismael zdołał przenieść Irène ku lagunie, opuszczając ostatecznie grotę. Świt na horyzoncie zaplatał bursztynowy warkocz, kiedy Ismael dowlókł dziewczynę na brzeg. Półprzytomna Irène otworzyła oczy i ujrzała nad sobą uśmiechniętą twarz Ismaela.

– Żyjemy – szepnął.

Irène zamknęła powieki całkiem wyczerpana.

Ismael raz jeszcze uniósł wzrok i spojrzał na rozgrywające się w tej chwili widowisko świateł brzasku nad ścianą lasu i klifem. Nigdy w życiu nie widział nic równie pięknego. A później wyciągnął się obok Irène na białym piasku i pozwolił, by wreszcie zmogło go zmęczenie. Z tego snu nic nie mogło ich zbudzić. Po prostu nic.

11. Twarz skryta pod maską

Gdy Irène się obudziła, zobaczyła wpatrujące się w nią nie bez ciekawości czarne oczka. Wzdrygnęła się, a spłoszona mewa wzbiła się do lotu. Irène poczuła, że ma popękane i obolałe wargi, zeszywniałe mięśnie. Piekła ją skóra na całym ciele. Była kompletnie wycieńczona, a w głowie miała pustkę. Ogarnęły ją mdłości, kręciło jej się w głowie. Gdy próbowała wstać, zdała sobie sprawę, że jej skórę palą promienie słońca. W ustach poczuła nagły gorzki smak. Niewyraźny obraz niewielkiej zatoczki pośród skał zawirował jej w oczach niczym karuzela. Nigdy nie czuła się tak źle.

Położyła się z powrotem i dopiero w tym momencie dostrzegła leżącego obok Ismaela. W pierwszym odruchu pomyślała, że chłopak nie żyje, ale na szczęście usłyszała jego przyspieszony oddech. Przetarła oczy, usiłując jak najszybciej dojść do siebie, po czym przyłożyła dłoń do szyi Ismaela. Udało jej się wyczuć puls. Irène pogładziła chłopca po twarzy. Chwilę później otworzył oczy.

– Wyglądasz okropnie – wymamrotał, uśmiechając się z wysiłkiem.

– Szkoda, że siebie nie możesz zobaczyć – odparła dziewczyna.

Wstali i niczym dwoje rozbitków wyrzuconych na brzeg przez sztorm chwiejnym korkiem schronili się w cieniu resztek pnia, który zwałił się na klif. Mewa czuwająca nad ich snem znów przysiadła na

piasku, ciekawa dalszego ciągu tej historii.

– Która może być godzina? – zapytała Irène, starając się ignorować pulsujący w skroniach ból.

Ismael wyciągnął ku niej rękę z zegarkiem. Pod szkiełkiem chlupotała woda, a urwany sekundnik wyglądał jak skamieniały węgorz w akwarium. Chłopak zrobił daszek z dłoni i spojrzał na słońce.

– Południe już minęło.

– Jak długo spaliśmy? – zapytała.

– Za krótko – odparł Ismael. – Jeśli o mnie chodzi, mógłbym spać przez cały tydzień.

– Nie mamy na to czasu – ponagliła go Irène.

Ismael przytaknął i zaczął bacznie przyglądać się skałom, szukając sposobu, żeby się stąd wydostać.

– Ciężka sprawa. Ja znam tę lagunę tylko od strony morza... – zaczął.

– A co jest za tymi skałami?

– Las, przez który wczoraj uciekaliśmy.

– Więc na co czekamy?

Ismael nie odrywał wzroku od klifu. Przed nimi wznosiła się stroma kamienna skała. Pokonanie jej wymagało czasu, nie mówiąc już o tym, że po drodze mogła ich spotkać niejedna bolesna lekcja z prawa ciężenia, grożąca połamaniem kości. W oczach mignął mu obraz jajka roztrzaskującego się o ziemię. „Świetne zakończenie”, pomyślał.

– Umiesz się wspinać? – zapytał Ismael.

Irène wzruszyła ramionami. Chłopak rzucił okiem na jej bose stopy całe w piasku, na niczym nieosłonięte ramiona i nogi...

– Uprawiałam w szkole gimnastykę i całkiem nieźle sobie radziłam ze wspinaniem po linie – odparła. – To chyba coś podobnego.

Ismael westchnął. Kłopotów, miast ubywać, ciągle przybywało.

* * *

Przez kilka sekund Simone Sauvelle znowu miała osiem lat. Znowu ujrzała owe srebrzysto-miedziane światła kreślące kapryśne pasemka dymu. Znowu poczuła intensywny zapach topiącego się wosku, usłyszała rozchodzące się w półmroku szepty, ujrzała hipnotyczny taniec setek płomyków nad świecami w owym pałacu pełnym tajemnic i czarów, jednym z najintensywniejszych wspomnień z dzieciństwa – w katedrze Saint Étienne. Ale magiczna chwila trwała zaledwie kilka sekund. Potem czar prysł.

W miarę jak jej zmęczone oczy przyzwyczajały się do otaczającego ją półmroku, Simone uświadamiała sobie, że świece palą się, owszem, ale nie w żadnej kaplicy, że tańczące na ścianach plamy światła to tylko stare fotografie, a docierające do jej uszu szepty rozlegają się jedynie w jej głowie. Wnet pojęła, że nie znajduje się w Domu na Cyplu i że nigdy przedtem tu nie była. Usiłowała uporządkować w pamięci przebieg ostatnich godzin. Pamiętała rozmowę z Lazarusem na ganku. Pamiętała,

że przygotowała sobie przed spaniem kubek ciepłego mleka, i pamiętała ostatnie słowa z książki, którą czytała do poduszki.

Potem zgasiła światło. Jak przez mgłę przypomniła sobie, że chyba śniły jej się krzyki dziecka, a później że nagle przebudziła się w środku nocy pośród biegających po ścianie cieni. Wszystko inne w jej pamięci jawiło się jak kreski niedokończonego rysunku. Pod palcami poczuła bawełnianą tkaninę. Ze zdziwieniem stwierdziła, że wciąż jest w koszuli nocnej. Wstała i zbliżyła się do ściany, w której odbijało się światło wielu białych świec powtykanych starannie w ramiona świeczników obrosłych strużkami zastygłego wosku.

Słysząc było syk płomyków. To właśnie ten dźwięk skojarzył jej się wcześniej z szepczącymi głosami. Na widok złocistej aureoli płonących świec zaczęła odzyskiwać pamięć. Wspomnienia wracały jej jedno po drugim niczym pierwsze krople deszczu o świcie. W tym momencie struchlała ze strachu.

Przypomniła sobie lodowaty dotyk niewidzialnych dłoni ciągnących ją gdzieś przez noc. Przypomniła sobie głos szepczący jej do ucha i swoje daremne próby wyrwania się ze snu obezwładniającego każdy miesiąc. Przypomniła sobie przelewającą się czarną magmę, która unosiła ją przez las. Przypomniła sobie, jak ów cień nie z tego świata wymówił jej imię, a ona, sparaliżowana strachem, zrozumiała, że nie jest to senna mara. Simone zamknęła oczy i gwałtownie zasłoniła sobie usta dłonią, by stłumić krzyk.

Natychmiast pomyślała o dzieciach. Co się dzieje z Irène i z Dorianem? Czy są w domu? Czy to widziadło porwało również jej dzieci? Każda próba odpowiedzi przynosiła jedynie coraz większy strach i rozdzierający ból. Rzuciła się w kierunku drzwi i zaczęła się z nimi mocować, krzycząc i jęcząc, póki nie pokonały jej zmęczenie i rozpacz. Stopniowo chłodny spokój przywrócił ją do rzeczywistości.

Zrozumiała, że została uwięziona. Ten, kto porwał ją w środku nocy, zamknął ją w tym miejscu. Przypuszczalnie porwał też jej dzieci. I nie czas było teraz zastanawiać się, czy zranił je lub wyrządził im krzywdę. Jeśli chciała coś dla nich zrobić, musiała za wszelką cenę unikać popadania w panikę i zacząć panować nad swoimi myślami. Powtarzając sobie te słowa, Simone zacisnęła pięści. Nie otwierając oczu, zaczęła głęboko oddychać; poczuła, jak serce powoli odzyskuje swój normalny rytm.

Po jakimś czasie otworzyła oczy i rozejrzała się uważnie po pokoju. Im szybciej zrozumie, co takiego się dzieje i o co w tym wszystkim chodzi, tym szybciej będzie można stąd wyjść i ruszyć na pomoc Irène i Dorianowi.

Najpierw jej wzrok padł na małe, skromne meble. Zwyczajne, rzecz by się chciało, biedne mebelki. Znajdowała się w dziecięcym pokoju, ale intuicja podpowiadała jej, że już od dawna nie mieszkało w nim żadne dziecko. Z każdego zakamarka tego miejsca emanowała starość. Simone usiadła na łóżeczku i rozejrzała się raz jeszcze po pokoju. Brakowało w

nim niewinności. Wyczuwało się tu jedynie mrok. Zło.

Powolna trucizna strachu zaczęła krążyć w jej żyłach, ale Simone, ignorując to uczucie, wzięła jeden ze świeczników i podeszła do ściany. Bezlik fotografii i wycinków prasowych tworzył kolaż, którego kraniec ginął w półmroku. Odniosła wrażenie, że wszystkie one zostały rozmieszczone na ścianie według jakiegoś klucza. Ponure muzeum wspomnień rozkładało się przed jej oczyma niczym wachlarz. Wycinki aż się prosiły, by każdemu z osobna i wszystkim razem nadać jakiś sens. Jakby były głosem z dalekiej przeszłości błagającym o wysłuchanie. Simone zbliżyła świecznik do ściany i pozwoliła, by przed jej oczami popłynął strumień fotografii, rycin i słów.

Spośród dziesiątków wycinków wyłowiła wzrokiem znajome nazwisko: Daniel Hoffmann. Na widok tych słów pamięć Simone przebudziła się błyskawicznie. Tajemnicza postać z Berlina. Korespondencję od niego miała przekazywać do rąk własnych Lazarusa, fabrykant zabawek uczył ją na to od samego początku. Sam zaś, jak przekonała się kiedyś przypadkiem, wrzucał jego listy w ogień. Coś jednak szwankowało w całej tej historii. Mężczyzna będący bohaterem tych notatek nie mieszkał wcale w Berlinie i w dodatku, sądząc z daty ich publikacji, dziś musiałby być w wieku nieprawdopodobnie sędziwym. Zaintrygowana Simone zaczęła czytać teksty notek.

Hoffmann z jednego z wycinków był człowiekiem bogatym, bajecznie bogatym. Kolejna notatka, umieszczona kilka centymetrów

dalej, informowała o pożarze w fabryce zabawek. Hoffmann zginął w płomieniach. Ogień strawił budynek na oczach tłumu świadków tego ǐście dantejskiego widowiska. Wśród nich ósmioletni chłopiec spoglądał w obiektyw przerażonym wzrokiem.

To samo spojrzenie zobaczyła na innej fotografii. Tym razem towarzysząca jej notka dotyczyła historii dziecka, które spędziło siedem dni zamknięte w piwnicy, zupełnie samo w przeraźliwych ciemnościach. Uwolnili je policjanci, którzy znaleźli przedtem zwłoki matki w mieszkaniu. Twarz chłopca, który miał około siedmiu, ósmiu lat, mimo ogromnego lęku w oczach pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

Ciarki przeszły jej po plecach, kiedy kawałki owej mrocznej łamigłównki zaczęły składać się w całość. Zbliżyła twarz do kolejnych fragmentów, które przyciągały ją z hipnotyczną mocą. Wycinki uporządkowano chronologicznie. Wiele z nich opowiadało o postaciach, o których Simone w życiu nie słyszała. Jej szczególną uwagę zwróciła dziewczyna niezwyklej urody, Alexandra Alma Maltisse, dziedziczka stalowych potentatów, którą magazyn z Marsylii opisywał jako narzeczoną młodego i wielce utalentowanego inżyniera, konstruktora zabawek Lazarusa Janna. Obok tego wycinka znajdował się cykl zdjęć ukazujących olśniewającą parę przekazującą w darze zabawki jednemu z sierocińców na Montparnassie. Oboje promienieli radością. „Postanowiłem sobie solennie, że każde dziecko w tym kraju, niezależnie od swojej sytuacji, będzie miało przynajmniej jedną

zabawkę”, mówił inżynier.

Kolejna notka dotyczyła ślubu Lazarusa Janna i Almy Maltisse. Oficjalne zdjęcie zaręczynowe zrobiono u podnóża schodów Cravenmoore.

Młody, tryskający energią Lazarus obejmował swoją narzeczoną. Tego obrazka jak ze snu nie mąciła ani jedna chmurka. Przedsiębiorczy inżynier nabył właśnie luksusową posiadłość, w której zamierzał osiaść ze swoją małżonką. Wiadomość ilustrowały liczne zdjęcia Cravenmoore.

Kolaż zdjęć i notek prasowych wydawał się ciągnąć bez końca i nieustannie przybywało w nim wydarzeń i postaci. Simone zatrzymała się i wróciła do początku. Zagubiona i przerażona twarz tego chłopca nie dawała jej spokoju. Spojrzała głęboko w jego zrozpaczone oczy. Powoli zaczęła rozpoznawać to samo spojrzenie, które obudziło w niej tyle nadziei, dzięki któremu zaczęła marzyć o nowej przyjaźni. Nie patrzył na nią żaden Jean Neville, o którym opowiedział jej kiedyś fabrykant zabawek. Znała te oczy, znała je bardzo dobrze. Patrzył na nią Lazarus Jann.

Jej serce ścisnął nagły smutek. Westchnęła głęboko i zamknęła oczy. Z jakiegoś powodu, jeszcze zanim za jej plecami rozległ się głos, wiedziała, że w pokoju jest ktoś jeszcze.

* * *

Kiedy Ismael i Irène dotarli na szczyt klifu, było już późne popołudnie. Po karkołomnej wspinaczce pozostały im bolesne zranienia i niezliczone otarcia na ramionach i nogach. Musieli zapłacić tę cenę za przejście wzbronioną ścieżką. Ismael spodziewał się, że droga będzie trudna, ale rzeczywistość przerosła jego najśmielsze wyobrażenia. Był pełen podziwu dla Irène, która ani razu nie poskarżyła się na ból, w dodatku wykazała się niespotykaną wprost odwagą.

Wspinała się po skałach, po których nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się wspiąć. Kiedy wreszcie stanęli na skraju lasu, Ismael bez słowa przytulił ją do siebie. Nie wystarczyłoby wody w całym oceanie, żeby ugasić ogień, który tlił się w tej dziewczynie.

– Zmęczona?

Nie mogąc złapać tchu, Irène pokręciła głową.

– Mówił ci już ktoś, że jesteś najbardziej upartą istotą na całej planecie?

Dziewczyna uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Nie znasz jeszcze mojej matki.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pociągnęła go za rękę w stronę lasu. Za ich plecami ziała groźna przepaść, a na jej dnie połyskiwało morze.

Gdyby wcześniej ktoś powiedział mu, że zdoła wspiąć się po tych skałach, nie uwierzyłby za nic w świecie. Natomiast jeśli chodzi o Irène, od dziś gotów był uwierzyć we wszystko.

* * *

Simone powoli odwróciła się ku cieniom. Czuła obecność intruza; mogła nawet usłyszeć szmer jego urywanego oddechu, ale nie mogła go zobaczyć. Poświata płomieni odbijała się od nieprzeniknionego halo, poza którym pokój przeistaczał się w rozległą scenę pozbawioną głębi. Simone usiłowała przeniknąć wzrokiem półmrok skrywający gościa. Zawładnął ją dziwny spokój, odzyskała zaskakującą jasność myśli. Jej zmysły zdawały się odbierać każdy, najmniejszy choćby szczegół z porażającą precyzją. Umysł jej rejestrował każdy ruch powietrza, najśłabszy dźwięk, najmniejszy błysk światła. I tak chroniona przez ów dziwny stan spokoju milczała, stojąc na wprost ciemności i czekając, aż gość da jakiś znak.

– Nie spodziewałem się pani tutaj – wreszcie rozległ się głos w ciemnościach, głos słaby, daleki. – Boi się pani?

Simone przecząco pokręciła głową.

– I słusznie. Nie powinna się pani bać. Nie powinna pani czuć strachu.

– Nie ma pan zamiaru wyjść z ukrycia, panie Lazarusie?

Po jej pytaniu zapadła cisza. Oddech Lazarusza stał się głośniejszy.

– Wolę pozostać tu, gdzie jestem – odparł wreszcie.

– Dlaczego?

W półmroku coś błysnęło. Iskierka, niedostrzegalny prawie odblask.

– Może pani spocznie, madame Sauvelle?

– Dziękuję, postoję.

– No cóż, skoro tak pani wygodniej – skwitował mężczyzna, po czym znów zamilkł na chwilę. – Niewątpliwie zastanawia się pani, co takiego się wydarzyło?

– Między innymi – ucięła Simone z lekką irytacją w głosie.

– Wobec tego może najprościej będzie, jeśli zada mi pani wszystkie nurtujące panią pytania, a ja spróbuję udzielić na nie odpowiedzi.

Simone prychnęła ze złością.

– Mam tylko jedno pytanie: gdzie jest wyjście? – syknęła.

– Obawiam się, że akurat na to pytanie nie mogę właśnie odpowiedzieć. Jeszcze nie teraz.

– A dlaczego?

– To kolejne pytanie z listy?

– Gdzie jestem?

– W Cravenmoore.

– A jak się tu znalazłam i dlaczego?

– Ktoś panią sprowadził...

– Pan?

– Nie.

– Więc kto?

– Ktoś, kogo pani nie zna... chwilowo.

– Gdzie są moje dzieci?

– Nie wiem.

Simone z twarzą poczerwieniałą od złości skierowała się ku ceniom.

– Ty przeklęty bastardzie!...

Ruszyła w stronę, skąd dochodził głos. Jej oczy zdołały wypatrzeć sylwetkę siedzącą w fotelu. Lazarus. Ale w jego twarzy było coś dziwnego. Simone zatrzymała się.

– To maska – poinformował Lazarus.

– A po co maska? – zapytała, czując, że spokój, którego zaczęła doświadczać, gwałtownie się ulatnia.

– Maski ujawniają prawdziwą twarz kryjącej się za nimi osoby...

Simone starała się zapanować nad sobą. Poddanie się złości do niczego nie doprowadzi.

– Gdzie są moje dzieci? Proszę...

– Powiedziałem już. Nie wiem, madame Sauvelle.

– A co ze mną? Co pan zrobi ze mną?

Lazarus rozwarł jedną ze swych dłoni, okrytą satynową rękawiczką. Powierzchnia maski zaślniła znowu. To właśnie ten błysk Simone widziała przedtem.

– Nie wyrządę pani krzywdy. Nie musi się pani mnie bać, Simone. Proszę mi zaufać.

– Nie wydaje się panu, że ta prośba jest trochę nie na miejscu?

– Dla pani dobra. Usiłuję panią chronić.

– Przed kim?

– Niech pani spocznie, proszę.

– Co tu się, do diabła, dzieje? Dlaczego nie chce mi pan powiedzieć, co się tu dzieje?

Simone poczuła, że jej głos powoli zaczyna się łamać i przybierać dziecięce tony. Rozpoznając pierwsze objawy paniki, zacisnęła pięści i głęboko odetchnęła. Cofnęła się o kilka kroków i usiadła na jednym z krzeseł stojących wokół pustego stołu.

– Dziękuję – odezwał się cichutko Lazarus.

Kobieta w milczeniu uroniła łzę.

– Przede wszystkim chciałbym, żeby dowiedziała się pani, iż jest mi niewymownie przykro, że została pani w to wszystko wplątana. Nie sądziłem, że kiedykolwiek może dojść do czegoś takiego – oświadczył fabrykant zabawek.

– Dziecko o imieniu i nazwisku Jean Neville nigdy nie istniało, nieprawdaż? – spytała Simone. – To pan był tym dzieckiem. Historia, którą mi pan opowiedział... była prawdziwa po części i pokrywała się z pańskim własnym życiem.

– Widzę, że zapoznała się pani z moją kolekcją wycinków. Przypuszczalnie doprowadziło to panią do wysnucia paru interesujących, niemniej mylnych wniosków.

– Jedyne wnioski, które wysnułam, panie Jann, to że jest pan

chorym człowiekiem, potrzebującym pomocy. Nie wiem, jak zdołał mnie pan tu przynieść, ale zapewniam pana, że jeśli uda mi się stąd wyjść, skieruję swoje pierwsze kroki na posterunek żandarmerii. Porwanie jest czynem karalnym...

Natychmiast zdała sobie sprawę z groteskowości i absurdalności swoich własnych słów.

– Czy to znaczy, że ma pani zamiar złożyć wymówienie, madame Sauvelle?

Ta rzadka u Lazarusa ironiczna nutka wydała się Simone podejrzana. Jej pryncypał, na ile go znała, nigdy nie pozwoliłby sobie na taki komentarz. Choć na dobrą sprawę wcale go tak dobrze nie znała.

– Znaczy, co znaczy – odpowiedziała sucho.

– Świetnie. Wobec tego, zanim uda się pani na posterunek żandarmerii, czemu nie będę się przeciwstawiać, pozwoli pani, że uzupełnię o kilka niezbędnych szczegółów historię, którą z pewnością stara się pani uporządkować sobie w głowie.

Simone przyglądała się zimnej, pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu masce, porcelanowej twarzy, z której ust wydobywał się beznamiętny, jakby dochodzący z daleka głos. W oczach mogła dostrzec tylko ciemność.

– Sama się pani przekona, moja droga Simone, że jedyny morał, jaki można wysnuć z tej historii, tak jak i z każdej innej, brzmi: w prawdziwym życiu, w odróżnieniu od fikcji, nic nie jest tym, czym się

wydaje...

– Czy może mi pan coś przyrzec? – przerwała mu.

– O ile będzie to w mojej mocy...

– Proszę mi obiecać, że jeśli wysłucham pańskiej historii do końca, pozwoli mi pan stąd odejść z moimi dziećmi. Przysięgam, że nie zgłoszę się na policję. Zabiorę Irène i Dorianą i wyjedziemy z miasteczka. Znikniemy stąd na zawsze.

Maska przez jakąś chwilę nie odpowiadała.

– Naprawdę tego pani pragnie?

Przytaknęła, powstrzymując łzy.

– Rozczarowuje mnie pani, Simone. Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

– Błagam...

Maska zacisnęła pięść.

– No cóż. Jeśli tak bardzo chce pani być ze swoimi dziećmi, to oczywiście spełnię pani życzenie. W odpowiednim czasie...

* * *

– Pamięta pani swoją matkę, madame Sauvelle? W sercu wszystkich dzieci jest szczególne miejsce dla tych, które wydały je na świat. Maleńkie światełko, które nigdy nie gaśnie. Gwiazdka na firmamencie. A ja przez większość swego życia próbowałem zgasić to światełko. Całkowicie o nim zapomnieć. Ale nie jest to łatwe. Proszę mi

wierzyć. Mam nadzieję, że zanim osądzi mnie pani i wyda wyrok, wysłucha mnie pani do końca. Będę się streszczał. Dobre opowieści nie potrzebują zbyt wielu słów...

Przyszedłem na świat nocą dwudziestego szóstego grudnia tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego roku, w starej kamienicy w najciemniejszym zaułku paryskiej dzielnicy Les Gobelins. W ponurym, odpychającym miejscu, bez dwóch zdań. Czytała pani Victora Hugo, madame Sauvelle? Jeśli tak, to dobrze pani wie, co mam na myśli. Tam właśnie moja matka, której asystowała tylko sąsiadka Nicole, urodziła mnie. Panowało takie zimno, że nie byłem w stanie wydać swojego pierwszego krzyku. Wrzasnąłem dopiero po kilku minutach, rzecz niespotykana u noworodków. Moja matka w pierwszym momencie przekonana była, że urodziłem się martwy. Kiedy okazało się, że jednak żyję, nieszczęsna uznała to za cud i postanowiła, odwołując się do ewangelicznej opowieści o Łazarzu, dać mi na imię Lazarus.

Moje dzieciństwo jawi mi się w pamięci jako krzyki dochodzące z ulicy i ciągnące się w nieskończoność choroby mojej matki. Nicole brała mnie na kolana i tłumaczyła, że moja mama jest bardzo chora i nie może się mną zajmować, że powinienem być greczny i iść się bawić z innymi dziećmi na podwórku. Siedzenie na kolanach tej dobrej kobiety to jedno z moich pierwszych wspomnień. Sąsiadka miała na myśli grupę obdartych dzieciaków zebranych od wschodu do zachodu słońca, które przed ukończeniem siedmiu lat wiedziały już, że aby przeżyć w tej

dzielnicy, trzeba zostać albo policjantem, albo złodziejem. Chyba nie muszę wyjaśniać, która z możliwości wydawała im się atrakcyjniejsza.

Jedynym światełkiem nadziei, jakie pamiętam z tych mrocznych dni mojego dzieciństwa, był tajemniczy mężczyzna, główny bohater naszych marzeń. Nazywał się Daniel Hoffmann i dla nas wszystkich był symbolem fantazji, do tego stopnia, że wielu z nas w ogóle wątpiło w jego istnienie. Jak wieść głosiła, Hoffmann pojawiał się na ulicach Paryża w przeróżnych przebraniach, podając się za rozmaite postacie, by rozdawać ubogim dzieciom zabawki, które sam konstruował w swojej fabryce. Wszystkie paryskie dzieciaki słyszały o nim i marzyły, że kiedyś może szczęście się do nich uśmiechnie i spotkają Hoffmanna.

Był on władcą magii i wyobraźni. Fascynację jego osobą jedno tylko mogło pokonać: wiek. W miarę jak dzieciaki dorastały, a siła ich wyobraźni zanikała, nazwisko fabrykanta zabawek powoli zacierало się w ich pamięci. Wreszcie przychodził taki dzień, kiedy słysząc z ust własnych dzieci jego imię i nazwisko, nie potrafiły przypomnieć sobie, o kim mowa...

Nie było potężniejszego producenta zabawek od Daniela Hoffmanna. Był właścicielem wielkiej fabryki w Les Gobelins. Swoim wyglądem przypominała ogromną katedrę wznoszącą się pośród mroków tej posepnej, najeżonej niebezpieczeństwami dzielnicy nędzy. Wyrastająca z samego centrum budynku strzelista wieża wbijała się w chmury. Codziennie o świcie i o zmierzchu rozlegało się z niej bicie

dzwonów. Ich echo niosło się po całym mieście. Wszystkie dzieciaki w dzielnicy znały ten budynek, dorośli jednak nie mogli go zobaczyć, przekonani, że na tym terenie rozciąga się bagno, nieprzebyte ugory w samym sercu mrocznej metropolii.

Nikt nie znał prawdziwej twarzy Daniela Hoffmanna. Ponoć konstruktor zajmował najwyższe piętro na wieży, z której wychodził tylko i wyłącznie po to, by w przebraniu przechadzać się o zmierzchu po ulicach Paryża i rozdawać zabawki doświadczonym przez los dzieciom. W zamian żądał od dzieciaków tylko jednego: obietnicy wiecznej miłości i bezgranicznego posłuszeństwa. Każde dziecko bez wahania oddałoby mu swoje serce. Nie wszystkie jednak miały szczęście go rozpoznać. Opowiadano, że miał do dyspozycji setki przebrań i masek, pod którymi się ukrywał. Byli nawet tacy, którzy twierdzili, iż Daniel Hoffmann nigdy nie używał dwa razy tego samego przebrania.

Wróćmy jednak do mojej matki. Choroba, o której mówiła Nicole, wciąż jest dla mnie tajemnicą. Skłonny jestem twierdzić, że niektórzy ludzie, podobnie jak niektóre zabawki, przychodzą na świat ze skazą. W pewnym stopniu jesteśmy podobni do zepsutych zabawek, nie sądzi pani? W każdym razie przypadłość mojej matki skończyła się stopniową utratą władz umysłowych. Kiedy ciało choruje, także i umysł zaczyna niedomagać. Samo życie.

W ten oto sposób dorastałem, mając samotność za jedynego towarzysza. Podobnie jak inne dzieci, marzyłem, że któregoś dnia sam

Daniel Hoffmann przyjdzie mi z pomocą. Pamiętam, że co noc, zanim poszedłem spać, modliłem się do mojego anioła stróża, by fabrykant zabawek pojawił się na mej drodze. Modliłem się o to co noc. Myślę, że to właśnie za sprawą opowieści o Hoffmannie zacząłem sam konstruować zabawki.

Używałem do tego odpadów znajdujących na śmietnikach. Tak zbudowałem swój pierwszy pociąg i swój pierwszy trzypiętrowy zamek. Po nich zrobiłem jeszcze kartonowego smoka i maszynę latającą, a proszę pamiętać, że wtedy aeroplany nie były tak powszechnym widokiem jak dziś. Ale moją ulubioną zabawką był Gabriel. Anioł. Cudowny anioł, którego zrobiłem własnymi rękami, by chronił mnie przed ciemnością i niebezpieczeństwami losu. Skonstruowałem go z prasownicy i najprzeróżniejszego żelastwa, które zdobyłem w opuszczonej tkalni dwie ulice od domu. Jednak żywot Gabriela, mojego anioła stróża, był krótki.

Tego samego dnia, kiedy matka odkryła mój arsenał zabawek, Gabriel został skazany na śmierć.

Matka zawlokła mnie do piwnicy i tam, rozglądając się nerwowo dookoła, jakby w obawie, że ktoś czai się w ciemności, wyjaśniła mi szeptem, iż we śnie przemówił do niej tajemniczy głos. Ów głos wyjawiał jej następujący sekret: otóż zabawki, wszystkie zabawki, były wynalazkiem samego Lucyfera, który zamierzał posłużyć się nimi po to, by doprowadzić do zguby dzieci z całego świata. Tej samej nocy Gabriel

wraz z resztą moich zabawek wylądował w płomieniach piecyka.

Musiałem być świadkiem tego wydarzenia, sam upewnić się, że spłonęły do cna. Moja matka bardzo na to nalegała. Mówiła, że w przeciwnym razie cień mojej przeklętej duszy przyjdzie po mnie. Na ten cień składały się wszystkie plamy na moim honorze, moje złe uczynki i słabości. Według jej słów ten cień nie odstępował mnie na krok – mroczne odbicie tego, jak bezlitośnie się do niej odnosiłem, jak podle postępowałem.

Miałem wtedy zaledwie siedem lat.

W tym samym mniej więcej czasie choroba mojej matki się nasiliła. Zaczęła zamykać mnie w piwnicy, gdzie jej zdaniem cień nie mógł mnie odnaleźć. Podczas tych długich godzin spędzonych w piwnicy powstrzymywałem oddech, obawiając się, że usłyszy mnie cień, to przekłete odbicie grzesznej duszy, i zabierze mnie ze sobą prosto do piekła. Pewnie to wszystko wydaje się pani śmieszne, a w najlepszym razie smutne, madame Sauvelle, ale dla takiego małego chłopca był to koszmar; koszmar, który musiał przeżywać codziennie.

Nie będę pani zanudzać, mnożąc ponure szczegóły. Dość powiedzieć, że któregoś dnia, po tym jak po raz kolejny zostałem zamknięty w piwnicy, moja matka ostatecznie postradała zmysły, a ja spędziłem cały tydzień uwięziony w ciemnościach. Pewnie już pani przeczytała wycinek na ten temat. To jedna z tych wiadomości, które dziennikarze z upodobaniem zamieszczają na pierwszych stronach gazet.

Złe wieści, zwłaszcza zaś te odrażające i makabryczne, otwierają z zadziwiającą skutecznością portfele czytelników. Mogę chyba śmiało zaryzykować twierdzenie, iż zastanawia się pani, co robi dziecko przez siedem dni i siedem nocy w ciemnej piwnicy.

Śmiem sądzić, iż nie wie pani, że człowiek przez parę godzin pozbawiony światła traci poczucie czasu. Godziny stają się minutami, sekundami. A może być, że i tygodniami. Czas i światło są ze sobą ściśle powiązane. W moim przypadku najistotniejsze jest, że w tym czasie wydarzyło się coś zupełnie nadzwyczajnego. Cud. Drugi cud w moim życiu, na dobrą sprawę, po tych kilku minutach zawieszenia między życiem a śmiercią, tuż po moim przyjściu na świat.

Moje błagania zostały wysłuchane. Nie na darmo modliłem się tak żarliwie. Być może to tylko szczęście, być może przeznaczenie...

Odwiedził mnie Daniel Hoffmann. Przyszedł właśnie do mnie. Spośród całej paryskiej dzieciarni tej nocy to ja zostałem jego wybrańcem. Wciąż mam w uszach to delikatne pukanie w kratkę wychodzącego na ulicę otworu wentylacyjnego. Był dla mnie za wysoko, ale głosowi, który stamtąd dobiegał, mogłem odpowiedzieć. W życiu nie słyszałem równie łagodnego i cudownego głosu. Głosu, który rozpraszał ciemności i sprawiał, że strach biednego dzieciaka zniknął jak śnieg w promieniach słońca. I nie uwierzy pani, ale Daniel Hoffmann zawołał mnie po imieniu.

A ja otworzyłem mu drzwi swego serca. I w tym momencie

piwnica rozbłysła niezwykłym światłem, i zjawił się w niej Hoffmann w olśniewającym białym stroju. Brak mi słów, pani Simone. To był anioł, prawdziwy świetlisty anioł. Nigdy nie widziałem kogoś, kto otoczony byłby tak niezwykłą aurą piękna i spokoju.

Tamtej nocy, mając Daniela Hoffmanna równie blisko, jak mam dziś panią, odbyłem z nim długą rozmowę. Nie musiałem opowiadać mu o Gabrielu i o innych moich zabawkach – wiedział o wszystkim. Muszę pani powiedzieć, że Hoffmann był w ogóle świetnie poinformowany. Znał wszystkie opowieści o cieniu, którymi zadręczała mnie moja matka. Wszystkie, co do jednej. Wyznawszy mi, że ten cień naprawdę mnie przerażał, poczułem ulgę. Nawet sobie pani nie wyobraża, ile współczucia było w tym człowieku. Cierpliwie wysłuchał tego wszystkiego, co mi się przydarzyło. Czułem, jak bliski mu jest mój ból i moje cierpienie. Szczególnie dobrze zaś rozumiał najstraszliwszy z moich lęków: cień. Mój własny cień, tego złowrogiego ducha, który nie odstępował mi na krok i brał na siebie całe zło, jakie we mnie było...

To Daniel Hoffmann wskazał mi, co powinienem zrobić. Proszę postawić się w mojej sytuacji, do tej pory byłem tylko biednym ignorantem. Co ja mogłem wiedzieć o cieniach? Co mogłem wiedzieć o tych tajemniczych duchach nawiedzających ludzi w snach, by mówić o przeszłości i przepowiadać przyszłość? Nic a nic.

Ale on wiedział. Wiedział wszystko. I gotów był mi pomóc.

Tamtej nocy Daniel Hoffmann ukazał mi przyszłość. Powiedział,

że przeznaczone mi jest zostać dziedzicem jego imperium. Wyjaśnił mi, że pewnego dnia przejmę całą jego wiedzę, całą jego sztukę, a otaczający mnie świat nędzy zniknie na zawsze. Ofiarował mi przyszłość, o której nawet nie śmiałem marzyć. Wielką przyszłość. Ja nie wiedziałem, co to jest. A on mi to podarował. W zamian prosił mnie tylko o jedno. O małe, nieznaczące przyrzeczenie. Miałem oddać mu swoje serce. Tylko jemu i nikomu więcej.

Fabrykant zabawek zapytał mnie, czy rozumiem, co to znaczy. Bez wahania odpowiedziałem mu, że rozumiem. Że bez namysłu oddam mu swoje serce. Był jedynym człowiekiem, który nie potraktował mnie źle. Jedynym człowiekiem, dla którego coś znaczyłem. Powiedział mi, że jeśli tylko tego pragnę, bardzo szybko opuszczę to miejsce, że nigdy nie wrócę do tego domu, do tej dzielnicy i że nigdy już więcej nie zobaczę swojej matki. I wreszcie powiedział mi rzecz najważniejszą: że już nigdy nie będę musiał bać się cienia. Jeśli zrobię to, o co mnie prosi, czeka mnie świetlana przyszłość.

Zapytał, czy mu ufam. Przytaknąłem. Wówczas wyjął kryształowy flakonik, niewiele różniący się zapewne od pani flakoników z perfumami. Uśmiechając się, wyciągnął korek. Na moich oczach stało się coś niesamowitego. Mój cień, moje odbicie na ścianie, zmienił się w tańczącą plamę. W chmurę ciemności, która została wessana do flakonika i na zawsze uwięziona w jego wnętrzu. Daniel Hoffmann zatkał naczynie i podał mi je. Kryształ był zimny jak lód.

Wytłumaczył mi, że od tej pory moje serce należy do niego i że niebawem wszystkie moje problemy znikną, o ile nie złamię przyrzeczenia. Powiedziałem mu, że nie mógłbym tego zrobić. Uśmiechnął się do mnie sympatycznie i wręczył mi prezent. Kalejdoskop. Poprosił mnie, bym zamknął oczy i z całych sił pomyślał o czymś, czego pragnę najbardziej na świecie. Zacisnąłem powieki, a on ukląkł przede mną i pocałował mnie w czoło. Kiedy otworzyłem oczy, już go nie było.

Tydzień później policja, po otrzymaniu sygnału od anonimowego informatora o tym, co dzieje się w moim domu, uwolniła mnie z mojego piwnicznego więzienia. Moja matka nie żyła...

Kiedy prowadzono mnie do komisariatu, wokół nas zaroilo się od wozów strażackich. W powietrzu czuć było swąd spalenizny. Policjanci, z którymi szedłem, zbczyli z drogi i wtedy to zobaczyłem: wznosząca się na horyzoncie fabryka Daniela Hoffmanna stała w płomieniach najstraszliwszego pożaru, jaki kiedykolwiek wybuchł na ulicach Paryża. Ludzie, którzy nigdy wcześniej nie zwrócili na nią uwagi, stali teraz i patrzyli na ogień trawiący świątynię zabawek. I wszyscy wówczas przypomnieli sobie imię i nazwisko bohatera swoich dziecięcych marzeń, Daniela Hoffmanna. Pałac władcy imperium płonął...

Płomienie i kłęby czarnego dymu biły w niebo przez trzy dni i trzy noce, jakby bramy piekieł rozwarły się w samym sercu miasta. Byłem tam i widziałem to na własne oczy. Dopiero po paru dniach, kiedy z

budynku ogromnej fabryki pozostały już tylko zgliszcza, gazety zamieściły o tym informację.

Z czasem odpowiednie władze odnalazły jakiegoś dalekiego krewnego mojej matki, który podjął się trudu wychowania mnie. Przeprowadziłem się do mojej nowej rodziny w Cap d'Antibes. Tam dorastałem, tam chodziłem do szkoły. Wiodłem normalne życie. Szczęśliwe. Dokładnie takie, jakie obiecał mi Daniel Hoffmann. Nawet pozwoliłem sobie, na własny użytek, zmodyfikować nieco swój życiorys: zresztą opowiedziałem pani kiedyś tę historię.

W dniu osiemnastych urodzin otrzymałem list. Wysłano go z Montparnasse'u. Na stemplu pocztowym widniała data sprzed ośmiu lat. Mój stary przyjaciel donosił mi, że kancelaria notarialna niejakiego Gilberta Travanta w Fontainebleau jest w posiadaniu aktu własności rezydencji na wybrzeżu Normandii. W dniu osiągnięcia pełnoletności stawałem się jej właścicielem. List podpisany był inicjałem „D”.

Ale musiało upłynąć kilka lat, zanim osiadłem w Cravenmoore. Zdaniem moich wykładowców byłem wielce obiecującym inżynierem. Moje projekty zabawek przewyższały wszystko, co zaprojektowano do tej pory. Szybko zrozumiałem, że nadszedł wreszcie czas, by uruchomić własną fabrykę. W Cravenmoore oczywiście. Wszystko toczyło się zgodnie z nakreśloną mi przez Daniela Hoffmanna wizją przyszłości. Wszystko. Dopóki nie zdarzył się wypadek. Stało się to trzynastego lutego w Porte de Saint Michel. Nazywała się Alexandra Alma Maltisse i

była najpiękniejszą istotą na świecie.

Przez te wszystkie lata przechowywałem starannie ów flakonik, który Daniel Hoffmann przekazał mi w piwnicy przy rue des Gobelins. Przez cały czas był równie zimny jak owej pierwszej nocy. Sześć miesięcy później złamałem przyrzeczenie złożone Danielowi Hoffmannowi i oddałem swoje serce tej dziewczynie. Ożeniłem się z nią. Był to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. W noc przed ślubem, który miał się odbyć w Cravenmoore, udałem się na skalisty cypel, wziąwszy z sobą flakonik z moim cieniem. I tam, skazując go na wieczne zapomnienie, rzuciłem w ciemną kipieli.

Jak już mówiłem, nie dotrzymałem obietnicy...

* * *

Słońce zaczęło się powoli chylić ku zachodowi, kiedy Ismael z Irène zobaczyli wreszcie przebijającą zza drzew tylną elewację Domu na Cyplu. Zdawało się, że zmęczenie, które dotąd odczuwali, opuściło ich teraz, jakby w oczekiwaniu na odpowiedniejszy moment, by znienacka znów ich dopaść. Ismael słyszał o tym dziwnym zjawisku, o rodzaju specyficznego oddechu, jaki łapali sportowcy, przekraczając próg skrajnego zmęczenia. Od tego momentu ciało potrafiło podążać dalej bez oznak wyczerpania. Rzecz jasna, dopóki ostatecznie nie odmówiło posłuszeństwa. Kiedy było już po wszystkim, zmęczenie znów dawało o sobie znać. Pożyczka od mięśni, by tak rzec.

– O czym myślisz? – zapytała Irène na widok zafrapowanej miny chłopca.

– O tym, że coś bym zjadł.

– Ja też jestem głodna. To dziwne.

– Wręcz przeciwnie. Nic tak nie zaostrza apetytu jak porządny strach – zażartował Ismael.

Wydawało się, że w Domu na Cyplu panuje spokój, nie było śladu jakichkolwiek nieproszonych gości. Dwie girlandy suszącego się prania powiewały na wietrze. Ismael spojrzął kątem oka na coś, co bez wątplenia było bielizną Irène. Przed oczyma stanął mu obraz dziewczyny w samej tylko bieliźnie.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Irène.

Chłopak przełknął ślinę i przytaknął.

– Jestem tylko głodny i zmęczony. Poza tym wszystko w porządku.

Irène posłała mu tajemniczy uśmiech. Ismaelowi przyszło do głowy, że być może wszystkie kobiety posiadły umiejętność czytania w myślach, po chwili uznał jednak, że z pustym żołądkiem lepiej nie zagłębiać się w podobne rozważania.

Dziewczyna spróbowała otworzyć tylne drzwi do domu, ale stwierdziła, że ktoś zamknął je od wewnątrz. Uśmiech na jej twarzy natychmiast ustąpił miejsca grymasowi zdziwienia.

– Mamo? Dorian? – zawołała, cofając się i przyglądając oknom z wyższego piętra.

– Spróbujmy od frontu – zaproponował Ismael.

Irène poszła za nim, okrążając dom aż do ganku. Nagle stanęli jak wryci przed rozciągającym się u ich stóp dywanem szklanych odłamków. Ich oczom ukazały się zniszczone drzwi i powybijane okna. Na pierwszy rzut oka sprawiało to wrażenie, jakby eksplozja gazu wyrwała drzwi z zawiasów i rozbiła w drobny pył wszystkie szyby. Irène usiłowała powstrzymać rosnącą w żołądku kulę lodu. Bezskutecznie. Spojrzała przerażona na Ismaela i ruszyła w stronę wejścia. Powstrzymał ją bez słowa.

– Madame Sauvelle? – krzyknął z ganku.

Jego głos rozszedł się po całym domu. Ismael ostrożnie wszedł do środka i rozejrzał się. Irène poszła jego śladem. Tak ciężkiego westchnienia nigdy jeszcze z siebie nie wydała.

Określenie „dewastacja” do pewnego stopnia jedynie oddawało stan zniszczeń, w jakim zastali dom. Ismael nigdy dotąd nie widział efektów tornada, ale wyobraził sobie, że po przejściu straszliwej wichury zniszczenia są jednak znacznie mniejsze od tych, na które właśnie spoglądał.

– Mój Boże...

– Uważaj na szkło – ostrzegł chłopak.

– Mamo!

Krzyk potoczył się po całym domu niczym duch błakający się od pokoju do pokoju. Ismael, ani na chwilę nie puszczając Irène, podszedł

do schodów i spojrzął w górę.

– Wejdźmy tam – powiedziała dziewczyna.

Zaczęli wchodzić powoli, rozglądając się uważnie po tym wszystkim, co pozostawiła po sobie niewidzialna siła. Irène pierwsza dostrzegła brak drzwi w pokoju Simone.

– Niemożliwe! – wyszeptała.

Ismael szybko znalazł się na progu sypialni i zajrzał do środka. Pusto. Obeszli wszystkie pokoje na piętrze. Pusto wszędzie.

– Gdzie oni się mogli podziać? – spytała dziewczyna drżącym głosem.

– Nie mam pojęcia. Tu w każdym razie nikogo nie ma. Wracamy na dół.

Z tego, co zdążył zobaczyć, wyglądało na to, że w domu wywiązała się gwałtowna walka. Ale swoje spostrzeżenia i wnioski wolał na razie zachować dla siebie, tym bardziej że zaczęły w nim narastać ponure podejrzenia. Zszokowana wciąż Irène płakała u podnóża schodów. „Jeszcze trochę, a wpadnie w histerię”, pomyślał Ismael. Musiał szybko coś wymyślić, by temu zapobiec. W głowie zawirowała mu karuzela pomysłów. Co jeden, to gorszy. Nagle do ich uszu dotarł łomot. A po nim zapadła martwa cisza.

Irène uniosła głowę i zapłakanymi oczyma spojrzała pytająco na Ismaela, by się upewnić, czy on też słyszał ten hałas. Chłopak przytaknął, przykładając palec do ust. Krótkie metaliczne uderzenia

rozległy się ponownie w całym domu. Ismael zaczął się gorączkowo zastanawiać, co mu ten przytłumiony dźwięk przypomina. Coś w środku waliło o metal. A może ktoś. Rytmiczne walenie się powtórzyło. Ismael poczuł, jak pod stopami lekko wibruje mu podłoga. Jego wzrok zatrzymał się na zamkniętych drzwiach w korytarzu, który prowadził do kuchni.

– Co jest za tymi drzwiami?

– Schody do piwnicy... – odparła Irène.

Chłopak podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Znowu usłyszał łomot uderzeń. Nacisnął klamkę, ale ta była zablokowana.

– Jest tam kto? – krzyknął.

Z piwnicy dobiegł odgłos kroków stawianych na schodach.

– Uważaj – ostrzegła Irène.

Ismael cofnął się. Na chwilę stanął mu przed oczyma obraz wyłaniającego się z piwnicy anioła. Za drzwiami odezwał się słabo słyszalny, drżący głos. Irène dopadła do drzwi.

– Dorian!

W odpowiedzi głos wymamrotał coś niezrozumiałego.

Irène spojrzała na Ismaela i przytaknęła.

– To mój brat.

Chłopak na własnej skórze przekonał się, że wyważenie drzwi czy nawet ich rozwalenie jest przedsięwzięciem znacznie bardziej skomplikowanym, niż mogłoby to wynikać z seriali radiowych. Dobry

kwadrans zajęło im znalezienie w kuchennej spiżarni metalowego pręta i wyważenie nim drzwi. Ismael, zlany potem, cofnął się, a Irène zwięńczyła jego trud, jednym pchnięciem otwierając drzwi. Zamek, bezkształtna płatanina drzazg i pordzewiałego mechanizmu, spadł na podłogę. Chłopakowi ten widok przywiódł na myśl jeża.

Chwilę później z ciemności wyłonił się blady Dorian o stężącej ze strachu twarzy. Ręce mu drżały. Niczym przerażone zwierzątko wtulił się w ramiona siostry. Irène spojrzała na Ismaela. Widać było, że brat Irène ma za sobą potworne przeżycia. Dziewczyna uklękła przed nim i wytarła mu brudną, zlaną łzami twarz.

– Wszystko w porządku? – zapytała spokojnie, starając się sprawdzić, czy chłopak nie jest ranny lub potłuczony.

Dorian pokiwał głową.

– A wiesz, gdzie jest mama?

Podniósł głowę. W oczach widać było przerażenie.

– Dorian, to bardzo ważne. Gdzie jest mama?

– Zabrał ją ze sobą... – wymamrotał.

Ismael zastanawiał się, ile czasu chłopiec spędził w ciemnej piwnicy.

– Zabrał ją ze sobą... – powtórzył Dorian, jakby znajdował się w hipnotycznym transie.

– Kto ją zabrał? – spytała Irène z trzeźwym spokojem. – Kto zabrał mamę?

Dorian spojrział wpierw na siostrę, później na Ismaela i uśmiechnął się słabiutko, jakby pytanie, które usłyszał, było absurdalne.

– Cień – odparł. – Zabrał ją cień.

Ismael i Irène spojrzeli na siebie wymownie.

Dziewczyna westchnęła głęboko i położyła dłonie na ramionach brata.

– Dorianie, musisz zrobić coś bardzo ważnego. Rozumiesz?

Dorian przytaknął.

– Musisz pojechać do miasteczka na posterunek żandarmerii. Powiedz komisarzowi, że w Cravenmoore wydarzył się straszny wypadek. Że mama jest ranna. Niech przyjadą jak najszybciej. Zrozumiałeś?

Dorian przyglądał się siostrze zdezorientowany.

– Nie wspominaj o cieniu. Mów tylko to, co ci przed chwilą powiedziałam. To bardzo ważne. W przeciwnym razie nikt ci nie uwierzy. Powiedz tylko o wypadku.

Ismael przytaknął.

– Musisz to zrobić dla mamy i dla mnie. Rozumiesz?

Dorian spojrział na Ismaela, a później na swoją siostrę.

– Mama miała wypadek w Cravenmoore i jest ranna. Potrzebuje natychmiastowej pomocy – wyrecytował mechanicznie chłopak. – Ale mamie nic nie jest, prawda?

Irène uśmiechnęła się doń i przytuliła go.

– Kocham cię – szepnęła mu do ucha.

Dorian pocałował siostrę w policzek, pozdrowił Ismaela i ruszył na poszukiwanie swojego roweru. Znalazł go przy ganku. Prezent od Lazarusa był jedną wielką kupą złomu. Chłopak wpatrywał się w szczątki swojego roweru, podczas gdy Ismael i Irène, stanąwszy na ganku, zdumieni przyglądali się znalezisku.

– Komu się chciało tak rozwalać rower? – dziwił się Dorian.

– Pospiesz się lepiej, Dorianie – przynagliła go Irène.

Chłopak bez namysłu rzucił się biegiem. Irène i Ismael patrzyli z ganku, jak znika. Słońce powoli zanurzało się w zatoce niczym krwawy balon, barwiąc wody swoim szkarłatem. Oboje spojrzeli na siebie. Nie musieli nic mówić. Wiedzieli, co ich czeka za gęstwiną lasu, w samym sercu ciemności.

12. Doppelgänger

Nigdy przed ołtarzem nie stała piękniejsza panna młoda – powiedziała maska. – Nigdy.

Do uszu Simone docierał cichy lament świec płonących w półmroku i szept wiatru ocierającego się o zastępy gargulców strzegące wież Cravenmoore. Odgłosy nocy.

– Światło, które Alexandra wniosła w moje życie, usunęło z mej pamięci wszystkie bolesne wspomnienia dzieciństwa. Śmiem sądzić, że mało który śmiertelnik zdołał zaznać w życiu podobnego szczęścia i spokoju. W pewnym sensie przestałem być tym chłopakiem z najędźniejszej dzielnicy Paryża. Zapomniałem, co to znaczy być zamkniętym na długie godziny w ciemnościach. Wymazałem z pamięci tę piwnicę, gdzie zawsze wydawało mi się, że słyszę głosy, gdzie głos mojego sumienia przypominał mi o cieniu, który choroba mojej matki wypuściła z piekielnych czeluści. Prześladowający mnie latami koszmar wyгнаłem precz. W tym koszmarze z piwnicy naszego domu przy rue des Gobelins schody prowadziły wprost do Styksu. To wszystko należało już do przeszłości. A wie pani dlaczego? Dlatego że Alexandra Alma Maltisse, mój prawdziwy anioł, nauczyła mnie, że wbrew temu, co matka powtarzała mi przez całe dzieciństwo, nie jestem złym człowiekiem. Rozumie pani? Nie jestem złym człowiekiem. Że jestem taki jak inni. Jak cała reszta. Że jestem niewinny.

Głos Lazarusa zamilkł na chwilę. Simone wyobraziła sobie łzy płynące po zamaskowanej twarzy.

– Razem odkrywaliśmy Cravenmoore. Wiele osób sądzi, że to ja jestem autorem tego wszystkiego, co się tu znajduje, ale to nieprawda. Tylko znikoma część jest dziełem moich rąk. Cała reszta, te korytarze pełne cudów, których mechanizmów ja sam nie jestem w stanie do końca zrozumieć, już istniały, kiedy tu zamieszkałem. Nigdy się nie dowiem, od jak dawna się tu znajdują. Kiedyś byłem przekonany, że przede mną byli inni. Czasem, kiedy zatrzymuję się w nocy i zaczynam nasłuchiwać, wydaje mi się, że docierają do mnie echa innych głosów, innych kroków rozlegające się w korytarzach tego pałacu. Nieraz myślę, że czas zatrzymał się w każdym pokoju, w każdym pustym korytarzu i że wszystkie twory zamieszkujące to miejsce były niegdyś istotami z krwi i kości. Jak ja.

Już dawno przestałem się przejmować tymi tajemnicami i nie dziwiło mnie nawet to, że po miesiącach mieszkania w Cravenmoore ciągle jeszcze odkrywałem pomieszczenia, w których nigdy przedtem nie byłem, nowe korytarze prowadzące do nieznanych mi części... Wierzę, że są takie miejsca, nieliczne wielowiekowe pałace, będące czymś więcej niż zwykłą budowlą. Żywe, obdarzone duszą i mające swój szczególny sposób porozumiewania się z nami. Cravenmoore jest jednym z takich miejsc. Nikt nie wie, kiedy je wzniesiono. Kto je zbudował ani dlaczego. Ale kiedy ten dom do mnie mówi, zamieniam się

w słuch...

Późną wiosną tysiąc dziewięćset szesnastego roku, w pełnym rozkwicie naszego szczęścia, coś się wydarzyło. Prawdę mówiąc, zaczęło się to już rok wcześniej, ale ja nie miałem o tym pojęcia. Nazajutrz po naszym ślubie Alexandra wstała o świcie i udała się do salonu owalnego, żeby raz jeszcze nacieszyć oczy setkami prezentów ślubnych. Spośród wszystkich jej uwagę zwróciła szkatułka ręcznej roboty. Cacko. Zauroczona Alexandra otworzyła ją. W środku był bilecik i kryształowy flakonik. Na bileciku, adresowanym do niej, napisane było, że jest to prezent specjalny. Niespodzianka. Że we flakoniku znajdują się moje ulubione perfumy, perfumy, których używała moja matka, i że powinna go trzymać w ukryciu i otworzyć dopiero w dniu pierwszej rocznicy naszego ślubu. I że miał to być sekret pomiędzy nią a moim przyjacielem z dzieciństwa, podpisanym pod bilecikiem Danielem Hoffmannem...

Zastosowawszy się ściśle do prośby nadawcy, Alexandra, przekonana, iż w ten sposób uczyni mnie szczęśliwszym, trzymała prezent w ukryciu przez następne dwanaście miesięcy. Gdy nadszedł dzień naszej pierwszej rocznicy, wyjęła flakonik ze szkatułki i otworzyła go. Nie muszę chyba mówić, że nie było w nim żadnych perfum. Był to ten sam flakonik, który ja wrzuciłem do morza dzień przed naszym ślubem. Od chwili, gdy Alexandra go odkorkowała, nasze życie zmieniło się w koszmar...

Zacząłem otrzymywać korespondencję od Daniela Hoffmanna. Co dziwne, pisał do mnie z Berlina, gdzie, jak sam mówił, organizował wielkie przedsięwzięcie, które pewnego dnia miało zmienić świat. Odwiedzał miliony dzieci i wręczał im podarunki. Miliony dzieci, które pewnego dnia miały stworzyć największe wojsko, armię, jakiej nie widział świat. Wciąż nie rozumiem, co miał na myśli...

W jednej z pierwszych paczek, jakie od niego otrzymałem, przysłał mi książkę, bardzo stary oprawny w skórę tom. Na grzbiecie widniało słowo: *Doppelgänger*. Wie pani, co to takiego Doppelgänger? Oczywiście, że pani nie wie. Legendy i magia nikogo dziś już nie interesują. To słowo pochodzenia germańskiego, oznacza ono cień, który odrywa się od swojego właściciela i zwraca przeciwko niemu. To tylko początek, oczywiście. I tak też było w moim przypadku. Najistotniejszą częścią książki, jej esencją, jest podręcznik o cieniach. Antykwaryczna perełka. Kiedy przystąpiłem do jego lektury, już było za późno. Coś już wzrastało w ukryciu, chroniąc się w ciemnościach tego domu; dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, niczym jajo węża czekające na wyklucie.

W maju tysiąc dziewięćset szesnastego roku zaczęło się ze mną dzieć coś dziwnego. Światło, które wniosła ze sobą Alexandra, powoli gasło. Niebawem powziąłem pierwsze podejrzenia. Cień chyba rzeczywiście istniał. Ale i tak już było za późno. Po pierwszych atakach kończyło się jedynie na strachu. Ubrania Alexandry były niszczone. Drzwi z trzaskiem zamykały się za nią, a różne przedmioty spadały

popychane przez niewidzialne ręce. Głosy w ciemnościach. To był zaledwie początek...

W tym domu istnieją tysiące zakamarków, idealnych kryjówek dla cienia. Zrozumiałem wówczas, że miejsce to jest duszą swojego twórcy, Daniela Hoffmanna, i że cień będzie w tym budynku rósł, z każdym dniem stając się coraz silniejszy. A ja wprost przeciwnie, będę tracił siły. Cała tkwiąca we mnie moc przejdzie z czasem na niego, co oznaczało, że ja, wracając do ciemności mojego dzieciństwa w Les Gobelins, w końcu stanę się cieniem, on zaś mistrzem.

Postanowiłem zamknąć fabrykę zabawek i wrócić do mojej dawnej obsesji. Chciałem ożywić Gabriela, owego anioła stróża, który chronił mnie w Paryżu. Wracając do dzieciństwa, wierzyłem, że jeśli zdołam go ożywić, on obroni mnie i Alexandrę przed cieniem. I tak oto zaprojektowałem mechaniczną istotę, obdarzoną mocą, której siła przekraczała moje najśmielsze marzenia. Stalowego kolosa. Anioła, który miał być wybawieniem od dręczącego mnie koszmaru.

Jakież ja byłem naiwny! Ledwie owa istota zdołała sama ruszyć się ze stołu w moim warsztacie, natychmiast zostałem pozbawiony jakichkolwiek złudzeń, jakie żywiłem, rojąc o jego ślepych wobec mnie posłuszeństwie. Bo nie mnie słuchał, tylko tego drugiego. Swojego mistrza. On zaś, cień, nie mógł istnieć beze mnie, bo to ja byłem źródłem, z którego czerpał swoją siłę. Anioł nie tylko nie uwolnił mnie od poniewierki, ale został najgorszym z moich stróżów. Stróżem tego

straszego sekretu, na który skazany byłem do końca dni moich, stróżem, który natychmiast zareaguje, jeśli coś lub ktoś temu sekretowi zagrozi. I zareaguje bezlitośnie.

Ataki na Alexandrę nasiliły się. Cień był coraz potężniejszy i z dnia na dzień coraz groźniejszy. Postanowił ukarać mnie, kładąc cierpieć mojej żonie. Oddałem Alexandrze serce, które już nie do mnie należało. Ten błąd miał się okazać naszą zgubą. Kiedy byłem już bliski postradania zmysłów, nagle olśniło mnie, że cień działa jedynie wówczas, kiedy ja jestem w pobliżu. Nie mógł żyć z dala ode mnie. Postanowiłem wobec tego opuścić Cravenmoore i schronić się na wysepce z latarnią. Tam nikogo nie mógł skrzywdzić. Wyłącznie ja powinienem zapłacić za swoją zdradę. Ale nie doceniałem siły Alexandry. Jej miłości do mnie. Pokonując strach i ryzykując życie, pospieszyła do mnie z pomocą w noc ulicznego balu maskowego. Ale gdy łódź, przepłynąwszy zatokę, dotarła do brzegu wysepki, cień spadł na nią i pociągnął ją w głębiny. Jeszcze mam w uszach jego śmiech, kiedy wynurzył się spośród fal. Następnego dnia schronił się w tym kryształowym flakonie. Zobaczyłem go znowu dopiero po dwudziestu latach...

Simone, drżąc, wstała z krzesła i zaczęła powoli cofać się, krok po kroku, aż dotknęła plecami ściany. Dalsze wysłuchiwanie tego człowieka... tego ciężko chorego człowieka było ponad jej siły. Tylko złość i gniew trzymały ją na nogach i nie pozwalały ulec panice, którą

wzbudzała w Simone owa zamaskowana postać i jej opowieść.

– Droga pani, nie, nie... Proszę nie popełniać tego błędu... Czy pani nie rozumie, co się dzieje? Kiedy przybyła tu pani ze swoimi dziećmi, nie potrafiłem zapobiec temu, że moje serce zwróciło szczególną uwagę na panią. Nie uczyniłem tego świadomie. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje. A kiedy zrozumiałem, było już za późno. Usiłowałem stłumić to zauroczenie, konstruując maszynę na pani podobieństwo...

– Proszę?

– Wierzyłem... Ledwie pani przyjechała, ledwie pani obecność zaczęła przywracać temu miejscu życie, a cień, który przez dwadzieścia lat spoczywał w tym przeklętym flakonie, przebudził się ze swego letargu. Szybko znalazł sobie odpowiednią ofiarę, która go uwolniła...

– Hannah... – szepnęła Simone.

– Dobrze wiem, co teraz pani czuje i co pani myśli. Proszę mi wierzyć. Ale tu nie ma żadnej drogi ucieczki. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy... Musi mi pani uwierzyć...

Postać w masce wstała i ruszyła w stronę Simone.

– Ani kroku dalej! – krzyknęła Simone.

Lazarus zatrzymał się.

– Nie mam zamiaru pani skrzywdzić. Jestem pani przyjacielem. Proszę się ode mnie nie odwracać.

Simone poczuła falę nienawiści wzbierającą w niej z najgłębszych

zakamarków duszy.

– Zamordował pan Hannah...

– Simone...

– Gdzie są moje dzieci?

– One same wybrały swój los...

Lodowy sztylet rozdarł jej duszę.

– Co... co pan z nimi zrobił?

Lazarus uniósł dłonie w rękawiczkach.

– Nie żyją...

Zanim zdołał do końca wypowiedzieć swoje słowa, Simone wydała okrzyk wściekłości i chwyciwszy ze stołu świecznik, zamierzyła się nim na stojącego przed nią mężczyznę. Podstawka świecznika roztrzaskała się z hukiem w samym środku maski. Porcelanowa twarz pękła na tysiąc odłamków, a kandelabr spadł w półmrok. Niczego tam nie było.

Sparaliżowana Simone skupiła wzrok na czarnej masie unoszącej się przed nią. Postać zdjęła z dłoni białe rękawiczki, spod których wyjrzała jedynie ciemność. I dopiero z tą chwilą Simone mogła dostrzec owo demoniczne oblicze kształtujące się przed nią, chmurę rosnących powoli cieni, które syczały jak rozdrażniony wąż. Piekielny wrzask rozdarł uszy Simone, wycie, które zgasiło wszystkie płomienie w pokoju. Po raz pierwszy i ostatni Simone usłyszała prawdziwy głos cienia. W tej samej chwili chwyciły ją ostre szpony i zawlokły ku ciemnościom.

* * *

W miarę jak zanurzali się w las, Irène i Ismael spostrzegli, że delikatna mgiełka spowijająca gałęzie zaczyna nabierać złocistego poblasku, jakby para wodna wchłaniała w siebie tę dziwną poświatę bijącą zapewne od Cravenmoore. Otaczający ich krajobraz stawał się coraz bardziej nierzeczywisty i groźny. Kiedy stanęli na skraju lasu, ich oczom ukazało się, bynajmniej nie uspokajające, wyjaśnienie tego dziwnego zjawiska. We wszystkich oknach rezydencji paliły się niezwykle jasne światła, które upodabniały gigantyczny budynek do statku widma, wynurzającego się nagle z morskich odmętów.

Irène i Ismael zatrzymali się przy bramie zwieńczonej ostrymi grotami, strzegącej wejścia do ogrodu. Przez długą chwilę jak zahipnotyzowani wpatrywali się w niecodzienny widok. Otoczona tym nieziemskim nimbem bryła Cravenmoore wydawała się jeszcze bardziej złowroga. Twarze dziesiątków gargulców wyłaniały się z ciemności niczym oblicza koszmarnych wartowników. Ale nie dlatego się zatrzymali. W powietrzu wisiało coś jeszcze bardziej przerażającego, jakaś niewidzialna obecność. Z wnętrza budynku dochodziły odgłosy dziesiątków, setek wprawionych w ruch automatycznych zabawek: zniekształcone melodie pozytywek, harmider mechanicznych śmiechów, które mieszały się z poszumem wiatru.

Przez chwilę stali tak, zaszuchani w muzykę Cravenmoore, a potem ruszyli ku głównemu wejściu, jakby chcąc dotrzeć do źródła tej

kakofonicznej symfonii. Przez drzwi otwarte teraz na oścież sączyły się złociste opary. W głębi zobaczyli cienie pulsujące i podrygujące w takt tej piekielnej melodii. Irène instynktownie chwyciła Ismaela za rękę. Chłopiec spojrzał na nią badawczo.

– Jesteś pewna, że chcesz tam wejść? – zapytał.

W jednym z okien ukazała się wirująca wokół własnej osi baletnica. Irène spuściła wzrok.

– Nie musisz ze mną iść. W końcu to moja matka...

– Niezwykle kusząca oferta. Nie powtarzaj mi jej dwa razy – zażartował Ismael.

– Dobrze – zgodziła się Irène. – Niech się dzieje, co chce...

– Niech się dzieje.

Zaczęli się wspinać po schodach prowadzących do Cravenmoore, starając się nie zwracać uwagi na śmiechy, muzykę, światła i makabryczny taniec automatów. Gdy tylko przekroczyli próg rezydencji, do Ismaela dotarło, że wszystko, co widzieli dotychczas, to jedynie uwertura. Chłopca przerażały nie wynalazki Lazarusza ani nawet ten ogromny anioł. W tym domu było coś innego. Czyjaś obecność, tak wyraźnie wyczuwalna. Promieniująca nienawiścią i wściekłością. I w jakiś niewytłumaczalny sposób Ismael zrozumiał, że ten ktoś na nich czeka.

* * *

Dorian przez długą chwilę dobijał się do drzwi posterunku. Nie mógł złapać tchu, miał wrażenie, że nogi za chwilę odmówią mu posłuszeństwa. Gnał tu jak szalony, najpierw przebiegł przez las i znalazłszy się na Plaży Anglika, ruszył co sił w nogach dłużącą się w nieskończoność ścieżką prowadzącą skrajem plaży do miasteczka. Słońce zaczęło chować się za horyzont, a on nie zatrzymał się ani razu, wiedział bowiem, że jeśli przystanie choć na chwilę, za żadne skarby nie zdoła ruszyć się z miejsca przez najbliższych dziesięć lat. Miał w głowie tylko jeden obraz, który dodawał mu sił: ów cień unoszący jego matkę w mrok. Samo jego wspomnienie wystarczało, by dobiec na sam koniec świata.

Kiedy drzwi posterunku żandarmerii otworzyły się w końcu, stanął w nich brzuchaty agent Jobart. Maleńkie oczka żandarma spojrzały badawczo na chłopca, który wyglądał tak, jakby miał za chwilę zemdleć. Dorian odniósł wrażenie, że stoi twarzą w twarz z ogromnym nosorożcem. Żandarm uśmiechnął się ironicznie i profesjonalnym gestem schował kciuki do kieszeni. Na jego twarzy pojawił się grymas pod tytułem: nie-za-późno-trochę-na-wizyty? Dorian westchnął. Chciał przełknąć ślinę, ale kompletnie zaschło mu w gardle.

– No więc? – niemal zaszczekał Jobart.

– Wody...

– To nie bar, mój drogi.

Ta próbka zjadliwej ironii miała zapewne być świadectwem niepospolitego instynktu i zimnej krwi typowych dla wytrawnego śledczego. Mimo wszystko Jobart wpuścił chłopca do środka i nalał mu szklanę wody. Dorian nigdy by się nie spodziewał, że zwykła woda może mieć tak wspaniały smak.

– Jeszcze.

Jobart podał mu kolejną szklanę, tym razem posyłając mu spojrzenie Sherlocka Holmesa.

– Nie ma za co.

Dorian opróżnił szklanę i popatrzył na policjanta. W jego głowie zabrzmiały słowa siostry, które wyrecytował bezbłędnie.

– Moja matka miała poważny wypadek. W Cravenmoore. Jest ranna.

Jobart potrzebował kilkunastu sekund, by przetworzyć tyle informacji naraz.

– Jaki rodzaj wypadku? – zapytał dociekliwym tonem.

– Niech pan się ruszy! – wybuchnął Dorian.

– Jestem tylko ja. Nie mogę opuścić posterunku.

Chłopak ciężko westchnął. Spośród wszystkich kretynów świata akurat jemu musiał się trafić wzorzec z Sèvres.

– Niech pan wezwie kogoś przez radiotelefon. Niech pan coś zrobi! Szybko!

Widać w tonie, jak i w spojrzeniu Doriana było dość determinacji,

skoro Jobart zdołał jednak ruszyć swój szacowny tyłek i podejść do stanowiska radiotelegrafisty. Ale zamiast od razu włączyć radiostację, odwrócił się do chłopca z podejrzliwym i niezdecydowanym wyrazem twarzy.

– Niech pan dzwoni! Już!

* * *

Lazarus ocknął się gwałtownie, czując przeszywający ból w karku. Dotknął bolącego miejsca i poczuł otwartą ranę. Jak przez mgłę przypomniała mu się twarz Christiana w korytarzu zachodniego skrzydła. Automat uderzył go i pewnie tutaj zawił. Lazarus się rozejrzył. Był w jednym z tak wielu nieużywanych pokoi Cravenmoore.

Wstał powoli, usiłując zebrać myśli. Ledwo stanął na nogach, poczuł nieludzkie zmęczenie. Zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać. Gdy po jakiejś chwili uspokoił mu się oddech, otworzył oczy. Jego uwagę zwróciło małe lustro wiszące na jednej ze ścian. Podeszedł do niego, by spojrzeć na swoje odbicie.

Następnie, podeszedłszy do małego okienka, z którego widać było główną fasadę, zauważył dwie postacie przechodzące przez ogród. Zmierzały ku wejściu.

* * *

Ismael i Irène przekroczyli próg rezydencji i podążyli ku źródłu płynącego z głębi domu światła. Niczym podmuch lodowatego wiatru dotarła do nich katarynkowa muzyka karuzeli i metaliczny terkot tysięcy nagle obudzonych z mechanicznego snu zabawek wiszących na ścianach, w powietrzu, poukładanych na półkach. W witrynach ożyło panoptikum przedziwnych stworzeń. Gdziekolwiek się spojrzano, natrafiało się na jeden z uruchomionych wynalazków Lazarusa. Zegary z twarzami miast tarcz, lalki poruszające się lunatycznym krokiem, widmowe oblicza przypominające zgłodniałe bestie...

– Ale tym razem się nie rozdzielajmy – powiedziała Irène.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło – odparł Ismael przytłoczony ogłuszającym hurkotem.

Zdążyli przebiec zaledwie kilka metrów, kiedy główne drzwi z hukiem zamknęły się za ich plecami. Irène krzyknęła i kurczowo złapała się chłopca. Jak spod ziemi wyrosła przed nimi ogromna postać. Jej twarz przysłonięta była maską demonicznego kłowna. Dwie zielone źrenice błyszcząły w otworach na oczy. Irène i Ismael cofnęli się. W dłoniach olbrzyma błysnął nóż. W oczach Irène stanął nagle obraz mechanicznego majordomusa, który otworzył im drzwi podczas pierwszej wizyty w Cravenmoore. Christian. Tak się nazywał. Automat zamierzył się na nich.

– Christianie, nie! – krzyknęła Irène. – Nie!

Majordomus zatrzymał się. Nóż wypadł mu z rąk. Ismael spojrział na dziewczynę, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc. Znieruchomiła postać przyglądała im się.

– Szybko! – ponagliła chłopca Irène, ruszając w głąb domu.

Ismael pobiegł za nią, zdążywszy podnieść z ziemi upuszczony przez Christiana nóż. Dogonił Irène przy schodach wznoszących się ku mającej w górze kopule. Irène rozejrzała się niezdecydowana.

– W którą stronę idziemy? – spytał Ismael, cały czas nerwowo oglądając się za siebie.

Irène ciągle nie potrafiła się zdecydować, którą z dróg w labiryncie Cravenmoore wybrać.

Nagle poczuli prąd lodowatego powietrza dochodzący z jednego z korytarzy. Jednocześnie usłyszeli jakby dobywający się z dna studni głos:

– Irène...

Dziewczyna poczuła, że nerwy zaraz odmówią jej posłuszeństwa. Głos rozległ się ponownie. Zatrzymała wzrok na skraju jednego z korytarzy. Ismael spojrział w tym samym kierunku i zobaczył ją. Simone, unosząc się nad ziemią, otoczona płaszczem mgiełki, płynęła ku nim, wyciągając ramiona. W oczach czaił się demoniczny błysk. Jej sinawe wargi rozchyliły się. Błysnęły ostre kły.

– Mama? – jęknęła Irène.

– To nie jest twoja matka! – krzyknął Ismael i odsunął ją z drogi

zbliżającego się widma.

Snop światła, który padł nagle na twarz Simone, ujawnił całą szkaradną grozę tej postaci. Ismael popchnął dziewczynę na podłogę, żeby uchronić ją przed szponami automatu. Ten zawrócił, szykując się do kolejnego ataku. Teraz Ismael zobaczył wyraźnie, że twór ma tylko pół twarzy. Druga połowa była metalową maską.

– To ta kukła, którą już widzieliśmy. To nie jest twoja matka – powiedział chłopak, próbując wyrwać Irène z hipnotycznego transu, w jaki wprowadził ją widok zjawy. – To coś nimi porusza, jakby były marionetkami.

W automacie rozległ się metaliczny trzask. Szpony potwora ruszyły z niebywałą prędkością w ich stronę. Chłopak złapał Irène i rzucił się do ucieczki, nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd ma właściwie uciekać. Co sił w nogach pobiegli w głąb korytarza. Raz po raz, to z jednej, to z drugiej strony otwierały się nagle jakieś drzwi. Zabawki Lazarusa skakały na nich z sufitu.

– Szybko! – krzyknął Ismael, słysząc za plecami szczęk stalowych pazurów.

Irène spojrzała za siebie. Wilcze kły tej monstrualnej kopii jej matki niemal musnęły jej twarz. Pięć błyszczących ostrzy rozcięło powietrze na wysokości oczu dziewczyny. Ismael pociągnął ją mocno za rękę. Znaleźli się wewnątrz dużego pokoju tonącego w półmroku.

Dziewczyna upadła na podłogę. Ismael zatrzasnął za sobą drzwi.

Szpony automatu wbiły się w nie niczym groty śmiercionośnych strzał.

– Mój Boże... – westchnęła dziewczyna. – Tylko nie to.

Uniosła wzrok. Była blada jak ściana.

– Nic ci nie jest? – zapytał Ismael.

Pokręciła głową bez przekonania i rozejrzała się. Półki z książkami ciągnęły się w nieskończoność. Do tysięcy woluminów pokrywających wysokie ściany wiódł labirynt wąskich galeryjek i drabinek.

– Jesteśmy w bibliotece Lazarusza.

– Mam nadzieję, że istnieje jakieś inne wyjście, bo ja nie mam zamiaru wracać tą samą drogą – powiedział Ismael, wskazując kciukiem drzwi.

– Musi być. Myślę, że jest, nie mam tylko pojęcia gdzie – odparła Irène, idąc w głąb ogromnej biblioteki, podczas gdy Ismael zastawiał drzwi krzesłami.

Jeśli te drzwi wytrzymają chociaż dwie minuty, powiedział sobie w duchu, to zacznę wierzyć w cuda, bezwarunkowo. Za plecami usłyszał głos Irène. Odwrócił się i zobaczył, jak dziewczyna przy stole bibliotecznym przerzuca strony książki, która wyglądem swym przypominała jakiś antykwaryczny egzemplarz.

– Tu coś jest – powiedziała.

W Ismaelu zakiełkowały jak najgorsze podejrzenia.

– Zostaw tę książkę.

– Dlaczego? – zapytała zdezorientowana Irène.

– Odłóż ją.

Dziewczyna zamknęła posłusznie książkę. Blask ognia w kominku rozświetlił złote litery na okładce: *Doppelgänger*.

Ledwie Irène odeszła od biurka, poczuła, jak pod jej stopami zaczyna drżeć cała podłoga w bibliotece. Płomienie w kominku przygasły, a niektóre tomy stojące na półkach zadrżały. Dziewczyna podbiegła do Ismaela.

– O co tu chodzi...? – zapytał chłopak, również czując ów rumor dobiegający jakby z najgłębszych zakamarków domu.

W tym momencie książka, którą Irène odłożyła na biurko, gwałtownie otworzyła się i rozwarła w połowie. Płomienie całkiem zgasły zdmuchnięte lodowatym powiewem. Ismael objął Irène i przytulił do siebie. Pojedyncze książki zrzucane przez niewidzialne ręce zaczęły spadać z regałów.

– Tu poza nami jest ktoś jeszcze – szepnęła dziewczyna. – Czuję go...

Kartki książki, jedna po drugiej, zaczęły powoli przewracać się w podmuchach wiatru. Ismael spojrzał uważnie na stronicę starego tomu jarzące się własnym światłem i zauważył, że litery rozpływają się i jakby parują jedna po drugiej, tworząc czarną chmurę nad książką. Ta bezkształtna masa wsysała słowo po słowie, zdanie po zdaniu.

Gęstniejący obłok skojarzył się Ismaelowi z wiszącym w powietrzu widmem z atramentu.

W kłębiącej się czarnej chmurze zaczęły powoli kształtować się zarysy rąk, nóg, tułowia. Z cienia wyłaniała się nieprzenikniona twarz.

Ismael i Irène, sparaliżowani przerażeniem, patrzyli na zjawę i pojawiające się wokół niej inne kształty, inne cienie ozywające spośród stronic książek, które przed chwilą spadły z półek. Przed ich pełnymi niedowierzania oczyma zaczął stopniowo formować się legion cieni. Cieni dzieci, starców, dam odzianych w przedziwne stroje... Wszyscy wyglądali niczym schwymane duchy, zbyt słabe, by ostatecznie przybrać jakąś konkretną formę. Twarze w agonii, jakby budzące się z letargu, bezwolne. Przyglądając się im, Irène odnosiła wrażenie, że ma przed sobą dusze dziesiątków osób schwypanych w pułapkę przerażającego zaklęcia. Wyciągały ku niej ręce, błagając o pomoc, ale ich palce rozszczepiały się w ulotnych mirażach. Czuła niemal fizycznie dręczący ich koszmar, ich ponury czarny sen.

Przez kilka sekund trwania tej wizji zastanawiała się, kim są te zjawy i jak się tu znalazły. Czy tak jak i ona zawitały tu kiedyś nierozważnie? Przez chwilę sądziła nawet, że może pośród tych nocnych mar i duchów przeklętych uda jej się rozpoznać swoją matkę. Ale wystarczył ledwie dostrzegalny gest cienia, a mgliste ciała zbiły się w czarną wirującą masę, która przeleciała przez cały pokój.

Cień rozwarł się i wessał po kolei wszystkie dusze, odbierając im resztki tłących się w nich sił. Wszystko odbywało się w śmiertelnej ciszy. Skończywszy tę swoistą egzekucję, cień otworzył oczy. Dwie

krwawe aureole przeszły ciemność.

Irène chciała krzyknąć, ale jej głos został zagłuszony przez brutalny łomot, który wstrząsnął Cravenmoore. Wszystkie okna i drzwi zaczęły zamykać się z hukiem płyt nagrobnych. Ismael, słysząc rozchodzące się po całej rezydencji cmentarne echo, pomyślał, że właśnie znikają resztki nadziei na wydostanie się stąd.

Z wysoko położonego sufitu mała strużka jasności przeciskała się przez szczelinę, luźno zwisająca niteczka światła spod tego sklepienia cyrkowego namiotu. Oczy Ismaela chwyciły się tej niteczki. Chłopak, nie zwlekając, złapał Irène za rękę i po omacku pociągnął w przeciwną stronę kraniec pokoju.

– Może tam jest drugie wyjście – wysapał.

Irène podążyła wzrokiem za palcem wskazującym Ismaela. Dostrzegła pasemko światła, które zdawało się padać przez dziurkę od klucza w zamku. Biblioteka zbudowana była z koncentrycznych owali, przez które przebiegał wąziutki korytarzyk wznoszący się spiralnie wzdłuż ściany i prowadzący do różnych galerii odchodzących od niego. Simone opowiadała jej kiedyś o tym architektonicznym kaprysie: idąc tym korytarzem do końca, docierało się niemal na trzecie piętro. Coś w rodzaju wieży Babel z drzwiami w środku, pomyślała. Tym razem to ona poprowadziła Ismaela w stronę korytarza, a gdy już tam dotarli, podążyli nim bez zwłoki.

– Wiesz, dokąd to prowadzi? – spytał chłopak.

– Spokojnie, trzymaj się mnie.

Ismael bez namysłu ruszył za nią. W miarę zagłębiania się w korytarz czuł, że równomiernie idą coraz bardziej pod górę. Zimny prąd powietrza owiał mu plecy. Gdy spojrzał do tyłu, zobaczył rozrastającą się na podłodze gęstą czarną plamę. Cień miał niemal stałą konsystencję i tylko jego obrys zdawał się zlewać z mrokiem. Widmowa plama rozprzestrzeniała się niczym kałuża gęstego i błyszczącego oleju.

Po paru sekundach owa masa płynnej czerni dotarła do jego stóp. Ismael poczuł, jak tamuje mu oddech, tak samo jak wtedy, kiedy wpada się nieoczekiwanie do lodowatej wody.

– Szybko! – krzyknął.

Tak jak przypuszczali, pasemko światła padało z dziurki od klucza w drzwiach znajdujących się zaledwie kilka metrów od nich. Ismael przyspieszył i na krótką chwilę udało mu się oderwać od deptającego mu po piętach cienia. Szanse, że właśnie te drzwi będą otwarte, uznawał za bliskie zera. Cały wysiłek na nic, jeśli okaże się, że nigdzie nie prowadzą.

Irène palcami opukała zamek, szukając klamki lub innego sposobu, by otworzyć drzwi. Ismael odwrócił się, chcąc sprawdzić, jak daleko od nich jest cień, i jego oczy natrafiły na wznoszącą się przed nim czarną kolumnę, rzeźbę z gęstego gazu powoli nabierającą kształtów. Lepka, smolista twarz zmaterializowała się. Ismael nie wierzył własnym oczom. Przetarł je szybko. Zamrugnął. Twarz nie zniknęła. Jego własna twarz.

Jego ciemne odbicie uśmiechnęło się złośliwie, a spomiędzy ust wysunął się język węża. Chłopak odruchowo wyciągnął nóż odebrany automatowi w westybulu i skierował ostrze w stronę cienia. Smolista breja dmuchnęła w stronę broni. Nóż od ostrza po rękojeść pokrył się siateczką szronu i drzazgami lodu. Ismael poczuł, jak zmrożony metal parzy mu dłoń. Mróz, lodowaty mróz palił jak ogień, jeśli nie bardziej.

Chłopak był pewny, że zaraz wypuści broń z ręki, udało mu się jednak wytrzymać szarpiący ból przedramienia i wyprowadzić uderzenie prosto w twarz cienia. Ucięty język spadł pod nogi Ismaela. Kawałek czarnej masy natychmiast owinał się wokół kostki chłopca niczym druga skóra i zaczął powoli wspinać się po nodze. Lepki i zimny dotyk tej masy przyprawił Ismaela o mdłości.

W tej samej chwili usłyszał za swymi plecami trzask zamka, z którym zmagala się Irène. Szybko odwrócił głowę. Przed nimi otworzył się tunel światła. Dziewczyna natychmiast przeskoczyła próg. Ismael od razu podążył za nią, zamykając za sobą drzwi, by odciąć drogę swemu prześladowcy. Kawałek, który oderwał się od cienia, wspinał się po łydce chłopca, przybierając postać ogromnego pająka. Chłopak poczuł w nodze przeszywający ból. Krzyknął. Irène spróbowała strzepnąć pająka, ten zaś odkręcił się i skoczył na nią. Irène wydała krzyk przerażenia.

– Weź go!

Ismael dezorientowany rozejrzał się i odkrył źródło światła, które ich tu przywiodło. W głąb półmroku prowadził niczym widmowa

procesja rząd płonących świec.

Chłopak złapał jedną z nich i przybliżył płomień do pająka zmierzającego już ku gardłu Irène. Poczuvszy bliskość ognia, stwór syknął z wściekłości i bólu i rozpadł się w deszcz czarnych kropel. Ismael odrzucił świecę i odsunął Irène jak najdalej od spadających na ziemię fragmentów, które potoczywszy się po podłodze jak krople rtęci, połączyły się w jednolitą masę, ta zaś podpełzła do drzwi i zniknęła w szczelinie.

– Ogień. Boi się ognia... – powiedziała Irène.

– No to mu tego ognia nie pożałujemy.

Ismael podniósł świeczkę i postawił przy drzwiach. Irène rozglądała się po pomieszczeniu, do którego trafili. Przypominało ono pusty, pozbawiony mebli przedpokój, pokryty wieloletnią warstwą kurzu. Przypuszczalnie pomieszczenie służyło w swoim czasie jako składzik lub dodatkowy magazyn dla biblioteki. Dokładnie się jednak przyjrawszy, stwierdziła, że pod sufitem coś jest. System małych rur. Irène chwyciła jedną ze świec i unosząc ją wysoko nad głowę, oświetliła pomieszczenie. W blasku płomienia błysnęły glazury i mozaiki, którymi wyłożone były ściany.

– Gdzie my, do diabła, jesteśmy? – zapytał Ismael.

– Nie wiem... to wygląda... to wygląda jak prysznic...

Światło świecy wydobyło metaliczne zraszacze, sieć setek otworków w kształcie dzwonków zwisających z rurek. Wszystkie były

zardzewiałe i pokryte pajęczynami.

– Cokolwiek to jest, to i tak od wieków...

Nie zdążył dokończyć zdania, kiedy rozległ się metaliczny zgrzyt, łatwo rozpoznawalny dźwięk odkręcanego kurka, całkiem przezartego rdzą. W środku, tuż przy nich.

Irène skierowała świecę ku ścianie wyłożonej glazurą. Oboje zobaczyli, jak dwa kurki powoli się przekręcają.

Przez ściany przechodziło głębokie drzenie. Po kilku sekundach milczenia oboje zdołali umiejscowić ów dźwięk, odgłos czegoś, co przepychało się przez rury nad ich głowami. Coś szukało drogi w wąskich rurach.

– On tam jest! – krzyknęła Irène.

Ismael przytaknął, nie odrywając oczu od zraszaczy. Po chwili nieprzenikniona masa zaczęła przeciskać się przez otwory. Irène i Ismael cofnęli się powoli, nie odrywając oczu od cienia kształtującego się powolutku przed nimi, niczym kopiec usypywany przez spadające w klepsydrze ziarenka piasku.

W ciemnościach zarysowała się para oczu. Twarz Lazarusza uśmiechnęła się do nich z sympatią. Wizja kojąca, gdyby nie zdobyta już przez nich wiedza, że to nie z Lazarusem mają do czynienia. Irène zrobiła krok w jego stronę.

– Gdzie jest moja matka? – zapytała wyzywająco.

Rozległ się głęboki, mało człowieczy głos.

– Jest ze mną.

– Odsuń się od niego – powiedział Ismael.

Cień wbił oczy w chłopca. Ten jakby zaczął wpadać w trans. Irène potrząsnęła Ismaela za ramię, chcąc go odsunąć od cienia, ale chłopiec był niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. Dziewczyna stanęła między nimi i uderzyła Ismaela po twarzy. Oprzytomniał. Twarz cienia przemieniła się w maskę wściekłości i dwoje długich ramion wyciągnęło się ku chłopcu i dziewczynie. Irène pchnęła Ismaela na ścianę, schylając się jednocześnie, by nie wpaść w szpony cienia.

W tym momencie otworzyły się drzwi, przez które wlała się luna światła. W progu stanął mężczyzna i wysoko uniósł lampę naftową.

– Idź precz! – krzyknął.

Irène natychmiast rozpoznała głos Lazarusa Janna, fabrykanta zabawek.

Cień zawył z wściekłością. Jedna ze świec zgasła. Lazarus ruszył w jego stronę. Irène zdawało się, że fabrykant zabawek, odkąd widziała go po raz ostatni, bardzo się postarzał. Jego przekrwione oczy wskazywały na skrajne zmęczenie. Były to oczy osoby wycieńczonej przez okrutną chorobę.

– Idź precz! – krzyknął ponownie.

W kłębiącej się postaci cienia mignęła demoniczna twarz, po czym widmo przeistoczyło się w obłok gazu, który zaczął przeciskać się przez szpary w podłodze. Ostatnie opary zniknęły przez szczelinę w ścianie.

Ucieczce towarzyszyły świst, wycie i dźwięki podobne odgłosom wiatru bijącego w okna.

Lazarus przypatrywał się przez chwilę owej szczelinie, po czym skierował swe spojrzenie ku Ismaelowi i Irène.

– A wy co tu robicie? – zapytał, nie kryjąc złości.

– Przyszłam po swoją mamę i nie odejdę stąd bez niej – oświadczyła Irène, bez zmrużenia wytrzymując owo przejmujące i natarczywe spojrzenie.

– Nie masz pojęcia, przeciwko komu występujesz... – odparł Lazarus. – Szybko, tędy. On zaraz wróci.

Lazarus poprowadził ich przez drzwi.

– Co to było? Co takiego widzieliśmy? – spytał Ismael.

Lazarus spojrzał nań badawczo.

– To byłem ja. To mnie widziałeś...

* * *

Idąc za Lazarusem, zagłębili się w kręty labirynt tuneli, który zdawał się prowadzić przez podziemia Cravenmoore, szlakami równoległymi do korytarzy i galeryjek. Po obu stronach drogi widniały zamknięte drzwi, wejścia do dziesiątków pokoi i sal rezydencji. Echo ich kroków głucho odbijało się od ścian wąskiego przejścia, jakby podążało za nimi niewidzialne wojsko.

Z lampy Lazarusa padał na ściany tunelu pierścień bursztynowego

światła. Ismael widział swój cień i cień Irène. Sylwetka Lazarusa nie rzucała cienia. Fabrykant zabawek zatrzymał się przed wysokimi i wąskimi drzwiami, wyciągnął klucz i przekręcił go w zamku. Rzucił okiem za siebie, w głąb korytarza, i dał gestem znać, by weszli.

– Proszę tędy – powiedział zdenerwowany. – Na razie się nie pojawi, przynajmniej przez kilka minut...

Ismael i Irène spojrzeli na siebie zaskoczeni.

– Nie macie wyboru, musicie mi zaufać – ostrzegł ich Lazarus.

Chłopak westchnął i poszedł w głąb pokoju. Irène ruszyła za nim. Lazarus zamknął za sobą drzwi. W świetle lampy ukazała się ściana pokryta ogromną liczbą fotografii i wycinków. W kącie stało małe łóżko i puste biurko. Lazarus wpierw postawił lampę na podłodze, a potem zajął się obserwowaniem młodych oglądających przymocowane do ściany zdjęcia i materiały prasowe.

– Powinniście opuścić Cravenmoore jak najszybciej.

Irène odwróciła się doń.

– To nie o was mu chodzi – dodał fabrykant zabawek – ale o Simone.

– Ale po co? Po co mu Simone?

Lazarus spuścił wzrok.

– Chce ją zniszczyć. Żeby mnie ukarać. I nie zawaha się, żeby i was zniszczyć, jeśli staniecie mu na drodze.

– Co to wszystko znaczy? I co nam pan chce przez to powiedzieć?

– zapytał Ismael.

– Wszystko, co miałem wam do powiedzenia, już wam powiedziałem. Musicie stąd uciekać. Wcześniej czy później on tu wróci, a ja już nie będę mógł pospieszyć wam z pomocą.

– Ale kto ma wrócić?

– Widziałeś go na własne oczy.

W tym momencie rozległ się daleki, dochodzący z głębi domu huk. I nie przestał się rozlegać. Zbliżał się. Irène wstrzymała oddech i spojrzała na Ismaela. Kroki. Jeden za drugim, jak wystrzały, coraz bliżej. Lazarus uśmiechnął się kącikiem ust.

– Już idzie – oznajmił. – Macie coraz mniej czasu.

– Gdzie jest moja matka? Gdzie ją zabrał? – nie rezygnowała dziewczyna.

– Nie wiem. A nawet gdybym wiedział, nie na wiele by się to zdało.

– Pan skonstruował tę maszynę z jej twarzą... – oskarżycielsko odezwał się Ismael.

– Wydawało mi się, że to mu wystarczy, ale on chciał więcej. On chciał jej.

Piekielne kroki dotarły już do drzwi wiodących do przyległego korytarza.

– Za tymi drzwiami – wyjaśnił Lazarus – jest galeryjka prowadząca do głównych schodów. Jeśli została wam choć odrobina rozsądku,

uciekajcie stąd jak najprędzej i jak najdalej od tego domu. Na zawsze.

– Nigdzie się nie ruszymy – odparł Ismael. – Nie ruszymy się bez Simone.

Drzwiami, przez które się tu dostali, wstrząsnęło uderzenie. W chwilę później przez szczelinę przy podłodze zaczęła wlewać się czarna breja.

– Zwiewamy! – krzyknął Ismael.

Cień owinał się wokół lampy i roztrzaskał szkło. Płomień zgasł od lodowatego powiewu. Lazarus w ciemnościach patrzył, jak chłopak i dziewczyna uciekają przez drugie drzwi. Obok niego stanęła czarna postać.

– Zostaw ich w spokoju – szepnął Lazarus. – To tylko dwójka dzieciaków. Pozwól im odejść w spokoju. Możesz przecież wziąć mnie. Zrób to wreszcie. Przecież o to ci zawsze chodziło.

Cień się uśmiechnął.

* * *

Korytarzyk, w którym się znaleźli, przecinał centralną oś Cravenmoore. Irène rozpoznała tę enklawę korytarzy i poprowadziła Ismaela ku podstawie kopuły. Przez ogromne szyby widać było obłoki, olbrzymy z czarnej bawełny płynące niebem. Z wieńczącej szczyt kopuły latarni, kształtem podobnej do ogromnego tłoka, padało hipnotyczne halo kalejdoskopowych blasków.

– Tędy – wskazała dziewczyna.

– Tędy? To znaczy którądy? – zapytał zdenerwowany Ismael.

– Chyba wiem, gdzie ją trzyma.

Ismael spojrzał za siebie. Korytarz tonął w ciemnościach i nic w nim nie wskazywało na jakikolwiek ruch, choć chłopak wiedział, że cień może, zupełnie przez nich niezauważony, przemieszczać się w tamtym kierunku.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział, pragnąc za wszelką cenę oddalić się stąd jak najszybciej.

– Idź za mną.

Irène skierowała się ku jednemu ze skrzydeł ocienionych półmrokiem. Ismael podążył za nią. Światło latarni powoli przygasało, a sylwetki mechanicznych stworzeń tworzących szpaler przekształciły się w ledwie rozpoznawalny zarys. Głosy, śmiechy i terkot setek mechanizmów tłumiły odgłos kroków Ismaela i Irène. Chłopak raz jeszcze się odwrócił, by spojrzeć na wlot do tunelu, w który się teraz zagłębiali. Dało się odczuć podmuch zimnego powietrza. Ismael, rozejrzawszy się, rozpoznał lekko drżące muślinowe firanki, z wyszytym na nich i powoli falującym inicjałem.

– Jestem przekonana, że tu ją przetrzymuje – powiedziała Irène.

Za firankami w głębi korytarza widać było rzeźbione w drewnie drzwi tarasujące przejście.

Poculi kolejny powiew zimnego powietrza, który poruszył

zasłonkami.

Ismael stał spięty do granic wytrzymałości i wyężając wzrok, starał się przeniknąć ciemność.

– Co się dzieje? – spytała Irène, dostrzegłszy rosnącą niepewność chłopca.

Ismael szykował się już do odpowiedzi, ale zrezygnował. Podążyła za jego wzrokiem. Zwykły punkcik światła na końcu tunelu. A wokół ciemności.

– On tam jest – powiedział Ismael. – Obserwuje nas.

Irène chwyciła się jego ramienia.

– Nie czujesz tego?

– Uciekajmy stąd, Ismaelu.

Przytaknął, ale jego myśli były zupełnie gdzie indziej. Irène wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą do drzwi. Ismael szedł, nie przestając patrzeć za siebie. W końcu, kiedy dotarli do wyjścia, zatrzymała się, oboje spojrzeli na siebie. Ismael bez słowa położył rękę na gałce klamki i powoli ją przekręcił. Zamek ustąpił z lekkim metalicznym trzaskiem. Drzwi otworzyły się same pod naporem własnego ciężaru.

W pokoju unosiła się bladoniebieska mgiełka, gdzieniegdzie tylko rozwiewana szkarłatnym blaskiem płomieni.

Irène stanęła na środku pokoju. Od jej poprzedniego pobytu nic się nie zmieniło. Ogromny portret Almy Maltisse lśnił nad kominkiem, a w rzucanych przez niego odblaskach to wyłaniał się, to chował zarys

cienkich jedwabnych zasłon zwisających przy baldachimie łoża. Ismael zamknął dokładnie drzwi za sobą i poszedł za Irène.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, by go zatrzymać, i jednocześnie wskazała fotel ustawiony przodem do kominka. Z jednego z oparców zwisała blada ręka. Wyglądała niczym zwiędły kwiat.

Wokół wiszącej bezwładnie dłoni błyskały odłamki stłuczonego kieliszka, sterczące z gładzi rozlanego płynu, perły na zwierciadle. Irène poczuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Puściła dłoń Ismaela i ostrożnie zbliżyła się do fotela. Migająca łuna płomieni oświetliła podłużną twarz: twarz Simone.

Irène ukłękła przy matce i ujęła jej dłoń. Długo nie mogła wyczuć tętna.

– Mój Boże...

Ismael szybko podszedł do biurka i wziął stamtąd maleńką srebrną tacę. Wrócił do fotela i przyłożył ją do twarzy Simone. Powierzchnia tacy zamgliła się nieznacznie. Irène odetchnęła z ulgą.

– Żyje – powiedział Ismael, przyglądając się twarzy kobiety, w której zdawał się dostrzegać twarz dojrzałej i mądrzejszej Irène.

– Musimy ją stąd wyciągnąć. Pomóż mi!

Stanęli z dwóch boków Simone i otoczywszy ją ramionami, spróbowali unieść z fotela.

Zdążyli ją podnieść zaledwie kilka centymetrów, kiedy w pokoju rozległ się przenikliwy szept, od którego ciarki przeszły im po plecach.

Rozejrzeli się wokół przerażeni. Cienie ich sylwetek drgały na ścianach w świetle płomieni.

– Nie traćmy czasu – przynagliła chłopca Irène.

Ismael ponownie chwycił Simone, ale znów usłyszeli ów szept, rozlegający się jeszcze bliżej. Chłopakowi tym razem udało się wychwycić, skąd dochodzi. Spojrzał na portret. W jednej chwili pokrywająca obraz czarna zasłona zmieniła się w plamę płynnej ciemności, która zaczęła rosnąć i pęcznieć. Wyciągnęła ku nim długie ramiona zakończone ostrymi jak sztylety szponami.

Ismael cofnął się, ale cień z kocią zwinnością zeskoczył ze ściany i przemknąwszy się w półmroku, stanął za jego plecami. Przez chwilę chłopak widział tylko ciemne odbicie swojej sylwetki na podłodze. Potem z zarysu jego postaci wyłoniła się inna, która urosła i w końcu połknęła jego cień. Chłopak poczuł, że nieprzytomna Simone wyślizguje mu się z rąk. Jakaś lodowata dłoń złapała go za szyję i rzuciła z impetem o ścianę.

– Ismael! – wrzasnęła Irène.

Cień odwrócił się do niej. Dziewczyna pobiegła w drugi koniec pokoju. Tańczące pod jej stopami ciemne sylwetki zamknęły się wokół niej, rysując śmiernicopodobny kwiat. Poczowała zimny dotyk cienia, który obejmował ją powoli, paraliżując wszystkie mięśnie. Próbując się wyszarpnąć z tego lodowatego uścisku, Irène zauważyła, jak z sufitu odrywa się ciemna bezkształtna masa, z której zaczyna się wyłaniać

znajoma twarz. Twarz Hannah. Ale ten nowy twór spojrział na Irène z nienawiścią, a jego usta rozchyliły się w złowrogim uśmiechu, ukazując długie lśniące kły.

– Ty nie jesteś Hannah – powiedziała Irène słabym głosem.

Cień uderzył ją w twarz, rozcinając skórę na policzku. Z rany popłynęło kilka kropli krwi. Cień natychmiast wychłęptał je łapczywie. Irène ogarnęły mdłości. Potwór zbliżał się do niej nieuchronnie, machając na wysokości jej twarzy długimi ostrymi pazurami.

Ismael, jeszcze oszołomiony uderzeniem o ścianę, usłyszał metaliczny, chrapliwy głos. Zobaczył, jak stojący w samym środku pokoju cień trzyma Irène w uścisku, gotów ją zabić. Chłopak wrzasnął i rzucił się na napastnika, ale jego ciało przeniknęło przez czarne opary, które rozsypały się na tysiąc drobniutkich kropelek i opadły na podłogę niby deszcz płynnego węgla. Ismael podniósł Irène z ziemi. Kropelki tymczasem zaczęły się znów łączyć w całość. Czarna masa zawirowała niczym tornado, porywając z miejsca pobliskie meble i miotając nimi jak śmiercionośnymi pociskami o ściany i okna.

Irène i Ismael rzucili się na podłogę. Biurko uderzyło w jedno z okien, tłukąc szybę na drobnusieńkie odłamki. Ismael osłonił Irène własnym ciałem przed tym gradem szkła. Kiedy podniósł wzrok, ciemny wir zaczął się przepoczwarzać w nową postać. Wyrosły jej dwa wielkie skrzydła. Cień stał przed nimi jeszcze potężniejszy i straszliwszy niż przedtem. Wyciągnął jedną ze swych dłoni, na której ukazała się para

oczu i usta.

Ismael znów sięgnął po nóż i stanąwszy przed Irène, pogroził nim cieniowi. Potwór zaczął się zbliżać do chłopca. Jego szpony zacisnęły się na ostrzu. Ismael poczuł lodowaty prąd wspinający mu się po palcach, a potem po ramieniu, paraliżujący wszystkie mięśnie.

Nóż spadł na podłogę, a cień otoczył Ismaela. Irène rzuciła się ku niemu, ale była bezsilna. Potwór ciągnął chłopca prosto w ogień.

Wtedy drzwi do pokoju się otworzyły. W progu ukazała się postać Lazarusza Janna.

* * *

Pasażerowie samochodu żandarmerii, który otwierał kolumnę, jako pierwsi dostrzegli widmowe światło przesączające się przez leśną gęstwinę. Wóz doktora Giraud i karetka wezwana z przychodni w La Rochelle pędziły za nim szosą wiodącą wzdłuż Plaży Anglika.

Dorian, siedzący obok szefa żandarmerii, Henriego Faure'a, spojrzał zaniepokojony na wyłaniającą się z lasu spowitą mgłą sylwetkę Cravenmoore, otoczoną zielonkawym nimbem niczym upiorna, gigantyczna karuzela.

Komisarz zmarszczył brwi. Przez pięćdziesiąt lat, które spędził w tym miasteczku, nigdy nie widział niczego podobnego.

– Szybciej! – ponaglił Dorian.

Komisarz spojrzał na chłopca. Przyspieszając, zaczął się

zastanawiać, czy historia o rzekomym wypadku ma w ogóle cokolwiek wspólnego z prawdą.

– Jest coś, o czym zapomniałeś nam powiedzieć?

Dorian milczał, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy patrząc na Cravenmoore.

Komisarz ruszył pełnym gazem.

* * *

Cień odwrócił się i ujrzawszy przed sobą Lazarus, wypuścił Ismaela z rąk. Chłopiec spadł na podłogę i krzyknął z bólu. Irène pobiegła ku niemu, by pomóc mu się podnieść.

– Zabierz go stąd – powiedział Lazarus, idąc zdecydowanym krokiem w kierunku cienia, który zaczął się cofać.

Ismael poczuł piekący ból w ramieniu. Jęknął.

– Nic ci nie jest? – zapytała dziewczyna.

Chłopiec wymamrotał coś zupełnie niezrozumiałego, potem z trudem wstał i pokręcił głową. Lazarus spojrzał na niego i zdecydowanym tonem powiedział:

– Wynieście ją stąd i uciekajcie!

Cień syczał przed nim niczym osaczony wąż. Nagle czmychnął na ścianę i schronił się z powrotem w portrecie.

– Ile razy mam powtarzać, żebyście sobie stąd poszli? – krzyknął Lazarus.

Irène z Ismaelem podnieśli z trudem Simone i zaczęli ją wlec ku wyjściu. Kiedy byli już przy drzwiach, Irène spostrzegła kątem oka, jak Lazarus zbliża się do łóżka z baldachimem i z niebywałą delikatnością rozchyła zasłony. Za nimi ukazała się kobieca postać.

– Poczekaj – wyszeptała Irène, a serce podskoczyło jej do gardła.

To musiała być Alma. Dziewczyna wzruszyła się, widząc łzy płynące po policzkach Lazarusza. Fabrykant zabawek objął Almę. Irène nigdy w życiu nie widziała równie czułego uścisku. Każdy ruch, każdy gest Lazarusza zdradzały niespotykane oddanie i miłość – miłość, która przetrwała całe życie. Ramiona Almy otoczyły Lazarusza i przez chwilę oboje trwali w magicznym uścisku, nie zważając na to, co się dzieje wokół. Irène poczuła, że zbiera się jej na płacz. Ale nie miała czasu, by się rozkleić, gdyż jej oczom ukazał się nowy przerażający widok.

Czarna plama zeskoczyła z portretu i zaczęła bezszelestnie podkradać się do łóża. Dziewczyna aż zadrżała ze strachu.

– Lazarusie! Uwaga!

Fabrykant zabawek odwrócił się. Stojący przed nim cień aż ryknął z wściekłości. Lazarus wytrzymał spojrzenie tej piekielnej istoty. Na jego twarzy nie było najmniejszych oznak strachu. Potem spojrział na Irène i Ismaela wzrokiem, którego znaczenia nie zrozumieli od razu. Kiedy Irène pojęła w końcu, co zamierza zrobić, rzuciła się, by go powstrzymać.

– Nie! – krzyknęła. Ismael objął mocno dziewczynę, nie

pozwalając, by podbiegła do łóżka.

Fabrykant zabawek podszedł do cienia.

– Drugi raz mi jej nie zabierzesz!

Cień uniósł szpony, gotów rzucić się na swego właściciela. Lazarus wsunął dłoń do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej lśniący przedmiot. Rewolwer.

Śmiech cienia, podobny do chichotu hieny, zadudnił w całym pokoju.

Lazarus nacisnął spust. Ismael przyglądał się scenie, nic nie rozumiejąc. Fabrykant zabawek uśmiechnął się z wysiłkiem. Rewolwer wypadł mu z rąk. Na jego piersi ukazała się czerwona plama, która zaczęła rozlewać się po koszuli. Krew.

Cień wydał z siebie przeciągłe, rozpaczliwe wycie, od którego aż zatrzęsły się ściany w całej rezydencji. Okrzyk trwogi.

– O mój Boże – jęknęła Irène.

Ismael chciał podbiec do Lazarusza i udzielić mu pomocy, ale ten pokręcił głową.

– Nie. Zostawcie mnie z nią sam na sam. Idźcie stąd wreszcie... – wyszeptał. Z kącika ust popłynęła mu strużka krwi.

Ismael, podtrzymując Lazarusza, pomógł mu usiąść na łóżku. Spojrzał kątem oka na wezglowie, uderzył go widok bladej, smutnej twarzy. Twarzy Almy Maltisse. Jej zamglone oczy spojrzały na niego przeciągle niewidzącym wzrokiem, pogrążone we śnie, z którego nigdy

nie miały się przebudzić.

Ismael miał przed sobą maszynę.

Przez te wszystkie lata Lazarus opiekował się automatem, podtrzymując w ten sposób pamięć o swojej żonie, którą odebrał mu cień.

Ismael cofnął się przerażony. Lazarus spojrział na niego błagalnym wzrokiem.

– Chcę zostać z nią sam, proszę.

– Ale to tylko... – zaczął Ismael.

– Ona jest wszystkim, co mam...

Chłopak pojął teraz, dlaczego nigdy nie znaleziono ciała kobiety, która utonąła w pobliżu wysepki z latarnią podczas owej słynnej burzy. Lazarus wyłowił je i przywrócił do życia, takiego życia, jakie potrafił mu dać. Życia mechanicznego. Niezdolny stawić czoła utracie żony, stworzył jej kopię, to budzące litość widmo, z którym spędził ostatnie dwadzieścia lat. Ale patrząc w oczy konającego Lazarusza, Ismael zrozumiał, że w pewnym sensie fabrykant zabawek osiągnął swój cel. Alma Maltisse żyła, przynajmniej w sercu swojego ukochanego.

Fabrykant zabawek posłał chłopcu ostatnie, pełne cierpienia spojrzenie. Ismael pokiwał głową i cofnął się do miejsca, gdzie czekała Irène. Dziewczyna zobaczyła, że jest blady jak śmierć.

– Co się...?

– Idziemy stąd. Szybko – przerwał jej Ismael.

– Ale...

– Wychodzimy!

Podnieśli z wysiłkiem nieprzytomną wciąż Simone i skierowali się ku wyjściu. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem. W pokoju zostali Lazarus, jego żona i cień. Irène i Ismael starali się jak najszybciej wybiec z budynku. Dopadli do głównych schodów, a w ich uszach cały czas dźwięczało nieludzkie wycie dobiegające z pokoju, który przed chwilą opuścili. Były to krzyki cienia.

* * *

Lazarus Jann podniósł się z wysiłkiem z łóżka i na chwiejnych nogach stanął twarzą w twarz z cieniem. Widmo spojrzało na niego z rozpaczą. Małeńki otwór, który pozostawiła w ciele Lazarusa kula, rósł z każdą sekundą i pożerał także jego cień. Przerażony stwór próbował znaleźć schronienie w obrazie, ale tym razem Lazarus wyjął z kominka szczapę i podpalił płótno. Ogień rozprzestrzenił się po obrazie jak fale po stawie. Cień krzyknął. W mroku biblioteki tymczasem strony czarnej księgi zaczęły krwawić. Potem buchnęły z nich płomienie.

Lazarus powlókł się z powrotem do łóżka, ale cień, zaślepiony nienawiścią, rzucił się za nim, siejąc płomienie i żar. Baldachim nad łóżkiem zajął się w jednej chwili, potem języki ognia rozpełzły się na sufit i podłogę, pochłaniając z furją wszystko, co napotkały na swej drodze. W jednej chwili pokój zmienił się w istne piekło.

Płomienie objęły jedno z okien, a nieliczne szyby, które nadal były całe, eksplodowały teraz na setki odłamków. Do środka wdarł się podmuch zimnego nocnego powietrza. Drzwi pokoju wypadły z futryny i niczym płonący pocisk przeleciały korytarzem. Ogień jak plaga, której nie sposób opanować, rozprzestrzenił się powoli, ale nieubłaganie, by wkrótce wziąć w swoje posiadanie całą rezydencję.

Przedzierając się przez płomienie, Lazarus sięgnął po kryształowy flakonik, w którym cień mieszkał przez całe lata, i uniósł go w dłoniach. Krzycząc rozpaczliwie, mroczny upiór wskoczył do swojej kryjówki. Na szkle pokazała się natychmiast pajęczyna lodu. Lazarus zakorkował naczynie i spojrzawszy na nie po raz ostatni, rzucił w ogień. Flakonik pękł na tysiące kawałków. W tej samej chwili cień, niczym gasnący oddech klątwy, odszedł na zawsze. Fabrykant zabawek poczuł, że i z niego powoli uchodzi życie.

* * *

Kiedy Ismael i Irène wydostali się wreszcie głównym wejściem, niosąc na rękach wciąż nieprzytomną Simone, płomienie dosięgły już okien na trzecim piętrze. W ciągu zaledwie kilku sekund szyby zaczęły eksplodować, jedna po drugiej, zasypując ogród deszczem płonących odłamków. Ismael i Irène pobiegli na skraj lasu i dopiero tam, zatrzymawszy się pod drzewami, odważyli się spojrzeć za siebie.

Cravenmoore stało w płomieniach.

13. Światła września

Owej pamiętnej nocy roku 1937 wszystkie cudowne istoty zamieszkujące siedzibę Lazarusa Janna po kolei padły pastwą bezlitosnych płomieni. Wskazówki mówiących zegarów roztopiły się w strugi płynnego ołowiu. Baletnice i orkiestry, magowie i czarownice, szachiści i inne mechaniczne cacka zniknęły na zawsze. Piętro za piętro, pokój za pokojem duch zniszczenia zagarnął wszystko, co kryło w sobie to magiczne i przerażające miejsce.

W kilkanaście minut całe bezkresne królestwo wyobraźni zmieniło się w zgliszcza. W płomieniach tego piekła, które rozgorzało na nocnym niebie krwawą łuną, zniknęły na zawsze wycinki prasowe i fotografie, latami tak pieczołowicie gromadzone przez Lazarusa Janna. Kiedy na miejsce dotarły wreszcie samochód żandarmerii, karetka i wóz doktora Giraud, złknięte oczy chłopca ze zdjęcia zamknęły się na zawsze w owym pokoju dzieciennym, w którym nigdy nie było zabawek.

Ostatnie chwile Lazarusa i jego żony miały pozostać w pamięci Ismaela na całe życie. Zanim wyszedł z pokoju, chłopiec zobaczył jeszcze, jak fabrykant zabawek całuje w czoło Alexandrę Almę Maltisse. Przysiągł sobie wówczas, że do końca swych dni nie zdradzi nikomu ich sekretu.

* * *

W pierwszych światłach brzasku można było dostrzec chmurę popiołów płynącą ku horyzontowi nad purpurowymi wodami zatoki. Plażę Anglika zasnuwała jeszcze poranna mgła, kiedy ruiny Cravenmoore zaczęły się wyłaniać z ciemności ponad koronami drzew. Szary dym anemicznie unosił się ku niebu cienkimi serpentynami, przetykając chmury ścieżkami ciemnego aksamitu, omijanymi z daleka przez stada kierujących się na zachód ptaków.

Kurtyna nocy unosiła się powoli. Poranna bryza rozwiewała leniwie pasma rdzawej mgiełki, która jeszcze przed chwilą przysłaniała całkowicie widok na wysepkę z latarnią.

Irène i Ismael spędzili ostatnie minuty tej długiej nocy, siedząc na białym piasku pustej zupełnie plaży. Trzymając się za ręce, patrzyli w milczeniu na pierwsze różowe promienie słońca przebijające się przez chmury i kreślące na wodach ścieżkę świetlistych pereł. Wieża latarni wychyłała zza mgły, ciemna i samotna. Irène uśmiechnęła się smutno, zrozumiawszy, iż owe tajemnicze światła, które miejscowi widywali od lat, już nigdy nie rozbłyszczą w oddali. Tego poranka światła września zgasły na zawsze.

Nic, nawet wspomnienie wydarzeń tego lata, nie mogło już zatrzymać duszy Almy Maltisse. Zatopiona w tych rozmyślaniach Irène spojrzała na Ismaela. Zobaczyła, że łzy napływają mu do oczu, ale rozumiała, że chłopak nie pozwoli sobie na płacz.

– Wracamy do domu – powiedział.

Irène przytaknęła. Wstali i ruszyli w stronę Domu na Cyplu. Podczas tej drogi przez głowę Irène przemknęła tylko jedna myśl. Na tym świecie cieni i światła wszyscy, każdy z nas, musimy odnaleźć swoją własną drogę.

Kilka dni później, kiedy Simone opowiedziała im prawdziwą historię Lazarusa Janna i Almy Maltisse, którą poznała z ust cienia, wszystkie części łamigłówki zaczęły wreszcie do siebie pasować. I chociaż poznali w końcu całą prawdę, było już za późno, by odmienić bieg wydarzeń. Zły los prześladował Lazarusa przez całe życie, od tragicznego dzieciństwa do samej śmierci. Śmierci, którą on sam uznał za jedyne wybawienie. Nie pozostało mu nic innego jak wyruszyć w ostatnią drogę na spotkanie z Alną Maltisse tam, gdzie nie mógł ich dosięgnąć ani jego własny cień, ani klątwa owego tajemniczego władcy cieni, przedstawiającego się jako Daniel Hoffmann. Nawet on, cała jego tajemna wiedza i magiczne sztuczki, nie był zdolny zniszczyć tego uczucia, tej miłości po grób, która połączyła Lazarusa i Alnę.

* * *

Paryż, 26 maja 1947 roku

Kochany Ismaelu!

Od mojego ostatniego listu upłynęło tak wiele czasu. Zbyt wiele. W końcu, niespełna tydzień temu, zdarzył się cud. Wszystkie listy, które przez tyle lat wysyłałeś na mój stary adres, dotarły do mnie dzięki uprzejmości mojej sąsiadki, poczciwej, prawie dziewięćdziesięcioletniej staruszki, która przechowywała je w nadziei, że któregoś dnia ktoś się po nie zgłosi.

Od kilku dni czytam je i czytam, raz, drugi, trzeci, i nie mogę się od nich oderwać. Przechowuję je niczym najcenniejszy skarb. Nie jest łatwo wyjaśnić powody mojego milczenia, tak długiej nieobecności. Zwłaszcza Tobie, Ismaelu. Zwłaszcza Tobie.

Tych dwoje dzieciaków na plaży nie mogło nijak wyobrazić sobie, że tego poranka, kiedy zgasł na zawsze cień Lazarusza Janna, nad światem zaczęły się zbierać inne, znacznie bardziej upiorne cienie. Cienie nienawiści. Domyślam się, że przez te lata każde z nas nieraz wspominało Daniela Hoffmanna i jego tajemnicze berlińskie „przedsięwzięcie”.

Kiedy straciłam z Tobą kontakt, podczas tej strasznej wojennej zawieruchy, napisałam do Ciebie setki listów, które nigdy nigdzie nie

dotarły. Do tej pory zastanawiam się, gdzie się podziały, gdzie się podziały wszystkie te słowa, wszystkie rzeczy, które pragnęłam Ci opowiedzieć. Chcę, żebyś wiedział, że przez cały ten mroczny, ponury czas Twoje wspomnienie, pamięć o tamtym lecie w Błękitnej Zatoce, dodawały mi siłę, by przeżyć każdy kolejny dzień.

Wiesz już pewnie, że Dorian zaciągnął się na ochotnika i służył w północnej Afryce przez dwa lata. Wrócił stamtąd ze stertą pobrzękujących medali i z raną, przez którą będzie utykał do końca życia. Ale i tak może uważać się za szczęśliwca. Przecież wrócił. Ucieszysz się zapewne na wieść o tym, że znalazł wreszcie pracę w instytucie kartograficznym marynarki handlowej i że w wolnych chwilach – a jego narzeczona Michelle zostawia mu ich niewiele (powinieneś ją zobaczyć) – przemierza świat ze swoim cyrklem.

Jeśli chodzi o moją matkę, cóż nowego mogę Ci powiedzieć? Zazdroszczę jej siły i hartu ducha, dzięki którym przetrwaliśmy wszyscy tyle życiowych zakrętów. Lata wojny były dla niej ciężkie, może jeszcze cięższe niż dla nas. Nigdy o tym nie mówi, ale czasami, kiedy patrzę na nią, jak siedzi przy oknie i w milczeniu spogląda na przechodniów, zastanawiam się, o czym ciągle rozmyśla. Nie chce już wychodzić z domu i spędza całe godziny, za jedyne towarzystwo mając książkę. Mam wrażenie, że przeszła na drugą stronę mostu, a ja nie mogę pójść za nią... Czasem widzę, jak ogląda stare zdjęcia taty i płacze.

U mnie wszystko w porządku. Miesiąc temu odeszłam ze szpitala

Saint Bernard, w którym pracowałam przez te wszystkie lata. Mają go wyburzyć. Mam nadzieję, że wraz z nim znikną wspomnienia cierpień i potworności, które widziałam tam podczas wojny. Myślę, że ja też nie jestem tą samą osobą, Ismaelu. Coś we mnie pękło.

Widziałam na własne oczy rzeczy, których nigdy nie spodziewałam się ujrzeć... Świat jest pełen cieni, Ismaelu, cieni o wiele gorszych od istoty, z którą walczyliśmy tamtej nocy w Cravenmoore. Cieni, przy których twory Daniela Hoffmanna są tylko dziecinną zabawką. Cieni mieszkających w każdym z nas.

Czasami cieszę się, że tata tego nie dożył. Nie myśl tylko, że stałam się sentymentalna. Nic z tych rzeczy. Kiedy czytałam Twój ostatni list, serce aż skoczyło mi w piersi. Poczulałam się tak, jakby po dziesięciu deszczowych, pochmurnych latach wyszło wreszcie słońce. Znalazłam się znów na Plaży Anglika, na wysepce z latarnią, pływałam po wodach zatoki na pokładzie „Kyaneosa”. Zawsze będę wspominać owo lato jako najwspanialszy czas mojego życia.

Wyznam Ci sekret. Wiele razy podczas długich wojennych nocy, podczas gdy wystrzały i krzyki rozbrzmiewały w ciemnościach, wracałam myślami tam, na wysepkę z latarnią, do Ciebie. Szkoda, że nie zostaliśmy tam na zawsze. Szkoda, że ten dzień, który spędziliśmy razem na wysepce, nie trwał całe życie.

Pewnie zastanawiasz się, czy wyszłam za mąż. Odpowiedź brzmi: nie. Chociaż pretendentów mi nie brakowało, nie myśl sobie. Nadal

jestem młoda, nadal mam powodzenie. Miałam kilku narzeczonych. Przychodzili, odchodzili. Czas wojny był zbyt ciężki, by przejść przez niego samotnie, a ja nie jestem tak silna jak matka. Ale nic więcej. Nauczyłam się, że samotność jest czasem drogą, która pozwala osiągnąć wewnętrzny spokój. A ostatnio pragnęłam tylko tego – spokoju.

I to już wszystko. A może nic. Jak mam Ci wytłumaczyć moje uczucia, opowiedzieć wszystko, co spotkało mnie przez te lata? Chciałabym jednym ruchem wymazać na zawsze pamięć o nich. Chciałabym, by moim ostatnim wspomnieniem był ów świt na plaży. Chciałabym odkryć, że ostatnie dziesięć lat było tylko złym snem, z którego właśnie się przebudziłam. Chciałabym znów być nastolatką i nie rozumieć otaczającego mnie świata, wiem jednak, że to niemożliwe.

Nie będę już więcej pisać. Marzę o tym, by następnym razem porozmawiać z Tobą naprawdę, a nie na papierze.

Za tydzień mama wyjedzie do Aix-en-Provence, żeby spędzić parę miesięcy ze swoją siostrą. Tego samego dnia ja wrócę na dworzec Austerlitz i wsiądę do pociągu jadącego do Normandii, tak jak dziesięć lat temu. Wiem, że będziesz na mnie czekał, i wiem, że bez trudu Cię rozpoznam, rozpoznałabym Cię, nawet gdyby minęło sto lat. Jestem tego pewna.

Wieki temu, podczas jednej z najczarniejszych wojennych nocy miałam sen. Szłam w nim z Tobą po Plaży Anglika. Słońce zachodziło, zza mgły prześwitywała wysepka z latarnią. Wszystko było takie jak

dawniej: Dom na Cyplu, zatoka, nawet ruiny Cravenmoore górujące nad lasem. Wszystko oprócz nas. My byliśmy parą staruszków. Ty nie miałeś już sił, by żeglować, ja miałam włosy białe jak mleko. Ale byliśmy razem.

Od tamtej nocy wiedziałam już, że któregoś dnia, nieważne kiedy, nadejdzie nasz czas. Że gdzieś daleko światła września zapalą się dla nas i że wtedy żaden cień nie stanie nam już na drodze.

I że będziemy razem, na zawsze.

MUZA SA

00-590 Warszawa

ul. Marszałkowska 8

tel. 22 6297624, 22 6296524

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz